

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVIII

ROK X.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N 23.

—

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 30 Marca 1885 r.

DWIE POETKI-MYSLICIELKI.

I. Augusta Klemencya Royer.

Gdy rządy Peryklesa wabiły do zbogaconych Aten najgłębsze umysły filozoficzne i najszczęśliwszych kochanków muz z Jonii, téj kolebki pieśni helleńskiéj, wyszedł zastęp kobiet, by razem z nimi apostołować mądrość i piękno; na ucztach były one tém, czém póżniéj grecy-niewolnicy u rzymian-panów, a czarowna Aspazya nawet sztukę rządzenia znała i kochankowi swemu niejedną dała wskazówkę. Gdy myśliciele ośmnastego wieku przygotowywali przewrót w pojęciach i urządzeniach ludzkich, mnóstwo uczonych kobiet dzieliło ich trudy lub epikurejskie próżniactwo, encyklopedya bowiem spiskowała w salonach przeciw kościołowi i państwu.

Gdy po restauracyi Burbonów, co nudą zapełniała umysły nawykłe do jaskrawych barw ognia i krwi, romantyzm wypowiedział walkę zatęchłéj atmosferze mieszczaństwa i stworzył liberalizm w sztuce, Aurora Dudevant, w imieniu płci swojéj, zapisała się pod jego sztandary.

Gdy myśl niemiecka zatęskniła za średniowiecznemi ideałami i utopiła trzeźwość w sztuce dla sztuki, Dorota Mendelson, Karolina Michaelis i dziesięć innych nadawały ruchowi wyrazistość.

I wiek dzisiejszy szarym nie jest. Znamionują go w życiu społecznym wulkany podwodne, w nauce pomysły obfite w nieobliczone następstwa, w filozofii kierunki choć nie nowe, ale dosadnie i wyraziście zarysowane. Dla czegóż-by więc teraz kobiety miały pozostać nieczułemi na gwałtowne prądy? Jeżeli dotąd zawsze umiały się dostrajać do górującego u myśli ludzkiéj tonu—i dziś potrafią. Piśmiennictwo zna ich kilka; są to nie odbicia bierne promieni, ale organizacye ruchliwe i czynne, a tę mają wyższość, w oczach pe-

danta może niższość, że są wielostronne. Chcemy podać sylwetki dwóch wybitnych téj kategoryi przedstawicielek, dwóch francuzek. Stoją one na przeciwległych biegunach kryteryum, jakie myśl dzisiejsza stosuje do wszechrzeczy, mianowicie kryteryum szczęśliwości. Jedna, Klemencya Royer, widzi na odległym widnokręgu niebo empirejskie—i, by je przybliżyć, tworzy misterne plany,—druga, Ludwika Ackermann, utkwiła wzrok w odwrotną stronę medalu i bezustannie boleje nad niedolą świata. Tamta buduje, ta przeczy i burzy; obiedwie, wychodząc z założenia naukowego, rychło o krytycyzmie, tym nigdy niezawodzącym drogowskazie, zapominają i wpadają w dogmatyzm, więcéj nawet w fanatyzm. Jest-to rys, wspólny wszystkim córom Francyi. George Sand, p. de Staël, Royer, Ackermann węzłem krwi połączone są z Joanną d'Arc, Karoliną Corday, Ludwiką Michel. Ackermann najwięcéj z nich jest filozoficzną i najmniéj francuską, bo najwrażliwszy okres życia spędziła w Niemczech, a pomimo to w swych objektywnych na pozór skargach przybiera ton również wyzywający, agitatorski, jak niegdyś autorka Korynny, podżegająca umysły przeciw Napoleonowi. Ale przypatrzmy się pierwéj pani Royer.

Zdumiewa ona nie jednego urzędowego myśliciela swą różnobarwnością. Nieodrodna to córka okresu gorączki z wszelkiém orędziem rozległéj inteligencyi, poezyą i prozą, powieścią i filozofią pragnie uszlachetnić ród ludzki, rozszerzyć jego umysłowy widnokrąg i zapewnić korzyści zespolonego życia. Ogrom zadania odstraszył już wielu najszlachetniejszych szermierzy i do rozpaczy doprowadził, ale p. Royer, dzięki zapałowi niewieściemu, zniechęcających podszeptów zimnego rozsądku nie zna, z ślepą energią i naiwną wiarą we wszystkich dziedzinach ducha niezmordowanie pracuje.

Literatura francuska zawdzięcza jéj bardzo dużo, choć warunki i otoczenie, wśród których p. Royer rozpoczęła działalność, nic dobrego wróżyć nie mogły. Od dzieciństwa oddychała atmosferą kościelną, rodzice kazali jéj uwielbiać króla i rządy ciążące nad ojczyzną od roku 1830, mniéj więcéj roku jéj narodzin, a wychowanie odebrała w Sacré Coeur, jak niektórzy utrzymują częściowo tylko.... Podobno literackie pierwociny nosiły wybitne piętno klerykalnego wpływu, ale wielkiém uznaniem czytający ogół ich nie nagradzał. Ogłaszała je przeważnie w formie poetyckiéj w czasopismach. Nie była jednak widocznie krępowaną kajdanami towarzyskiemi,—które z egzaltowanych dziewcząt robią zazwyczaj boginie salonu lub w najlepszym razie mistyczne czcicielki wiary, w rodzaju baronowéj de Krüdener,—skoro mogła opuścić rodzinne Nantes w dwudziestym

roku życia, by zaczerpnąć w Anglii ze źródeł nieco zdrowszych wiedzy pożywniejszéj, a nadto poznać dokładnie język, co pozwoliło jéj, jak zobaczymy, osiągnąć ogromne korzyści naukowe. Ale nie na gruncie brytańskim, gdzie tylko w gabinecie uczonego żyć może myśl niezależna, lecz gdzie społeczeństwo nie przestaje być nigdy prawowierném, a pismo święte jedynym prawodawcą obyczajowym, ale w Szwajcaryi zyskała najwięcéj. Tam z zapałem oddała się badaniu nauk przyrodzonych i filozofii. Jak szybkie czyniła postępy, dowodzi fakt, że już w r. 1859 otworzyła kurs propedeutyki filozoficznéj dla kobiet w Lozannie, któréj inteligencya i dziś pochlebne wydaje o niéj sądy, a w końcu i saméj filozofii, tym razem powodzenie miała ogromne; to upoważniło ją moralnie do ogłoszenia wstępu drukiem, p. t. *Introduction á la philosophie*. Jednocześnie zasilała kilka pism naukowych, a głównie miesięcznik „Nouvel écenomiste“ pracami licznemi, a gdy późniéj rząd Kantonu Vaud ogłosił konkurs na dzieło o podatkach, p. Royer za swoją „Theorie de l'impot et de dime sociale“, zaszczyconą została, pospołu z Proudhonem, pierwszą nagrodą. W charakterze publicystki występowała niejednokrotnie. Niezupełnie wolna od wspomnień młodości chciała pogodzić dogmatyczną wiarę z wymaganiami rozumu i w tym celu napisała: *Ce que doit être une Eglise nationale dans une republique*. Zarówno to, jak i wiele innych dzieł, jak „Sur l'avenir de Turin“; „Sur la fondation d'un collége international rationaliste“, utonęło w falach niepamięci, bo je skazała na zagubę miernota pomysłów. Nie one zyskały p. R. rozgłos szerszy. Ale obok mnóstwa utworów wartości chwilowéj, uwagę zatrzymuje szereg publikacyj dotyczących zagadnień tak ważnych i rozwiązujących je tak śmiało, że warto rozpatrzyć je zblizka, zwłaszcza, że wszystkie łączy jedna idea przewodnia, każda następna stanowi nowy szczebel w rozwoju zasadniczego poglądu, całość zatém nadaje p. R. fizyognomią wydatną, indywidualną. Choć nie w jednakiéj szacie ukazywały się, wzrok dostrzegł między niemi pokrewieństwo, niekiedy nawet za blizkie, by mogło autorkę uchronić od mimowoli nasuwającego się zarzutu, że sztucznie pomnaża liczbę dzieci swego ducha i przebrane w nową sukienkę podaje za nowonarodzone. Szczęściem sukienka sama wabi oko i godną jest widzenia.

Jeżeli p. Royer dzieli ze znakomitemi ludźmi właściwość posiadania zapalonych wielbicieli i nieubłaganych szyderców, zawdzięcza to przedewszystkiém stanowisku swojemu w obec najnowszych teoryj przyrodniczych. Świat czytający francuski, który o wielu doniosłych rzeczach wié zaledwie z nazwiska, lat dwadzieścia temu i Darwina znał tylko ze słyszenia. Z ignorancyi wyrwała go pani R.,

znakomicie przełożywszy epokowe dzieło przyrodnika angielskiego: „O pochodzeniu gatunków“. Sława oryginału przeszła w części na tłómaczenie i zasłużenie zresztą, albowiem poprzedzała je samodzielna rozprawa, w której p. R. okazała niepospoltią, jak na kobietę, wiedzę naukową. Lecz co zawierała przedmowa, powinno było raczéj zamykać przekład, były to wyniki, jakie każdy konsekwentny myśliciel wyprowadza z nauki o walce o byt. Ale sędziwy mędrzec angielski, wierny do grobu kultowi faktów, nie lubił wysnuwać domysłów, których nie mógł poprzéć niezbitemi dowodami. I zamiast podziękować za współpracownictwo, jak by to uczynił każdy dobrze wychowany dżentlmen, bez ceremonii wyparł się wszelkiéj z nią solidarności. Dla czego ten sam los nie spotkał drugiego entuzyastę w szkole Darwina, Ernesta Haeckla, opowiedziéć trudno. Profesor Jenajski opowiada, iż został przez mistrza w jego cichem ustroniu przyjęty z otwartemi rękoma. Kluczem do zagadki było-by chyba przypuszczenie, że Darwin, jak każdy śmiertelnik, żyć samemi przesłankami, bez bezwiednego wyciągania z nich konsekwencyj, nie mógł. Nieraz na wierzchołku ewolucyjnéj drabiny wyobraźnia musiała dostrzedz człowieka, lecz razem widział jasno między nim a małpą kilka szczebli próżnych, więc przezornie, w obawie nieporozumień, zatrzymywał się na nich. Uczony Haeckel ostróżności zachować nie chciał lub nie umiał, nie wypadało mu jednak przeczyć, ale kobiecie najzupełniéj, tém bardziéj, że namiętną i zapalczywą obroną swego twierdzenia zachęcała poniekąd do surowéj nagany.

Jakkolwiekbądź p. R. jest ewolucyonistką w najszerszém tego słowa znaczeniu. W całéj rozciągłości przyjmuje ona teoryą rozwoju. Prawa przystosowywania się do otaczających warunków przyrody i odziedziczania własności nabytych przez rodziców w téj walce o byt p. R. nie zamknęła w ciasnych granicach, ale przeniosła na pole dążeń ludzkich, na téj zasadzie, że życie społeczeństw, to tylko więcéj udoskonalony byt zwierząt. Nie po raz pierwszy to i nie ostatni socyologia zostaje w podobny sposób spowinowaconą z nauką o życiu.

Ale pomimo to i pomimo mnóstwa śmiesznych nieraz sprzeczności, których tu rozbierać nie chcemy, p. R. daje wiele nowego, albowiem uzupełnia systemat „drapieżności“ w społeczeństwie ludzkiém. Kiedy inni jego głosiciele zatrzymywali się w połowie drogi, ona mężnie przebyła całą i stanęła u mety. Wyznawcy dewizy „walki o byt“ mogą ją widziéć w całéj rozciągłości, ze wszystkiemi logicznemi wynikami w dziele p. R. „Les origines des hommes et des

societés" (1). Nieprzyjaciele mogą sobie myśléć co chcą, ale muszą oddać sprawiedliwość cywilnéj odwadze autorki, muszą jéj przyznać wyższość nad patentowanymi uczonymi, którzy nie dopowiadają tego, co dyktuje rozsądek i kokietują połowicznemi teoryami; należy ona do niebezpiecznego rodzaju „enfants terribles" co to zdradzają tajemnice domowe.

P. R. zgodnie z tradycyą znakomitych swych rodaczek dużą cząstkę swéj siły poświęca wyzwoleniu niewiast—i zawzięcie, tak! nieprzytomnie prawie, kruszy kopie w ich obronie. Gdy skromna w swych wymaganiach Sand żądała tylko niezależności uczucia i rozumu, kiedy niekiedy tylko skarżąc się na samolubstwo mężczyzn, którzy nawet Boga przywłaszczyli wyłącznie sobie; zawadyacka pani Royer, odsądza ich na przyszłość od wszelkich praw uczestnictwa w pracy cywilizacyjnéj. Płeć silniejsza zostaje zmiażdżoną pod niemiłosiernemi ciosami autorki, która na scenie życia zgadza się mężczyznom powierzyć w najlepszym razie role komparsów, lub mówiąc jéj językiem — trutniów, i nie żartem wzoruje przyszły ustrój społeczny na organizacyi ulów. Wypływa stąd zaoczny a smutny dla brzydkiéj połowy rodu ludzkiego wyrok, skazujący ją na wyłączną rolę rozpłodową. Stanowisko na czas pewien dla wielu może ponętne, lecz *à la longue* zanadto monotonne. Prócz przyrodoznawstwa i mitologia jest mistrzynią nielitościwéj prawodawczyni. Legenda o amazonkach odżyła w jéj pamięci i ma kiedyś, jéj zdaniem, przywdziać dotykalne kształty. Kobiety przyszłości będą jak amazonki trzymać mężczyzn z daleka, a kiedy niekiedy tylko zbliska, jako narzędzie, bez którego pomocy sam ród niewieści wkrótce wyginął-by, natomiast potomków męzkich, wśród ich grona się rodzących, będą przy powiciu uśmiercały.

Fantastyczną mrzonką chęci nierównie wyższego rzędu, jest system etyki, wyłożony w dziele „Le bien et la loi morale, ethique et téléologie. Paris Guillaume et comp." 1881. Myślicielka zapragnęła stworzyć syntezę filozoficzną, w którejby pierwiastek kosmiczny tj. ten od którego filozofowie poczynają, łączył się bezpośrednio z etycznym, tj. tym na którym kończą. Przy téj sposobności zrobiła wycieczkę w krainę metafizyki, obdarzyła świat zarysem nauki o bycie, według niéj zupełnie świeżym; nazwanym przez nią „substancyalizmem."

Istnieje nieokreślona liczba atomów, z których każdy jest ogniskiem siły odpychającéj; w ruchu swym napotykają one inne podobne jednostki i ze starcia z niemi nabierają kształtów wielogrania-

(1) Ogłoszoném w roku 1869.

stych. Powierzchnie atomów są zarazem organami zarodkowego czucia, albowiem spychane niejako w głąb samych siebie, nabierają wiedzy dokładnéj i określonéj o swém istnieniu i zajmowanéj przestrzeni oraz mglistego poczucia o istnieniu innych. Ten zwięzły zarys,—gdyż bliższe streszczenie ani potrzebném ani zajmującém nie byłoby—brzmi w uszach naszych nutą znajomą i przypomina wiele zamierzchłych melodyj. I genialny twórca atomizmu Demokryt i wszelacy rozjemcy powaśnionéj z duchem materyi, jak Leibniz ze swemi monadami, jak idealnorealny Herbart, jak najnowszy ich tłómacz Lilienfeld cisną się całym tłumem, zagłuszają p. R. krzykiem, iż nieprawnie nazywa „absolutnie nową" ideę, którą oni już sto i tysiące lat temu bałamucili łatwowierne głowy.

P. R. przywiązuje szczególną wagę do tego fantastycznego utworu, gdyż chce oprzéć na nim wszechetykę i przy jego pomocy określić dobro absolutne. Innemi słowy, usiłuje zbadać, czy zło czy dobro przeważa w całym wszechświecie, i o ile. Rachunek napozór niemożliwy staje się łatwym, skoro przyjmujemy za części składowe wszechrzeczy atomy, obdarzone czuciem. Jeżeli w bycie każdéj niedziałki cierpienie góruje nad rozkoszą, ogólny dla świata w nieskończoności czasu i przestrzeni rezultat będzie ujemny, przy stosunku odwrotnym, dodatni. Nie zmienia postaci rzeczy warunek śmiertelności lub wieczności indywiduów, albowiem nieskończoność następstwa jednych po drugich w pierwszym razie jest tym samym mnożnikiem, jakim w drugim jest nieskończoność osobista. Wypadkowa wyrażona przez równanie jest tu jak tam jednakowa i obie nawet znajdują w rzeczywistości potwierdzenie, tu dla istot organicznych, tam dla nieorganicznych. Świat w którym suma jednostkowego szczęścia wyrównywałaby takiejże sumie niedoli byłby jeszcze za złym, by mógł nazywać się dobrym, powinna w nim choć trochę przeważać szala zadowolenia, możliwie zaś dobrym tj. doskonałym będzie wtedy, gdy wygrane wszystkich osobników, czyli udziały w szczęśliwości będą równe. Otóż p. R. zapewnia, że temu oderwanemu rozumowaniu najzupełniéj odpowiada rzeczywistość. Ponieważ atomy są jestestwami niezniszczalnemi, wiecznotrwałemi, przeto w tak długim ich życiu szanse boleści i rozkoszy nie tylko że się zrównoważą, ale dadzą zawsze dodatnią resztę.

Jak widzimy wszystko w téj dowolnéj ekwilibrystyce umysłowéj zrodziła bujna wyobraźnia, któréj wierzyć musimy na słowo; anegdotyczny pasterz jakiś na zapytanie: ile jest gwiazd na niebie, raźno podał pewną określoną ich liczbę i tryumfował, bo mu nikt zaprzeczyć nie mógł, nikt dowieść, że jest ich więcéj lub mniéj. Takiego samego manewru logicznego użyła p. Royer.

Przyjąwszy jednak ową rachubę za nieurojoną, otrzymamy, iż we wszechświecie przeważa żywioł dobry. Gdy zaś uwzględnimy fakt, że twory układają się w drabinkę hierarchiczną, na któréj im wyżéj, tém bardziéj wrażliwe i pożądliwe stoją istoty, wypadnie iż światu organicznemu a przedewszystkiém człowiekowi szczęście uśmiecha się w całéj pełni—szczęście w drugiéj potędze, albowiem istota organiczna własném, świadomem do zadowolenia dążeniem nieskończenie potęguje i tak już zapewnione jądro elementarnego szczęścia atomów, z których się składa.

Tak tedy etyka p. R. jest kosmiczną. Cały świat czuje, raduje się i cieszy. Do pokaźnéj liczby filozofematów, z których każdy inną stronę ducha wysuwa naprzód i stawia na miejsce bóstwa, przybywa teorya powszechnego czucia. Rodowód jéj jest jasny. Spencer bada zjawiska etyki ewolucyjnie, od najwcześniejszych tworów żyjących i dochodzi do rodzaju ludzkiego. P. R. uczepiła się go, sięgnęła jeszcze głębiéj i zaczęła od martwych żywiołów. To téż doszła do wyniku o wiele rozleglejszego. Prawidła postępowania jakiemi kłopoczą się zazwyczaj myśliciele, roztopiły się w jednym wielkim, dla wszechrzeczy: atomów, planet, gatunków, ras, narodów, rodzin i jednostek rozkazie współdziałania sumie życia, jego różnobarwności i natężeniu. Dla prozaicznego padołu naszego wypływa ztąd jedna reguła: że interes gatunku winien pokonywać dobro osobiste. Tutaj uczennica odbiegła znacznie od nauki mistrza, albowiem Spencer, nie przeoczając dobra powszechnego, oddaje téż należny haracz słusznéj żądzy i osobnikowego szczęścia; gdyby bowiem każdy wspaniałomyśnie zrzekał się swéj cząstki gdzieżby się dobro podziało?

Co się tyczy obecnéj wartości popędów moralnych człowieka p. R. jest o niéj dosyć dobrze powiadomioną, ale przyszłość wróży ludzkości świetną. Nadejdzie czas, kiedy dbałość o dobro bliźnich stanie się wewnętrzną nieodbitą potrzebą; dojrzeją instynkta społeczne, które teraz trzeba budzić nawoływaniem i biciem. Ponura groźba niezgody między zapotrzebowaniem a środkami jego zaspokojenia nie przestrasza naszéj pisarki, jak przestrasza ekonomistów. Ród ludzki może dążyć w spokoju niezamąconym do doskonałości, gdyż niewątpliwie potrafi on zrównoważyć wymagania z możnością.

Nie podobna nie dziwić się polotowi w tym obrazie kosmicznym. To nie zwyczajna kopia utartego pomysłu, lecz pełna samodzielnéj, rzutkiéj fantazyi przeróbka, godna tego, by ją postawić w jednym szeregu z uprzywiliowanymi mędrcami niemieckimi, jak Hartmann, u którego dziesięć niedorzeczności przypada na jeden zaledwie absurd p. Royer. Fanatyczny pesymizm niczém nie prze-

wyższa optymizmu p. R., a podkład realny u niéj jest bądź co bądź znaczniejszym niż w idei bezwiednéj, uposażonéj we wszelkie możliwe zalety samowiedzy; a przecież p. R. jest tylko kobietą. Jakkolwiek dowodzenia powyższe ratuje pozór ścisłości, bo przeplatane są formułami algebraicznemi i autorka z założenia dochodzi do ostatecznych wywodów za pomocą działań nad równaniami, to jednakże myśl nie jest u nich żadnemi względami prawdziwéj ścisłości krępowaną. Ogólny koloryt pism jest tak fantastyczny, że maleńka doza suchéj matematyki nie wystarcza dla nadania mu cech wiarogodności. Wszędzie przeważa dowolność i marzenie.

To téż daleko wydatniéj zarysowuje się ta ciekawa postać w żywiole bardziéj właściwym, w rozumnéj powieści. Zanadto wielostronna i uczona by zostać nowelistką, za uboga w oschły temperament, by zostać gabinetową uczoną, czuje się jak w domu, tam gdzie swobodnie może się poruszać fantazyą połączoną z myślą filozoficzną. Tu puszcza wodze pegazowi, który ją unosi na niezmierzone przestworza ideału, tu harcuje wolna jak wicher, a... niekiedy wyprawia w rozhukanéj logice łamania niebezpieczne.

Dotąd znamy z jéj przeszłości tylko jeden taki utwór. Są to „Bliźnięta Hellas“ wielkich rozmiarów romans, który ujrzał światło dzienne już lat dwadzieścia temu. Wbrew szykowi chronologicznemu, zostawiliśmy go na sam koniec nie bez ważnéj przyczyny. Upoważnia do tego doniosły fakt, że jestto ogólna synteza o nadobnéj formie wszystkiego co myślicielka przedtém lub późniéj stworzyła. Wszystko, co ukazywało się dotąd w ramach dzieł poważnych, tutaj wyhaftowaném zostało barwnie na kanwie opowiadania; oderwanie zastąpił widzialny i dotykalny obraz.

Poetka wydobyła z pod serca najskrytsze myśli, najtajniejsze pragnienia, z zapałem i patosem prawi o rzeczach dla których nauka mało okazuje gościnności. Ponad filozofią, ponad historyą, ponad wielu zagadnieniami społecznemi unosi się nieśmiertelny eros. Ten tak mały postacią, a tak wielki znaczeniem i powabem bożek romantycznym tchem owionął cały ten wielki dramat złożony z dramatów setki. Mistyczne sprężyny miłości w tysiącznych swych działaniach ukazują się zaciekawionemu oku, wszędzie oświetlone promieniem wiedzy; dzielny umysł nie ukrywa najbardziéj realnego pierwiastku.

Na samym wstępie uderza nas osobliwa dewiza:

„Poszukiwanie ojcowstwa jest wzbronionem.“

„Dziecię zrodzone podczas związku ma za ojca—męża matki.“

Myśl oryginalna z góry zaciekawia czytelnika. Tam gdzie zwykle kładą aforyzm myśliciela, lub wiersz poety, p. R. przytoczyła

rzecz najprozaiczniejszą w świecie—dwa artykuły z kodeksu Napoleona. Zdziwienie wszakże pierzcha, gdy przypominamy, jak wielkiemi czynnikami w tragedyi ludzkiéj są te dwa tak zwięzłe, tak małe zdania.

Dwaj bracia—bliźniacy, nieprawe dzieci szlachetnego powstańca greckiego i królowéj neapolitańskiéj, tułają się po uroczéj Italii, nieświadomi pochodzenia i ręki która ich losami kieruje. Mistrzem ich jest dziedzic wielowiekowéj przebiegłości—jezuita; on to wychowuje ich z polecenia jakiegoś ministra kardynała, osobistości wysoce sympatycznéj, lecz wychowuje ich po swojemu. Starszego Mateusza przemocą zatapia w wyuzdaniu i rozpuście, by ujarzmić prometejskiego ducha i skarcić buntowniczą myśl, która rozwijając się samopas, mogłaby stać się grozą dla kościoła i państwa. Niszcząc hart ciała chce zniweczyć hardą duszę. Z młodszego Stefana, młodzieńca o miękiém sercu niewieściem, marzyciela, lgnącego ku wszelkiéj cudowności kuje powolne narzędzie dla pewnych odłamów kleru. Szlachetne popędy, miłość bezgraniczną, dla wszystkiego co dobre i piękne skierowuje na jeden tor, pracę apostolską dla kościoła. Ale ani czarujący cherub gwałtem zepchnąć się w kałużę nie daje, ani melancholijny seraf szalbierzem zostać nie chce, w obu tło naturalne zostaje zdrowém i czystém. Są to dwaj geniusze, nad którymi podłość i wyrachowanie ludzkie nie mają władzy, silniejsi od zwykłych śmiertelników, bo ich zrodziła miłość wielka, święta, nie skrępowana arlekinadą, nie ujęta w karby sparodyowanego małżeństwa, miłość, jaką w człowieka wszczepiła sama natura, sam Bóg. Tak więc usiłowania szlachetnego wychowawcy spełzły—nie udaje mu się wykopać między nimi przepaści, starszego zrobić Kainem dla młodszego sieroty, mimo całą różnicę przekonań kochają się najgorętszą miłością. Jednakże zupełnie bez wpływu nie pozostają knowania jezuity. Czasem dzieli bliźniaków namiętny spór. Obadwaj są w posiadaniu gruntownéj i głębokiéj wiedzy. Ale podczas gdy jeden czerpał ją u pisarzy świeckich, delektując się cynizmem w sztuce i filozofii, drugi pił pełną czarą mądrość ojców kościoła i myślicieli nowoplatońskich, bo wszelką herezyą pedagog troskliwie z drogi usuwał. Mateusz radby oziębić gorączkę religijną w bracie i wykłada mu raz wraz materyalizm, nielitościwie szydząc z złudzeń i przesądów, niemiłościwie chłoszcząc jezuickie namowy. Trwożliwy Stefan tak daleki jest od wszelkiéj brutalności myśli i czynu, że cierpi z powodu niedowiarstwa najdroższéj sercu istoty, lituje się nad nią i usiłuje nawrócić naiwnie poetyzując królestwo niebieskie. Ta dysputa wolteryanina o twarzy i powabie Byrona z wierzącym Pascalem ciągnie się po przez całą powieść.

W Mateuszu, zdobywcy serc niewieścich, kochają się najpiękniejsze kobiety, a najwięcéj pewna córa Melpomeny, talent pierwszorzędny, połączony z niepospolitą urodą i mniéj jeszcze powszednią inteligencyą, ale cel jéj pragnień choć uściskiem jéj nie gardzi nie odpłaca wszakże równą wzajemnością; pomimo, że kochanka dla niego porzuca dawny lekki sposób życia i kona z miłości—on, ciałem blizki myślą jest od niéj daleki, albowiem tryumfy salonowe znudziły go a nęcą zagadki świata i żywot czynny. Stefan posyła westchnienia obrazowi, który w wizyach mu ukazuje mglistą postać matki, którą przeczuwa i za którą tęskni. W istocie matka żyje; o istnieniu swych synów wie, ale porywy macierzyńskie tłumi, w obec siły wyższéj męża monarchy. Poślubiła ona go wbrew woli spłaciwszy poprzednio dań miłości, tak iż bliźnięta zaledwie na świat przyszły, skazane zostały na zagładę i tylko rozpacz i łzy nieszczęśliwéj, uroczyste przyrzeczenie wywiezienia ich na drugi biegun ziemi ocaliły je. Król doczekał się z czasem potomków legalnych—tém konieczniejszém przeto stawało się pokrywanie tajemnicą życia dwu braci. Prawo zwyczajem nadto uświęcone żądało by oni zostali następcami tronu, dla serca ojcowskiego cios to zbyt bolesny wydziedziczyć kość z kości, krew z krwi swojéj na rzecz odrośli jakiegoś przybłędy.

Ztąd długi, męczący dramat, ogarniający niemal Włochy całe. Zbiegi okoliczności uświadomiają bliźniętom ich prawa i stanowisko. Pewne stronnictwo z rządów króla niezadowolone buduje na podniosłéj naturze braci plany rewolucyi i reformy, i chce ich wystawić jako pretendentów w obliczu prawa do tronu. Wywiązuje się walka na śmierć i życie między królem a niewidzialnymi spiskowcami. Intryga dworska wraz ze wszystkiemi tajemnemi środkami zbrodni oplata młodzieńców. Po stronie króla stoi Rzym z Papieżem, którym głuchy szmer, zwiastun przewrotu, nie tylko w rządach ale i w stosunku do kościoła, uszu bynajmniéj nie pieści. Sprawę zaostrza postępowanie królowéj, która widuje się z ukochanemi dziećmi, tém podpisuje na siebie wyrok śmierci przez otrucie. W końcu bliźnięta Hellas na czele stronnictwa, uniknąwszy szczęśliwie zasadzek, podnoszą bunt jawny i opanowują Neapol, dopomaga im: naród łaknący zmiany, wieść o otruciu królowéj i istnieniu właściwych spadkobierców tronu.

Nadzieje pokładane w siłach nowych władców nie zawiodły ludzi. Bliźnięta, utworzywszy wraz z kardynałem tryumwirat przystępują do odrodzenia państwa, żaden z nich berła ująć nie chce, ludowi zostawiają wolność i ogłaszają nowe prawodawstwo, do gruntu zmieniając istniejące porządki. Niestety, szczęście wskrzeszonego

miasta trwało krótko, dwory europejskie nie zniosły uchylenia się od powszechnéj formy rządu, ruszyły koalicyą na Neapol i zdusiły go masą. Po zwycięstwie ludu, zwyciężyli królowie.

Oto zasadnicza osnowa powieści. Około wątku tego obraca się mnóstwo dramatów ubocznych, nie tyle związanych z akcyą główną, ile niezbędnych dla uwydatnienia myśli kierowniczéj.

Jakież są dążności i ideały? Czego domaga się powieściopisarka?

Przedewszystkiém swobody uczucia. Miłość spętana przez prawo jest parodyą prawdziwego uczucia i rodzi karły. Natomiast poczęte w prawdziwéj namiętności dzieci wyrastają na geniuszów. Oddanie się mężczyznie ukochanemu nie jest hańbą, choć-by go nie uświęciła bliskość ołtarza, owszem dowodem natury niezależnéj, wyższéj. Królowa w przeddzień przymusowych zaślubin z monarchą, poświęcając kochankowi swą dziewiczość, była świadomą tego. Bardziéj jeszcze siostra jéj, która córkę swoję w zasadach podobnych otwarcie wychowywała. Ustawy grzeszą, zakazując poszukiwania ojca; ani on ani matka nie są wspólnikami zbrodni, lecz uczestnikami uprawnionéj rozkoszy; grzeszą jeszcze więcéj, zniewalając spółmałżonków do wychowywania dzieci obcych, dla tego tylko, że przyszły na świat pod ich dachem. Ofiarą błędu prawnego padł król i rozpaczliwe środki, jakich chwytał się dla unicestwienia współzawodników swych spadkobierców, nie mogą mu być za winę poczytane. Ofiarą padła królowa, a następstwem bezpośredniém jest cała ta krwawa tragedya.

Z koła tych pragnień, jak z ogniska rozchodzą się dalekiemi promieniami coraz mniéj poetyczne dążności. W postaciach braci, którzy ostatecznie wypierają się dawnego dogmatyzmu poglądów, widać uosobienie odwiecznego sporu między kultem idei i religią materyi, poniekąd także między nauką niezależną, a świętobliwą filozofią: jeden uwierzył nareszcie w jakąś niewidzialną potęgę—fatalizm, drugi—w szalbierstwo jezuity i jego mistrzów. Rozbrat kończy się w obydwóch razach przymierzem. To, cośmy widzieli w „substancyonalizmie", istniało zatém na lat dwadzieścia przedtém; p. Royer nigdy nie zniża się w filozofii do jednostronności, jest-to wyżyna, na którą mało mężczyzn się wspięło. Więcéj jeszcze pokojowym duchem tchnie sąd o kościele. Nużące dysputy między jezuitą i kardynałem dają sposobność do wynurzenia przez usta tego ostatniego marzeń o reformie ustroju duchowieństwa. Takiém, jakiém ono dziś jest, widzieć go nie chce i z niesłychaną odwagą wydobywa kilka gorszących zdarzeń z dziejów życia i stosunków klasztornych, lubując się cynizmem niemal w najdrobniejszych szczegółach. Jakie

są owe marzenia—odgadnąć nie trudno, nic w nich nowego wymyślić nie można było po dwudziesto-wiekowym rzucaniu grochu o ścianę.

W miejscu gdzie dramat uczuć rodzicielskich przechodzi na widownią polityczną, autorka przybiera fizyognomią działacza społecznego i ideały swoje w tym względzie uzmysławia odpowiedniemi epizodami—autonomia narodu, oddzielenie spraw świeckich od duchownych—równość wszystkich w obliczu prawa, niezależna od różnicy pochodzenia, wyznania i płci—malują je dostatecznie. Ale i tu nie obeszło się, zwyczajem kobiecym, bez sentymentalizmu. Bliźnięta myślą tak szlachetnie, że nie chcą przyjąć nadawanéj im przez naród władzy królewskiéj! Że jednak tłumy lubią mieć bicz nad sobą, czują się więc rozczarowanemi, szemrzą i jakeśmy napomknęli, godzą się na tryumwirat.

Tu raz jeszcze potrąciła p. R. o sprawę swéj płci. Świat zajmował się wiele i dziś jeszcze zajmuje się rolą kobiet w życiu państwowém, nic przeto dziwnego, że przekształciwszy rdzennie rządy, ustawodawczyni powierza w nich należny udział kobietom—trzéj mężowie, dzierżący ster nawy państwowéj, obradują razem z kobietami: siostrą królowéj, córką jéj, ową nadobną aktorką, która, jak się okazało, była blizko spokrewnioną z bliźniętami, tym sposobem, obok wielkorządców oficyalnych, stoi w półcieniu sztab przyboczny z białogłów złożony, zachęta to w istocie wielka, ale czy do wypracowywania not gabinetowych?

Im bliżéj końca, témbardziéj traktat społeczny wypiera ze stanowiska powieść. Są rozdziały, które jaknajwygodniéj figurować by mogły w projektach ustaw. Połączone tryumwiraty wydają coś w rodzaju „Deklaracyi praw człowieka“, gdzie określiły pojęcie prawdziwego obywatelstwa i zaznaczyły jego wszystkie prawa i obowiązki. W krótkim szkicu ogłoszono tam zmiany, dotyczące wszystkich stron społecznego życia. Wysoko po nad głową podnosząc chorągiew wolności, powiewa nim autorka na cztery strony świata, powiewa nad nauką, religią, przemysłem, handlem, konkurencyą—wolność i wolność bezwzględna, bezgraniczna, nieokiełznana, oto alfa i omega całego prawodawstwa. Oto talizman mający zbawić ludzkość.

Szczególną pieczą cieszy się stosunek obywateli do rządu, czyli prawo państwowe i instytucya małżeńska. Kobieta zyskuje więcéj praw niż ich obecnie używa, ona to przekazuje majątek i imię dzieciom, w ten sposób role obecne małżonkowie zamieniają. Wzajemna skłonność poślubiających się jest jedyną rękojmią trwałości związku. Zniknie więc zło uwarunkowane przez dwa złowieszcze

artykuły kodeksu francuskiego. Obrządku nikomu narzucać nie można, rozwód staje się ucieczką uświęconą przez prawo, ale za to wszelkiemu wiarołomstwu grozi nader surowa kara, co zaś najważniejsza zniesioną zostaje pewna instytucya, która stanowi prosty wynik spaczonéj idei małżeństwa i tak olbrzymią rolę odgrywa w życiu dzisiejszém. P. R. dba do tego stopnia o czystość obyczajów, że zabrania po za obrębem związku normalnego być posłusznym zmysłom. Prawdziwie zazdrościć trzeba wskrzeszonéj „republice Partenopejskiéj“, że tak mądre posiada ustawy. Optymizm posunął panią R. zadaleko. Wygląda ona tutaj, jak owa surowa hiszpanka w pierwszéj pieśni Byronowskiego Don-Żuana, co tak troskliwie oczyszczała otaczającą synalka atmosferę moralną, aż go wykierowała na protoplastę uwodzicieli. Poeta okazał się tu przenikliwszym daleko pedagogiem, niż uczona badaczka społeczna.

W dalszym ciągu znajdujemy nudny zarys reszty prawa cywilnego i prawo karne, następnie postępowanie cywilne i postępowanie karne, politykę gospodarczą, prawo finansowe, brak tylko prawa międzynarodowego—szczęściem dla czytelnika; wartość tego wyrobu autorka zresztą najlepiéj, choć zdaje się bezwiednie, oceniła w owym napadzie zbiorowym na nową rzeczpospolitą. W istocie wszelkiego rodzaju zawiłości w stosunkach międzypaństwowych najczęściéj podobnie bywają rozstrzygane. Reguły wyłożone są językiem technicznym, świadczącym o znajomości przedmiotu.

Tak się przedstawia treść i zadanie „Bliźniąt Hellas“. Utwór to widzimy nie zupełnie do literatury nadobnéj należący. Za dużo w nim filozoficznych tyrad i społecznych rozpraw. Najwłaściwiéj zaliczyć by go było do cyklu owych marzeń w rodzaju utopii Tomasza Morusa, Cabeta, gdyby nie wybitny w nim zakrój realny, który mimo wiedzy wkradł się. To, co ze stanowiska pani R. jest lepszém, mianowicie doradzany przez nią nowy ustrój społeczny, nie jest ani lepszém ani nowém całkowicie. Wielu, którzy ludzkości życzą bardzo dobrze, wyklina go jako sprawcę niedoli i nędzy. Ale p. R. pozostała w zgodzie z sobą — nie sprzeniewierzyła się godłu walki o byt w socyologii.

Jedna jeszcze wydatna cecha odróżnia „Bliźnięta“ od innych tendencyjnych dzieł—żywioł estetyczny. Pomimo rozwlekłych rozumowań, zajmujących dziesiątki stronic, pomimo wielu przedmiotów, jak najmniéj licujących z naturą powieści, takie w nich bogactwo działania, dramatu i barw, że wzbudzają nie mały interes i miejscami pozwalają zapominać, iż są wypchane tendencyą, która wszystkiemi szparami wyłazi. P. R. złożyła w nim niepospolity zasób twórczego talentu. Samo już połączenie w jednéj misternie sple-

cionéj nici opowiadania tylu różnych i obcych sobie włókien dowodzi niezwykłéj pomysłowości. Są tam postacie stare i wytarte, ale są i sympatyczne, działające na nas potężnym urokiem, jak postać kardynała, Leony aktorki, która żywo przypomina czarowną Aspazyą, obu bliźniąt i inne. Prawda, że autorka jest idealistką i gdzie niegdzie tylko daje wierne odbicie prawdziwego świata, ale rzadko bohaterów z krwi i kości ogałaca, drgają oni życiem gorączkowém i lubo zawsze zbyt jak na zwykłych śmiertelników wykształceni, mają wybitną indywidualność i ostro w umysł się wrażają.

Nie mile uderza przestarzała, w znacznéj części klasyczna forma opowiadania, w listach kobiecych przeważnie, które, znowu mimowoli autorki, znamionuje nadzwyczajny realizm, mianowicie gadatliwość, jaką tylko na jawie znaleść można. Czułe wynurzenia, łzy i zaklęcia, drobiazgowe spowiedzi są tu zjawiskiem stałym. Obok tego namiętna słabość do wystawności, czczéj dekoracyi, cudownych zbiegów wypadków—awanturnicze wyprawy, wstrząsające nerwy—rys czysto męski, a zapożyczony od szkoły romanso-pisarzów francuskich.

Wpływ maniery ojczystéj bardziéj jeszcze uwidocznia się w trywialnych i pełnych nieprawdopodobieństwa sprężynach akcyi. Przez całą długość przygotowań do walki politycznej i saméj walki, Leona, opuszczona przez żądnego czynu i prawdy Mateusza, towarzyszy mu w przebraniu męskiém, niepoznana, pomimo klasycznych swych kształtów i tysiąca niesprzyjających podobnéj maskaradzie okoliczności. Wogóle maskaradą, zawsze uwieńczaną dziwném powodzeniem, poetka posługuje się również swobodnie, jak autorowie operetek najnowszych.

Chwilowo znowu talent p. R. wzbija się bardzo wysoko. Ponurą satyrę zawarła ona w maleńkiéj scenie śmierci królowéj; przy łożu stoją jéj dzieci „prawe", z wyrazem tępoty na twarzy, w obec okropnéj chwili, ogłupione i onieśmielone etykietą dworską, machinalnie szepcące pacierze za spowiednikiem-jezuitą, jak manekiny.

Często téż autorka nie umié korzystać z chwili. Mateusz w okresie największego wyuzdania kochał się w siostrze ciotecznéj, kobiecie silnego i samoistnego charakteru. Zwiedziony raz oszczerstwem jakiegoś nikczemnego druha, zemścił się nad niewinną straszliwie, zbezcześcił ją gwałtem. Tajemnica pokryła zbrodnię. Gdy po latach kilku dowiedział się prawdy i pojął ogrom swéj winy i podniosłość duszy kochanego niegdyś dziewczęcia, które go obrzucało teraz wzgardą i odtrącało nieugiętą dumą, zapałał powtórną prawdziwą miłością, cóż, kiedy Stefan serce jéj już pozyskał—materyał na dramat wspaniały, umotywowany psychologicznie, ale u p. Royer

wszystko w stosunkach działających osób kończy się harmonią—małżeństwami, zupełnie jak w komedyach francuskich.

Nie wiemy jak przyjęto w swoim czasie „Bliźnięta“ we Francyi. Wzmianki odnośnéj znaleść nam się nie udało nigdzie, w piśmiennictwie naszém témbardziéj. Zresztą wiele wody od narodzin ich upłynęło. Nie ulega wątpliwości, że ci, którzy w utworze p. R. spodziewali się znaleść jedynie zwykłą fabułę powieściową—doznali gorzkiego zawodu i pomijać musieli całe obszerne rozdziały, pozostawiając nie rozciętemi kartki, a jednak i te rozwlekłe wycieczki w odległe okolice zawierają wiele pouczającego i ciekawego dla poważniejszego umysłu. Autorka lubi obcować zblizka z piękną Italją i Heladą—nazwisko ojca bliźniąt jest nazwą ojczyzny Leony—lubi rozszerzać się nad nieporównaném bogactwem jéj natury i sztuki. Dziennik, jaki Mateusz w swéj podróży prowadzi, jest zbiorem znakomitych spostrzeżeń i uwag gruntownego estetyka i historyka. Takie jak u p. R. zrozumienie losów i ducha starożytnéj Romy, napotyka się tylko chyba w pieśniach tułacza Child-Harolda. Gdy czytamy te obrazy lotne, zdaje nam się, że widzimy drugą Korynnę, jak wędruje pomiędzy zabytkami nieśmiertelnego ducha klasycyzmu, lub Irydiona, stojącego z Massynissą nad gruzami zburzonéj stolicy świata. Ten polot dziejopisarski filozofki i poetki towarzyszy nam wszędzie i owiewa całość atmosferą prawdziwéj wytworności ducha, tak, iż chętnie zapominamy o pospolitych, naciąganych i nieraz śmiesznych efektach.

„Jumeaux d'Hellas“ i pisma filozoficzne p. R. są dziećmi jednéj i téj saméj indywidualności, ogniwami jednego i tego samego łańcuha działalności. Nie masz między niémi żadnego rozdwojenia co do wewnętrznéj dążności, lecz tylko różnica w formie. Pisarze wielostronni miewają w najlepszym razie osobne temata dla nauki, osobne dla poezyi, osobne dla publicystyki. P. R. widzimy ukutą z jednéj bryły; w różnobrzmiącéj mowie głosi ona te same ideały, z jednakową siłą i odwagą broni nowych zdobyczy naukowych i napada na pojęcia i urządzenia, które chciała-by widzieć rozsypanemi wproch.

Taka w kobiecie energia należy do zjawisk mniéj tuzinkowych. Niezmordowanéj téj pracy i dziś jeszcze świadkami są francuzi. Wiemy, że najpoważniejsze dzienniki, jak „Presse“, „Temps“ i czasopisma naukowe, w rodzaju „Jurnal des Economistes“, korzystały i korzystają dziś jeszcze z współpracownictwa p. R. W połowie zeszłego dziesięciolecia wiele wrzawy narobiły i żywém zajęciem cieszyły się wykłady „Entretiens philosophiques“, któremi autorka zamierzała wpłynąć na ogół wykształcony i odnowić zupełnie dzie-

dzinę badań filozoficznych. Przyczém działała wysokim polotem i rozległością poglądów i tematów, takich jak „Nieskończoność w nauce i naturze“ itp. Wogóle czynną jest bezustannie i szerzy naokół wiedzę częstemi konferencyami.

Ale nadewszystko cenić należy w p. R. męstwo, którego godłu hołduje tak świadomie. „Logika i niezależność umysłu—mówi ona—nie wystarczają, gdy chodzi o rozwiązanie problematu naukowego. Potrzeba jeszcze energii temperamentu, również niezbędnéj dla ustalenia idei, jak i dla wykonania dzieła“. Choć-by kompetentna krytyka zasługi jéj dla pewnych gałęzi nauki sprowadziła do niewielkich rozmiarów, w literaturze ogólno-ludzkiéj będzie ona zawsze wybitną i oryginalną postacią. Dziwak Szkocki Carlyle nauczył nas, że więcéj niż wysoka inteligencya i bogactwo wiadomości warta odwaga, szczerość i siła przekonań. Tę miarę przyłożywszy do pani R., wypadnie wyróżnić ją wśród tysiąca głośniejszych pisarzów. A dodajmy do tego—wielostronność ducha—tę ciągłą harmonią między suchem badaniem, dociekaniem filozoficzném i poezyą, między abstrakcyą i uczuciem, czego daremnie szukamy w tylu mumjach niemieckiéj nauki, w tych molach bibliotecznych, które przecież chełpią się, że wydały Fausta.

II. Ludwika Ackermann (z domu Choquet).

W bliskości gajów oliwnych Nizzy, w starożytnym klasztorze po-dominikańskim, z którego górnych okien roztacza się widok na cudny błękit zatoki, schroniła się przed światem i jego zgiełkiem poetka-myślicielka. Samotne cele pozostawiła nietkniętemi i tylko wieżyczkę dobudować kazała, skąd przypatruje się lazurowemu niebu i pięknéj naturze u stóp jéj rozpostartéj i kiedy niekiedy zaledwie chwyta słabe odgłosy ludzkiego zamętu.

Musi to być niewiasta świętobliwa i pobożna, skoro siedlisko wybrała wpośród zczerniałych murów, wilgotnych wypłakanemi kiedyś łzami, albo dusza pokutująca za ciężkie grzechy, jeśli jéj trupi oddech nie wypędza na przesycone aromatem wiecznéj wiosny kobierce z zieleni i kwiatów. Bynajmniéj, pustelnica to niezależna, nie opętana żadnym religijnym obłędem; jak zatopiony oczyma i myślą w gwiazdach astronom noce przepędza na wyniosłéj czatowni, tak ona uciekła tam, by dogodniéj, jak z lotu ptaka przypatrywać się ziemskiemu padołowi; z ust jéj wychodzą słowa nie miłością bóstwa natchnione, nie uczuciem skruchy, pokory nacechowane, ale ziejące dumą i szyderstwem. Posłuchajmy:

„Mniemają, że religia jest wychowawczynią człowieka. Radzę jéj być dumną z takiego uczucia: to edukacya, którą trzeba rozpocząć na nowo". „Chciałabym doprawdy uwierzyć w dar Łaski. Potrzeba w istocie osobliwszéj przychylności Niebios, by módz zrozumiéć dogmaty i sakramenta. Potrzeba koniecznie żeby się w to Bóg wdał, bo sam człowiek nigdy tego nie osięgnie".

Żaden chyba anachoreta bluźnierstwami podobnemi uszu naszych-by nie kalał. Ale zapytajmy, skąd ta pogarda i nienawiść dla wszystkiego, cośmy dotąd tylko czcić umieli. Oto odpowiedź:

Kobieta, co zamiast wznosić w górę załzawione oczy, posyła niebu tak zjadliwe wyrzuty, musiała wiele przeboleć i więcéj jeszcze przemyśléć. Zapuśćmy na chwilę wzrok w tajniki jéj życia, które rzadko tylko i szczupłéj liczbie wybranych odsłaniała.

Była tam kiedyś wiara naiwna a silna. W dzieciństwie swém i zaraniu młodości poetka była budującym przykładem dla całego swego otoczenia, dosłownie rozumiała historyą grzechu i odkupienia, z całą powagą i łatwowiernością słuchała baśni świętych i jak sama wyznaje, była-by po téj drodze trafiła wprost do klasztoru, gdyby nie był znalazł się w wychowaniu jéj czynnik odwrotnéj natury, w osobie ojca, który wszelkiemi siłami starał się osłabiać potężny wpływ matki - dewotki. Wolteryanin starego autoramentu spostrzegłszy marzycielskie skłonności córki zatrwożył się o jéj równowagę umysłową i wsunął do rąk jedno z dzieł wielkiego szydercy. Skutek przeszedł oczekiwania. Chciwie neofitka rzuciła się do biblioteki ojca, którą już dawniéj pożerała oczyma, rozkoszowała się przekładami Platona a nadewszystko zachwycała się Buffonem. Z kolei surowa rodzicielka, widząc dziecko zagrożone niebezpieczeństwem herezyi, rozpostarła nad niém opiekuńcze skrzydła i oddała Ludwikę na pensyą, utrzymywaną w Paryżu, jéj mieście rodzinném, przez matkę jakiegoś szanownego księdza, kobietę z wykształconym umysłem i sercem, na któréj bogobojność wiele liczyła. W rzeczy saméj, poczciwy kapłan wykładał bardzo troskliwie nowéj wychowance zasady teologii. Tym razem wszakże nauki, które ją przed laty kilku przejmowały namaszczeniem, wywarły skutek wprost przeciwny—rozśmieszały ją tak, iż z trudnością udawało się ukrywać przed czcigodnym mistrzem jałowość gruntu, w który posiew jego padał.

Odtąd poetka wszystkiemi porami wchłania w siebie atmosferę wiedzy i piękna. Stroni od świata, do którego ciągnęła ją rodzina, dnie całe przepędza nad księgami i w niemém kontemplowaniu tworów natury i zawiera znajomości z znakomitymi ludźmi, pomimo, że

otoczenie domowe, przy całém swém zamiłowaniu literatury, nie lubiło krępować się powagą wybitnych osobistości. Tym sposobem znalazła przystęp do Stanisława Julien, Eichoffa, Letronne'a, mężów szanowanych dla głębokiéj nauki. Jednocześnie w skrytości ducha sposobiła się na poetkę. Jeszcze za czasów szkolnych probowała młodocianych sił na polu rytmotwórstwa. Zwycięstwa, jakie tu odnosiła nad rówieśnicami, które napastowały ją niemiłosiernie szykanami za dzikie i nie śmiałe zachowywanie się w obec ludzi i obdarzały przydomkiem „niedźwiadka", zwróciły uwagę profesora literatury, a że pozostawał w stosunkach przyjacielskich z domem Wiktora Hugo, przeto w uniesieniu zaniósł mu kilka jéj poezyj. Wielki romantyk przyjął je nader łaskawie i opatrzył kilkoma wskazówkami i radami, dotyczącemi rytmu. Ten sam wielbiciel jéj pierwocin miał dla niéj zwykle pełne kieszenie księgarskich nowości i obznajmiał dokładnie z takiemi wieszczami, jak Szekspir, Byron, Goethe, Schiller. Całą swoję pracę nad książkami, robotę całą wewnętrzną poświęcała zrozumieniu poetów i chociaż późniéj nie miała żadnego przewodnika i najmniejszéj zachęty, upragnionego celu z oka nie spuszczała. W uczuciach zarówno jak i poglądach, nieznosząc paraliżujących polot więzów i prawideł—szybko odsunęła klasyków, a z zapałem wzięła się do Alfreda de Vigny, Musseta, Wiktora Hugo, Sénancourta, którymi na czytaniach wieczorkowych w rodzinném kole zastąpiła poprzednich bogów.

Wielostronnie zatém rozwijał się umysł naszéj bohaterki. W swéj żądzy poznania była nienasyconą. Zawładnąwszy doskonale językiem niemieckim, którego ojczyzna nęciła zawsze jéj zmysł filozoficzny, udała się do Berlina w roku 1838, mając lat 25—stanęła u szczytu marzeń znalazłszy się w stolicy, „któréj mieszkańcy żyją po to tylko, by uczyć się lub nauczać." Tu zaznajomiła się z znanym lingwistą Pawłem Ackermannem. Aczkolwiek sama wolną była od wszelkich popędów erotycznych, i pragnienie miłości było jéj obcem—zdołała wzbudzić głębokie przywiązanie w uczonym wydawcy literackiéj spuścizny po Fryderyku II i nie mogąc oprzéć się jego szczerym, błagalnym prożbom, zgodziła się na związek dozgonny, który miał sprowadzić nowy przełom w jéj życiu.

Marzyła ona nieraz o spójni duchowéj, ujętéj w formę małżeństwa, ale nie wierzyła, by to stać się mogło jéj udziałem. Los jednakże okazał się szczodrobliwszym i przez pewien czas obsypywał ją wszystkiemi darami, za jakiemi wzniosły duch tęsknić może. W spokojnéj pracy naukowéj pędziła życie przy boku męża, była mu nieocenioną pomocą w trudnych badaniach językoznawczych i sama wyniosła z jego sfery nieoszacowaną korzyść i zamiło-

wanie do języków, których poznała aż kilkanaście, w téj liczbie łacinę, grecki, hebrajski, sanskrycki, chińszczyznę, i literaturę klasyczną. Nie dziw,—obracała się w gronie nielicznem, lecz dobranem, Aleksander Humboldt, Jan Müller, Boekh, Varnhagen uprzyjemniali im chwile od pracy wolne. Własnéj twórczości zaparła się z taką bezprzykładną skromnością, że mąż nawet nie podejrzewał w niéj kapłanki muz. Ale błogi ten stan nie trwał długo. Śmierć nieubłagana zabrała cichego pracownika. Przygnębiona boleścią i złamana sieroctwem po jedynym człowieku, którego prawdziwie wielbiła—ojciec już dawno spoczywał w grobie — poetka uległa namowom sióstr i przeniosła się pod pogodne niebo Nizzy.

Tutaj całą duszą pogrążyła się w filozofii i poezyi; zasklepiona w sobie i nikomu się nieudzielając, tak, iż okoliczni mieszkańcy więcéj znali ją z zajęć ogrodniczych niż umysłowych. Siłą woli stłumiła ból, i wezbranemu falą łzawych skarg sercu dawała ujście w rymach. Z czasem tak zagłuszyła wspomnienia utraconego raju, że mogła zająć się chłodno przekładem staroindyjskich pieśni, które ją zwabiły znajomą melodyą, opiewały bowiem miłość małżeńską. Sama jednak w swéj bezpretensyonalności nazywa te prace „nietaktem literackim“ i surowo je potępia.

Poetka, choć chińskim murem odgrodziła się od świata, okazuje żywe zajęcie dla donioślejszych zdobyczy wiedzy; tysiącem promieni spływa do niéj światło nauk: w postaci mnóstwa pism, broszur i dzieł. Sama z ustronnéj celki odzywa się do ludzi rzadko, ale za to mową, która długo, długo brzmi w oczarowanych uszach naszych, jak tajemnicze odgłosy arfy eolskiéj. Ale strun jéj liry nie porusza swawolna, jak zefir, gra uczuć;—potrąca je ból wielki, głęboki, obejmujący wszechświat cały; wstrząsa niemi dławione łkanie lub zuchwały protest przeciw nędzy i niedoli téj ziemi.

Prócz nie wielkiego zbiorku powiastek klasyczną francuszczyzną wyhaftowanych misternie na kanwie fantazyi indyjskiéj, a poświęconych miłośnikom akademickiego stylu—wszystkie jéj pieśni tchną głęboką melancholią, aż w końcu wybuchają rozpaczliwym, beznadziejnym, jak piekło Dantejskie, pesymizmem. W małym tomiku poezyj lirycznych, wydanych (r. 1877) w kilkuset egzemplarzach zaledwie—dla duchów pokrewnych, nie lękających się siarczystego dżdżu, jako pomsty niebios za niezadowolenie z ich arcydzieł—huczy tak potężny rokosz przeciw rządom Bóstwa, że dziw nas ogarnia, jak mogło serce kobiety nie pęknąć pod taką nawałnicą gniewu i oburzenia.

Skromniejsza jeszcze wyglądem książczyna, ogłoszona lat trzy temu, rozwiązuje ciekawą zagadkę zwięzłym życiorysem i kilkoma

dziesiątkami świetnych, treściwych, jak myśl sama aforyzmów. Z niéj dowiadujemy się, że poetka nie własnego życia koleje opłakuje w natchnionych strofach, nie nad osobistemi zawodami rozżala się, w przedmiotową ubrawszy je formę, ale nad ogarniającém całą istność, byt powszechny, nieszczęściem. Wieszcz, który myśli tylko o sobie — twierdzi ona — stanie prędko u kresu swych śpiewów. W imię natury, a przedewszystkiém w imię ludzkości należy podnosić głos. Te źródła natchnienia są jedynie głębokie i niewyczerpane. Widziany zdaleka przez szkła samotnych dumań poetki—rodzaj ludzki wydaje się jéj „bohaterem opłakanego dramatu, który się gdzieś w zapadłym kącie świata odgrywa, w obec obojętnéj natury, ślepych praw i z jedyném zbawieniem—w nicości“.

W istocie, p. Ackermann za mało złego doświadczyła, by można było słusznie pomawiać ją o subiektywizm. Dotknęła ona zaledwie ustami kielicha goryczy, jaki nie jeden wychylić musi do dna.

Los zesłał jéj dwa lata błogiego szczęścia, a jeśli potém wyrwał ją szorstko z słodkiego upojenia, czyż nie nagrodził tego wieloletnim spokojem, którym sama się szczyci. Były tam i chwile wesela; ilekroć napotykała subtelny dowcip i rozumny żart, śmiała się chętnie, a walk wewnętrznych do dziś dnia nie zna. Czyż-by próżność autorska kazała zapierać się podmiotowości, próżność, któréj dziwny, bezprzykładny brak wszędzie indziej nas zastanawia? Nieraz już usiłowano z utworów Ackermannowéj zedrzéć urok oryginalności, przypisując ich bezdenną rozpacz wpływowi Schopenhauera i Hartmanna, z którymi długo pod jednym pozostawała niebem, ale poetka zwycięzko zadała kłam tym podejrzeniom, gdy z kosza zbutwiałych już zwierzeń młodzieńczych wydobyła zapomniany wiersz również gorzki, jak późniejsze płody jéj muzy. W siedmnastym roku życia pisała ona w poemacie zatytułowanym „Człowiek“:

Wśród bólów jęku zrodziła cię matka
Na świat przyszedłeś jako syn katuszy.
Tak rozpoczęta istnienia zagadka
Krzyki żałośne wydarła ci z duszy.

a kończy przepowiednią:

Pod brzemieniem niedoli ugnie się twe ciało znużone
Usta słodyczy niebytu łaknące, nie wydadzą głosu,
Oko na wieki zagaśnie cichym snem śmierci sklejone,
Raduj się starcze, bo będzie to pierwsza pieszczota losu!

Zdaje się, że wykład pesymizmu choćby tak wymowny jak zgryźliwego czciciela Nirwany, nic do tego „credo“ dorzucić nie był-

by wstanie. Ale dobitniéj niż najszczersze wyznanie wiary, przemawiają do nas zwykłe modlitwy lub przekleństwa poety. One tylko należycie oświecić nas mogą o naturze i wartości opiewanych przezeń tryumfów lub cierpień. W tém źwierciedle odbija się prawdziwy obraz wieszcza, a u Ackermannowéj dziwnie czysty, jak krynica przezroczy styl, pozwala dojrzéć najdrobniejsze rysy jéj indywidualności, bez wielkiego wysiłku myśli.

Napróżno szukałbyś tam jakiegokolwiek systematu. Nieznane są jéj zachcianki odkrycia nowych prawd, lub co się zdarza najczęściéj, olśniewa świat utartym pomysłem w błyszczącéj szacie. Fantastyczne mrzonki i dowolniejsze jeszcze proroctwa myślicieli germańskich, jakoś drogi do jéj mózgu nie znalazły. Ten nawet rutyniczny podkład, jaki wyziera z narzekań Leopardiego a zwłaszcza z dyalogów, jest jéj obcym. Nie okazuje ona najmniejszéj skłonności do prowadzenia naukowych dysput, jéj filozofia jest bezsporną, niewątpliwą, nie potrzebuje żadnych dowodów,—wychodzi prosto z serca i wyraża się samém uczuciem—jedną wielką skargą. To też poetka wlała w nią całą siłę, którą inni zazwyczaj dzielą pomiędzy dyalektykę i poezyą.—Metafizyczne poglądy Ackermannowéj należą do najpospolitszych ale też najprawdziwszych w dziejach filozofii: są panteistyczne; do niéj najłatwiéj dałyby się zastosować głębokie słowa Musseta wyrzeczone o Spinozie: „zmęczony daremném szukaniem Bóstwa, łudził się w końcu, że je znajduje wszędzie“ (L'Espoir en Dieu). Poetka zachwyca się wprawdzie pięknym kwiatem, czarownym dźwiękiem, jako wyrazem nieśmiertelnego i powszechnego ducha, lecz innym jego objawom zaprzecza rozumu. Nie „ideą bezwzględną,“ nie „pierwiastkiem bezwiednym“ jest dla niéj owo tchnienie ożywiające wszechświat, ale zwyczajnie Jehową, Jowiszem. Najchętniéj wysławia się językiem miłości macierzyńskiéj, jaką każda kobieta mierzy dobro—i nazywa go matką, a raczéj macochą żarłoczną, która płodzi bezustannie ale dzieciom zostawiwszy śmierć, dla siebie zagarnęła wieczność. Myśli ona o tych jedynie, co mają się narodzić,—żyjący giną w zapomnieniu. „Gdy tuląc do serca, które niezadługo bić przestanie, inne serce cierpiące, mniemacie śmiertelni, że uściskiem namiętnym obejmiejcie nieskończoność—owo uniesienie święte, pragnienie bezgraniczne to już ludzkość przyszła, która w łonie waszém się porusza.“ Możnaby w tym wyrzucie dopatrywać się śladu szkół niemieckich, dla których miłość to tylko podstęp natury służący jéj do utrzymania rodu ludzkiego na ziemi i zadowolenia życiodawczéj żądzy, gdybyśmy takiéj saméj historyozofii nie napotykali, w podobnéj nawet formie, u innych poetów rozpaczy (Musset Leopardi). Cóż dziwnego? jak kotwicy chwytają się miłości na bez-

brzeżnym oceanie nudy lub niedoli, a ona ich zdradza i w złą naturę świeże wlewa soki; jedyna, niekłamana rozkosz—źródłem tysiąca boleści: co za gorzka i nieubłagana losu ironia!

W przepysznéj apostrofie poetka rzuca w twarz naturze wszystkie jéj zbrodnie, których się względem człowieka dopuściła i szydzi zjadliwie ze skargi i obrony bóstwa, w równie piękną ujętéj apostrofę. Wszechrodzicielka wstydzi się poronionego swego tworu tak dumnego jednak wyższością nad inne stworzenia, i zapowiada, że twórczości zaniechać nie myśli, owszem będzie bezlitośnie niszczyć owe puste a głośne zlepki gliny, bez żalu ciskać trupy na trupy, dopóki zbolałe od rodzenia łono nie pocznie istoty idealnéj, wolnéj od więzów ciała,—dziecięcia, które zdruzgocze nieubłagane kajdany materyi i fatalności i wędrować będzie po ziemi w promieniach własnego światła: oto druga postać téj saméj filozofii dziejów którąśmy widzieli przed chwilą, lecz już nie na poetyckiéj wykuta teologii, tylko urobiona z materyału współczesnéj nauki o życiu. Ackermannowa z wysokim zajęciem śledziła teoryą rozwoju i wyraża zdziwienie, że żaden z młodszych i żywotniejszych poetów nie odkrył w niéj nowéj dla wyobraźni dziedziny. Jednakże, co badacza usposabia do różowych rojeń—poetę, który czuje i „cierpi za miljony“ napełnia bólem i zgrozą. To niegodziwie—na ołtarzu niedojrzanego jutra składać krwawe hekatomby z jestestw teraźniejszości. Matka zabijająca własne niemowlęta nigdy szlachetnego potomka nie wyda. A więc wyprzéć się jéj trzeba i plunąć w oczy przekleństwem. Poetka wzywa słońce na świadka okropnego widowiska: ciągłych narodzin dla bezustannéj agonii śmierci i woła:

Niechaj więc siły źródło wyschnie w twoim łonie,
Niech materya, straciwszy ziaren życia krocie,
Pozostanie bez ruchu i po władzy skonie
Odmówi ci podpory w rozszalałym locie,
Niechaj podmuch śmierci wionąwszy w świata bryłę
Zagasi na niéj wszystkie żywota pochodnie,
Bo z wspaniałego gmachu zrobiłaś mogiłę
I miast nas uszczęśliwiać—spełniasz na nas zbrodnię.

(„L'homme à la nature“)

To ulubiona konsekwencya wszystkich śpiewaków nieszczęścia. Inaczéj być nie może; błogosławieństwa i apoteozy są dla siebie same celem, potępienie musi być uwieńczone zniszczeniem. Umysł ludzki w swéj niezwalczonéj skłonności do wcielania oderwań w postaci i osoby, złe wyobrażać sobie lubi jako miłośnika cudzych męczarni, płaci mu nienawiścią i grozi zemstą. Poetka szuka obelgi tak ciężkiéj by uniesiony wściekłością duch niedoli wyrwał glob ziemski z niebios przestworza i zmiażdżył go na proch, a wtedy

Odwaga nasza od bytu męki was uchroni,
Was, co drzemiecie jeszcze w pomroce przyszłości
I skonamy, z wawrzynem tryumfu na skroni,
Żeśmy z człowiekiem Boga oddali nicości,.
Jakaż rozkosz po takim bezmiarze cierpienia
Ponad popioły życia, po nad kości bratnie,
Módz nareszcie wyrzucić okrzyk wyzwolenia:.
Niema już łez pod niebem, bo my tu ostatni!

(„Pascal")

Wrodzoną każdemu z nas właściwość uosabiania potęguje tradycya biblijna, pod któréj wpływem wychowujemy się a mity klasyczne do reszty wypierają z głowy język oderwań. Groźna potęga żydowskiego Jehowy dreszczem przejmuje bojaźliwe umysły a dla poezyi stanowi niewyczerpaną skarbnicę majestatycznego piękna, zwłaszcza dla poezyi pesymistycznéj. Stary testament, to archiwum inkwizycyi, w którém co krok napotykasz wyroki ścinające krew w żyłach. Wygnanie z raju, Kain, Hiob, Sodoma kryją w sobie bezdeń dramatu, dotąd nieprzebraną. Korzystali z niéj mistrze rymu jak Milton, Wiktor Hugo, Byron, Ujejski. Potop, ta niepojęta kara za przestąpienie despotycznych rozkazów oburza zarówno tych, co weń naiwnie wierzyli, lecz surowego sędzię oceniali miarą miłości ewangelicznéj, jak i tych co w podaniu widzieli uzmysłowienie prostaczego sumienia. W ślicznem mysteryum „Niebo i ziemia" Byron zapytuje niewyraźnie dla czego aniołom, synom nieba niewolno wybierać oblubienic z pośród cór śmiertelnych. Pani Ackermann daleko śmieléj złorzeczy niebu i do zarzutu złości dodaje hardy zarzut ślepoty. Tu tkwi właśnie zasadnicza różnica, między punktem widzenia artystycznym a myślicielskim. Poeta, lubujący się w tematach szerokich i motywach silnych, dobiera i opracowuje zdarzenia wstrząsające nerwy, nie pomny na ich sens filozoficzny; wieszcz-myśliciel łączy jedno z drugiem: prócz wyobraźni, którą nęci wielki obraz powszechnéj zagłady, działa w nim zmysł krytyczny, który w potopie widzi tylko symbol niezliczonych klęsk trapiących ludzkość. Trzęsienia ziemi, zarazy, posuchy, głody, wojny itp. „bicze Boże," wszystko co jest w Biblii i wszystko czego w niéj niema będzie ze stanowiska celowości jednakowo bezrozumném. Byron dopiero w nieśmiertelnym „Kainie" wzniósł się na wyżyny poezyi filozoficznéj, w tragedyi potopu jest jeszcze artystą.

Pogodna fantazya greka mniéj wątku nastręcza do ponurych rozmyślań, ale za to sama jedna, jedyną baśnią objęła cały ogrom ludzkiego przeczenia. Poezya hebrajczyków nasuwa zadumę pessy-

mistyczną, wielki myt o Prometeuszu jest téj zadumy świadomym wyrazem.

Prometeusz. Ile wspomnień budzi w nas to uroczyste imię, ile melodyj potężnych przypomina ten starożytny a wiecznie świeży, magnetyzujący akkord. Całe dzieje nieszczęśliwéj ludzkości od pierwszéj doby istnienia streściły się w nim. Grek, który tragikomedyą życia odmalował w czarownych legendach i na wsze czasy dał zmysłowe kształty najważniejszym jego momentom, wysilił swą twórczość by zawrzéć w symbolu Prometeuszowéj walki niespokojne, pełne udręczeń dążenie człowieka do ideału. Sformułował w nim zarazem całą swą etykę i wytknął cel, do którego droga tak obficie cierniami usłana. Światła i ciepła potrzeba ludzkości, tego co umysł rozjaśnia i serce ogrzewa, wiedzy i szczęścia! Czuł on, że gdzieś te skarby leżały ukryte, gdzież jeśli nie na Olimpie, u przedwiecznych jego mieszkańców, co samolubnie obchodząc się z człowiekiem, przywłaszczyli sobie całkowicie ów ogień, ku któremu daremnie wyciągamy dłonie. Ale człowiek-tytan zimna i ciemnoty znosić dłużéj niechciał. Zbuntował się i wykradł z wyniosłego bogów siedliska święty płomień. Niestety, krótko trwało szczęście świętokradzcy. Straszliwie ukarał go Zeus: przykuł bezbronnego do skały a sęp żarłoczny szarpie mu odtąd wnętrzności.

Harmonia w usposobieniu greków nie mogła pogodzić się z wieczną rozterką. Zrodziły ją w wyobraźni czasy burz i chaosu, kiedy życie społeczne hellenów nie było się jeszcze ukształtowało; z chwilą gdy ślepą grę żywiołów zastąpił ustalony byt państwowy i umysłowy, znalazł się rozjemca w osobie Eschylosa i Prometeusza z niebianami pojednał. Wszakże tych zatargów pierwiastkiem najznamienniejszym pozostał Prometeusz przykuty do opoki. Ludzie późniejsi, wykształceni już tylko na zwaliskach świata starożytnego jego pokojowych gustów nie dzielili a harmonii nie rozumieli. Cywilizacya dzisiejsza cierpi więcéj niż dawna i we wszystkiém snadniéj odkrywa stronę ujemną. To téż, chociaż pięknym jest wypieszczony w zbytku i równowadze grek, ale niemniéj chyba ciekawym zahartowany w zapasach ducha w katuszach myśli własnéj chrześcijanin. Jego rozdzierają na poły sprzeczne siły i namiętności i odbierają mu utoczone kształty ciała, któremi zachwycał się ateńczyk z jednéj bryły marmuru wykuty. Co dla inteligencyi greckiéj było przenośnią, w oświacie nowoczesnéj stało się dotykalną rzeczywistością. Prometeizm przeszedł poniekąd w osobny kierunek literatury nadobnéj a Prometeusz jest typem całego szeregu ludzi, męczenników ideału. Nieszczęsny syn Klimeny znalazł braci, acz młodszych, w Byronie, Shelleyu, Goethem, w Szekspirowskim Hamlecie, który męczy

się własną wyższością, w Heinem, Alfredzie de Musset, Flaubercie i innych. Eschylos nie z głębi własnéj duszy czerpał dla swego dzieła natchnienie, lecz z wzorów, jakich mu dostarczała alegorya, Faust i Manfred w osobistéj za wiedzą lub pięknem pogoni. Już nie słabe oceanidy, jak w znakomitéj grupie Edwarda Muellera, współczują ofierze zemsty bogów, lecz wszystkie jednostki wybrane. Wobec podwójnéj samowiedzy człowieka nowożytnego, badającéj własne wnętrze refleksyi, rozkładającéj każde uczucie analizy, dosyć jest raz rzucić okiem w zakazaną sferę ideału, by nazawsze popaść w tęsknotę za nim, czczość i niezadowolenie, by ustawicznie być pożeranym przez nieugaszone pragnienie, nie wiele znośniejsze od szponów i dziobu drapieżnego ptaka.

Po rozmaitych odmianach, jakich doświadczał typ Prometeuszowski, każdą świeżą mytu parafrazę bierzemy do rąk z obawą niesmaku i przesytu, cóż bowiem nowego da się o nim powiedziéć? Ackermanowa dowiodła niepospolitego talentu, wlawszy w poemat swój tyle siły i ogólnoludzkiéj miłości, że słuchamy jéj z dreszczem namaszczenia, jak się słucha organów kościelnych gdy powtarzają znaną nam pieśń skromnéj „mandoliny.“ Nadto wydobyła rys, którego dopatrzéć się mogło tylko żądne poświęceń serce kobiety, a który męczennika zazdrośnego olimpu opromienia świetniejszą jeszcze aureolą bohaterstwa. Poetka nie chce, by myślano o nim, że rozpamiętywa swój ból fizyczny i kładzie mu w usta żarliwą obronę.

Jeśli chłodne szczyty, które oblega burza
Dostrzegły jak strumienie łez do ich podnóża
Płyną po śnieżnéj szacie, oszukawszy oko:
Wy wiecie o tém głazy, ty twarda opoko,
Że źródło moich łez z głębiny duszy tryska,
Że nad ludzkością boleść mózgi me odurza,
Że nad bliźnimi litość serce moje ściska.

Ale nigdy nad własną mego ciała męką;
Te tu wnętrzności, Boga rozszarpane ręką,
Przepełnione współczuciem są dla bliźnich doli
Usidlanych przez losy w wieczną walkę krwawą.
Straszliwe widmo drażni źrenicę ma łzawą
Rój wielki klęsk, co biedne głowy ich okoli.
Ich męczarni bez końca obawa złowroga
Katusze me nieznośne co chwila odmładzą.
Moim prawdziwym sępem jest świadomość sroga
Ze nasion złego, które niegodziwość Boga
Rzuciła w ich krew—żadna nie wypleni władza.

Ale pociesza się ona, że wielki czyn spełnił swoje dzieło, Prometeusz przekaże nieukróconą odwagę wolnym, święta spuścizna

nie zaginie, rozum wzrasta w potęgę i kiedyś ludzie ośmieleni spytają pana swego: za co tyle nędzy, za co ta nienawiść i kaprys? Twój sędzia, samowiedza człowiecza, zbliża się; on ciebie nie rozgrzeszy, lecz wyprze się. Ach! jakie czyste tchnienie miłości i wesela przebiegające świat cały, upoi duszę w dniu, kiedy ofiara twoja, mniej harda, niż wspaniałomyślna, zamiast oskarżać, zaprze się swego ciemiężcy.

Oto wizerunek p. Ackermann, jako poetki. Jakież są cechy wybitne, które warunkują jéj indywidualność w gronie innych wieszczów pessymistów?

Leopardi, smętny kochanek śmierci, którą ubóstwiał jako belistima fanciulla, z tęsknoty za którą usychał,—podobnym jest do owego pasterza, bohatera z jednego z jego poematów, co zazdrości swéj trzodzie że co dnia z nową rozkoszą wybiega na zielone łąki, że się nie nudzi ciągłym zabójczo prawidłowym wschodem i zachodem słońca, i jak on dni i godzin życia nie liczy. Umysł przejmuje trwogą i podziwém ta nieskończona i tak wierna sobie boleść; w obec któréj całe chóry śpiewaków nieszczęścia wydać się jeszcze mogą, namiętną apoteozą bytu. Nikt ze zrospaczonych tak bezwzględnie nie był odartym z pragnień i ideałów.

Dumny Byron wpadał nieraz w zwątpienie, lecz nie wszczepiał w ludzi pogardy dla życia. Była to dusza harda, nieznosząca jarzma. Jako Manfred nie chiał poddać się pod panowanie duchów i skonał niepodległy, jako Kain nie chciał zginać karku z dobrodusznym Ablem w uwielbieniu za krzywdy, które niesłusznie cierpiał. Wolność i sprawiedliwość, dwa ziemskie, humanitarne hasła królowały w jego uczuciach.

Heine zapijał robaka refleksyi najsłodszemi sokami życia a gdy ich brakło, karmił się ze szczególném upodobaniem głupotą i śmiesznością ludzką. Choćby więc przeznaczenie zesłało mu lata Matuzala, mógłżeby kiedykolwiek zaznać głodu.

Musset rwał obficie owoce z drzewa dobrego i złego—i nie tyle cierpiał na próżnię w sercu ile go trawiła jałowa walka między lubieżnością zwierzęcia a miłością serafa, walka, która się w obliczu jego wyryła.

Lecz mniema ona—jeśli myśliciel, którego sama natura wyniosła ponad czerń, nie wysnuwa podobnego wniosku, staje się dla świata pośmiewiskiem. Mistycyzm filozofów został wyszydzony przez

Ackermannową we wspaniałym poemacie szerszych rozmiarów p. t. „Pascal.“ Tutaj talent jéj dosięgnął zenitu.

Gdy Pascal rzucał Sfinksowi okrzyk zwycięstwa, dumny, że odgadł tajemnicę bytu—nie on, lecz potwór tryumfował, a padł za skały na ziemię, by go pozrzeć. Wtedy chrześcijanin nieustraszony, skupił całą siłę ducha i nie bacząc na buchające krwią rany, uderzył raz jeszcze na strasznego wroga z męztwem jakiego nigdy dotąd niewidziało słońce, czy teraz go pokonał? Bynajmniéj. Jak skała zimny i nieruchomy stoi przed nim Sfinks i urąga konwulsyjnym ciosom—dla czego? bo je wymierza nie rozum, lecz serce, lecz miłość, która wszystkiemu wierzy i na wszystko się zgadza. Gdy zwierzę skrzydlate zatapiało swe szpony w jego ciele, on bólu nie czuł ale wzrokiem wiary tonął w lazurze.

A jednak ten opętany religijnym obłędem prorok, dotykał kiedyś ziemi. Dzieje pamiętają jakąś nieznajomą, przed któréj pięknością skłonił głowę. Żarem namiętności zapłonęło serce. Musiała to być niezwykła kochanka, jeśli zdołała wzruszyć pysznego orła! Porwał on ją jak słabą gołębicę w obłoki, ale po to by ją zgubić. Nieszczęsna, jak ćma przywabiona światłem wśród nocy musnęła skrzydełkiem ogień i zgorzała. Ale on ocknął się z czarodziejskiego snu, wytarł go z pamięci, jako grzech śmiertelny, i całą myślą zwrócił się ku Bogu. Odtąd tylko niebios pokusy będzie słuchał.

Taką jest mniéj więcéj treść poematu. To samo opiewa druga część „Potopu“, pełna rzewnego płaczu nad sieroctwem ziemi, którą bezrozumne żywioły ogołociły z krasy. Gdyby cała wściekłość oceanu miała zburzyć tylko kilka odwiecznych wieżyc, które z podziwem widzimy dumnie jeszcze sterczącemi, zastarzałe prawodawstwa, te schronienia błędu i krzywdy, przesłaniające nam widnokrąg, a których same szczątki tyle rzucałyby cienia by na długo opóźnić rozkwit człowieczeństwa: natenczas wołalibyśmy morzu: śmiało, śmiało! szlachetném jest twe dzieło. Ale gdzie tam! Dla takiego drobiazgu miałoż-by z łożyska swego występować? Wszystko skazane na zagładę: przybytek światła i świątynie ciemności, zakrystya i pracownia uczonego, głębokie lochy i wyniosłe szczyty, z których witaliśmy postęp. O! stara ziemio, tyś nie zasłużyła zaprawdę na ten straszliwy kataklizm, ty, tak jeszcze płodna, ty, na któréj dosyć było jednego wyrazu: „wolność“ i „ojczyzna“, by wytrysło źródło heroizmu.... Co pomyślą niebiosa i gwiazdy, gdy ich promienie napróżno szukać będą wierzchołków, one, co się łudziły, że wiecznie do ciebie uśmiechać się będą: Jakiém okiem patrzyć będą na nagie lądy, bez kwiecia i zieleni, wyłaniające się z wód tam, gdzie się roztaczały twoje przepychy.

Tym małym skrótem nie możemy dać pojęcia o całéj piękności utworu. Zaznaczymy jeszcze dwa równie głębokie: „Wojna“ i „Nieszczęśliwi“, dwie łzami brzemienne skargi, tchnące najwyższą humanitarnością.

Raz jeden tylko poetka wyznaje swą niemoc w obec nieprzepartego uroku wiary, w wierszu p. t. „Pozytywizm“, gdzie z prawdziwie filozoficzną przenikliwością, odgaduje, jak trudno jest nie zakradać się myślą do zaryglowanéj przez jednostronną logikę nieskończoności. Po za tym wyjątkiem jest raczéj poganką niż chrześcianką. Zadawalnia się bóstwami ziemi: miłości, wiedzy, poezyi, muzyce składa całopalne ofiary i wielbi całym szeregiem elegij, niezrównanie wdzięcznych, w stylu klasycznym pisanych. „Hebe“, „Dwa wiersze Alceusza“, przypominające mu miłość dla Safony, „Lira Orfeusza“, „Pożegnanie z Poezyą“, „Odjazd“, „Do Alfreda de Musset“, „Lampa Herony“, „Róża“, są jak owe małe rzeźby z terakoty, wykopane z greckiéj ziemi, którym się dosyć napatrzyć nie można. Piękną parafrazę mętów erotycznych znajdujemy w „Endymionie“, oraz „Amorze i Hymenei“. Miłość uświęcona węzłem małżeństwa—to oaza na pustyni niedoli, kwiecista wyspa na morzu łez, którą poetka wszystkim wskazuje i zaleca, i któréj drogocennem wspomnieniem sama żyje. Czar minionego szczęścia jest dla niéj na tym padole najcenniejszą relikwią. „Czara króla z Thule“ przedstawia obrazowo-tajemniczą moc wspomnień, a bólem rozdzierającym serce drga „In memoriam“, poświęcone zgasłemu przedwcześnie małżonkowi. Miłości nie oddała-by za żadne świata skarby. Gardzi nieśmiertelnością i odrodzeniem w niebie:

Na co mię w waszych wyżyn wabicie pomrokę,
Mnie, który jestem samą czułością, zapałem?
Moje niebo jest tutaj, otwarte, szerokie;
Więc tonę w niem duszą i ciałem. (*Paroles d'un amant*).

Dwa stopnie natężenia przechodzi pesymizm Ackermanowéj. To przybiera ona postawę hardéj i zrospaczonéj i płaci naturze tysiącem obelg za każde doznane w życiu rozczarowanie,—Bogu tysiącem „nie“ za każdą chwilę dawnéj wiary, to wpada w melancholią po zgonie klasycznéj pogody w chrześciaństwie i przypomina owe nimfy w pięknéj elegii Turgieniewa (Poezye w prozie), których wesołe pląsy i rozkoszny śmiech zmroził widok złocistego krzyża, połyskującego w dali. To wstydzi się gwiazdy, która jest co wieczór świadkiem jéj mozołów nad marnym rymem, i zapytuje „po co to wszystko?“ to jak Tyrteusz piorunującą wymową zagrzewa do boju ze złem i piętnuje mianem hańby religijną małoduszność.

Życie swoje porównywa ona do życia tych owadów, które schroniwszy się na końcu gałązki, w listku jakimś snują sobie delikatne przędziwo, ażeby się w niém zagrzebać. Samotność—mówi—jest moim listkiem; w niéj tkam sobie mój mały kokon poetycki (1).

Napoleon Hirszband.

---

(1) Nie będzie zbyteczną następująca wzmianka bibliograficzna: „Contes et poésies", wydane zostały, ku końcowi szóstego dziesiątka bieżącego stulecia, nakładem księgarni Hachette w Paryżu. „Poésies" (Premières poésies—Poésies philosophiques) wydała księgarnia Alphonse Lemerre w r. 1877, wreszcie „Poésies d'une solitaire" (Précédées d'une autobiographie), wyszły tym samym nakładem w r. 1882.

STARA KASIA.

FOTOGRAFIA Z NATURY.

Czy była kiedy młodą—niewiem. Zapewne być nią kiedyś musiała; ja jednak odkąd ją znałem a znałem blisko lat dwadzieścia, nie pamiętałem jéj inną. Robiła na mnie wrażenie zasuszonéj rośliny, która się już nie zmienia. Nie duża, z wypukłemi plecami, twarzą podłużną zafarbowaną suchym, ceglastym rumieńcem i załzawionemi oczami, chodziła zawsze prędko, drobnym truchcikiem, jakby się jéj ciągle śpieszyło a gdy mnie spotkała na ulicy, dawała nurka głową, co miało znaczyć ukłon i mówiła: kłaniam się *pięknie* wielmożnemu panu. Znała mnie bowiem z domu, gdzie bywałem dość często, u starego nauczyciela muzyki, Czecha rodem, ale od dawien dawna zamieszkałego w Krakowie. Ona także podobno była zkądś ze Szląska, od Białéj, co się przebijało więcéj w jéj ubraniu, niż w mowie. Ubierała się krótko a fałdzisto, zawsze w ciemne kolory i przepasywała czoło i gładko uczesane włosy wąskiemi aksamitnemi tasiemkami, co jéj nadawało trochę zakonny wygląd. I była téż rzeczywiście bardzo nabożna: należała do bractwa różańcowego, nosiła podobno na gołem ciele pasek świętego Franciszka a w każdą niedzielę i święto szła regularnie, jak zapisał, do OO. Dominikanów na nieszpory z dużą książką do nabożeństwa i wykrochmaloną chustką do nosa. To jéj nie przeszkadzało być wzorową służącą, wierną i przywiązaną jak pies a pracowitą jak mrówka. Dość powiedzieć, że od czasu jak przybyła do Krakowa, służyła ciągle w jedném i tém samém miejscu tj. u mego nauczyciela muzyki Gileczko. Przyszła do niego jeszcze za życia żony i wyniańczyła im dwoje dzieci Lucynkę i Karolka. Była niby to nazywało się do dzieci, ale przy tém i prała i gotowała i pomagała sprzątać w pokoju, a gdy Gileczkowa przeniosła się na cmentarz, poczciwa Kasia zastępowała sierotom matkę,

jak mogła i umiała. Wisus Karolek nie bardzo zgadzał się na to zastępstwo i nieraz na macierzyńskie napomnienia staruszki odpowiadał wywieszaniem języka albo przedrzeźnianiem. To też Kasia nie miała do niego wielkiego serca i przepowiadała mu, że z niego niebędzie nic dobrego, ale za to do Lucynki przywiązała się tak, że do rodzonéj córki bardziéj nie można. Miałby się z pyszna taki, coby się ośmielił wyrządzić jaką krzywdę jéj pieszczotce. Nawet ojcu niepozwalała powiedzieć jéj marnego słowa. Bo też Lucynka była dobra, łagodna—bez żółci, jak gołąbek, według wyrażenia się Kasi. Piękną, co prawda, nie była, tyle tylko, że oczy miała pogodne, niebieskie, jakby je kto z jasnego nieba wykroił i w twarzyczkę, niby szybki, wprawił. Kasia jednak w macierzyńskiém zaślepieniu nieprzypuszczała, żeby można być piękniejszą, jak jéj panienka i dziwiło ją, jak młodzi kawalerowie obojętnie przechodzili koło niéj na ulicy, jakby oczów nie mieli. A niechno który z nich pokazał się w ich domu, choćby przyszedł z najobojętniejszym interesem, naprzykład po nuty lub na lekcyą, wnet Kasia z takiéj przypadkowéj wizyty wysnuwała wnioski i domysły względem jego małżeńskich zamiarów i ledwie się drzwi za którym zamknęły—ona zaraz biegła do panienki z zapytaniami:

— No—cóż panienko?—a ten? jakże?—podobał się panience?—chciałaby panienka iść za niego.

Lucynka śmiała się pobłażliwie z tych zapytań, bo była rozsądną i wiedziała dobrze, że chociażby ona i chciała, to pewnie żaden z tych panów nie miałby ochoty żenić się z nią, co nie była ani piękną ani bogatą,—miała tylko tyle, co zarabiała lekcyami muzyki, a lubo zarabiała tyle, że nawet coś zaoszczędzić sobie mogła, choć Kasia utrzymywała, że panienka z takim sercem i z taką anielską dobrocią warta miljony, to Lucynka wiedziała dobrze, że żaden młodzieniec nie złakomiłby się na takie urojone miljony. Powtarzała to nieraz swojéj Kasi; ale Kasia niedała się tém przekonać i w każdym zjawiającym się w ich domu kawalerze upatrywała konkurenta i zasięgała zaraz o nim wiadomości zapomocą swego biura wywiadowczego to jest braci i sióstr Różańca świętego, stróżów, pokojówek, praczek, lokajów, co on za jeden, jakie ma utrzymanie, stanowisko itd. Na podstawie takich informacyi ja zostałem wykluczony przez Kasię z listy kandydatów, jako nie mający odpowiednich kwalifikacyj.

— To nie dla panienki—orzekła gdy się dowiedziała, że pisaniem zarabiam na moje utrzymanie i mogłem odtąd spokojnie bywać w domu starego muzyka bez obawy, abym był posądzony o małżeńskie zamiary.

Za to było wielu innych, na których liczyła, ale zwykle się tak zdarzało, że jak o którymś zebrała potrzebne wiadomości, z których się pokazało, że byłby zdatny na męża, konkurent niepokazał się wcale ku wielkiemu zgorszeniu Kasi, która nie mogła się dosyć naprzyganiać, jaka to teraz młodzież niestała i lekkomyślna,—takich konkurentów, którym się ani śniło starać się o pannę, przewinęło się nie mało. Kasia naliczyła ich coś ze trzydziestu.

Nareszcie zjawił się jeden, który utrzymał się dłużéj, niż inni i bywał nawet częstym gościem w domu. Był to akademik jakiś, co się uczył na doktora, a więc według orzeczenia Kasi, był w sam raz na męża dla jéj panienki. Była to niepozorna figurka, blondynek nie duży i wątły, ale cichy i stateczny i jak utrzymywała Kasia, dobrze mu z oczów patrzało. Przychodził w każdą niedzielę po południu ze skrzypcami w szkatułce i grywali po kilka godzin we czworo tj. on, Lucynka, jéj ojciec i jeszcze jakiś emerytowany urzędnik i passyjonowany do muzyki. Ten urzędnik grywał na altówce, akademik na skrzypcach, panna na fortepianie, a Gileczek, który umiał grać na każdym instrumencie, na jakim kto chciał, zastępował w tym kwartecie wiolonczelistę.

Z czasem akademik tak się wciągnął do domu, że nie czekał niedzieli, ale i w dnie powszednie przychodził często wieczorami i jak nie zastał ojca, to z panną grywali we dwoje duety. To wystarczało zupełnie, aby Kasia uważała go już jak zdeklarowanego konkurenta. To ją tylko niepokoiło, że młodzi zamiast się z sobą coprędzéj porozumiéć w kwestyi miłości, grali tylko i grali bez upamiętnienia.

— Po co tu mitrężyć czas daremnie—mówiła. Jak się kto ma oświadczyć, to się oświadczyć i nie robić długich ceregielów.

A gdy jéj Lucynka zrobiła uwagę, że wmawia w tego pana zamiary, których on ani ma w myśli, uparta Kasia niechciała w to uwierzyć, bo mówiła—jeżeli niema zamiarów, to po cóż chodzi?

— Lubi muzykę, więc chodzi—tłómaczyła jéj Lucynka. Przecież i sędzia chodzi także a Kasi nie przyszło na myśl posądzać go o żadne zamiary.

— E, to co innego—odpowiadała Kasia—sędzia stary i łysy, to go nikt o to nie posądzi, zresztą nie ma w domu nic lepszego od roboty, to niedziwota, że mu się chce rozrywki; ale ten młody, mógłby się przecież gdzieindziéj zabawić, bo mało to rozrywek mają młodzi panowie po kawiarniach, *tyjatrach*, nie żeby tu rzępolił naszemu panu na skrzypcach. A jeżeli to robi, to przecie nie dla kogo innego, tylko dla panienki. Toby ślepy namacał.

Lucynka z początku żartowała z tych domysłów staruszki, nieprzywiązując do nich żadnéj wagi, gdy jednak codzień słyszała cóś w tym guście, gdy Kasia znosiła jéj coraz to różne swoje spostrzeżenia mające niby dowodzić miłości pana doktora—(bo tak go już nazywała), gdy on sam coraz częstszemi wizytami zdawał się potwierdzać niejako domysły Kasi, a nareszcie gdy raz na imieniny przysłał jéj bukiet i nuty własną ręką przepisane, i ona w końcu musiała powiedzieć sobie w głębi duszy: a może téż...., i odtąd innemi już oczami zaczęła patrzéć na pana Hipolita,—już przyjście jego nie było jéj teraz obojętném, wyczekiwała go z niecierpliwością i wzruszeniem, stępanie jego na schodach przyśpieszało bicie jéj serca, a wejście do pokoju wywoływało żywe rumieńce. Jeżeli się czasem zdarzyło, że nieprzyszedł o zwykłéj porze, albo się przez parę dni nie pokazał, to sobie miejsca znaleść nie mogła.

Były to widoczne oznaki budzącéj się miłości, których jednak pan Hipolit zdawał się nieuważać, bo nie wpłynęło to zupełnie na zmianę jego postępowania. Chodził jak dawniéj regularnie co niedzielę na kwartety,—w dnie zwyczajne na tria i duety,—weszło mu to w zwyczaj i stało się niejako nałogiem, trzeba już było bardzo ważnéj przeszkody aby opuścił który wieczór. W chwilach zaś wolnych od grania, jeżeli rozmawiał z panną to albo o muzyce, albo o potocznych rzeczach. Nigdy rozmowa ich nieprzybrała czulszego charakteru, nigdy nieprzyszło mu na myśl żądać od niéj czegoś więcéj jak przyjaźni. Uważał ją jak siostrę, jak przyjaciółkę, nie przypuszczając wcale, żeby i ona mogła dla niego żywić inne uczucia. Lubił zarówno córkę i ojca, dobrze mu było w ich domu, bo mu zastępowali rodzinę, któréj już nie miał—i w tym stosunku pozostawał względem nich niezmiennie, co starą Kasię do desperacyi doprowadzało.

Z początku przypuszczała, że to z nieśmiałości, więc próbowała ośmielić go dając mu nieraz do poznania, jak mile widzianym jest przez panienkę. Robiła to bardzo oględnie, żeby nie wyglądało, że się z nią narzuca. Duma jéj nie pozwalała na to, bo ona chciała, żeby się o jéj panienkę dobijano jak o skarb jaki i nieledwie na kolanach proszono o nią. Ale o ile mogła bez ubliżenia panience zdradzała przed nim jéj skłoność i życzliwość.

Akademik zdawał się być tém bardzo ucieszony, wdzięcznym był za życzliwość, ale ani na włos, nie posunął się daléj w stosunku do panny. To już Kasię zaczęło gniewać na dobre.

— Na co on jeszcze czeka?—pytała nieza dowolniona, a gdy jéj Lucynka wytłómaczyła, że pan Hipolit czeka może na to, aż zda egzamina, odpowiadała jéj zawsze.

— Przecież do kochania niepotrzeba *agzaminu*. Nikt tu nie wymaga, żeby się od razu żenił, ale niech się przynajmniéj oświadczy, żeby się już raz wiedziało, czego się trzymać, bo jak nic, to niech innym po próżnicy miejsca nie zabiera. A rozumie się. Nie jedenby może miał także szczerą intencyą do panienki, ale jak widzi kawalera jaki taki w domu, to nie ma śmiałości.

Rada nierada jednak musiała uzbroić się w cierpliwość i czekać razem z panną na ten *agzamin*. Ale mijały lata, a o tym egzaminie ani słychu. Co więcéj – dowiedziała się za pomocą swojéj tajnéj policyi, że kawaler w ostatnim roku dla braku funduszów całkiem zaniedbał medycynę a wziął się do dawania lekcyj, które mu jakie takie dawały utrzymanie.

To odkrycie wytłómaczyło całkiem jego dwuznaczne postępowanie. Teraz już było jasne, dlaczego się nie oświadczał. Jakże się biedaczysko miał oświadczyć, skoro nie był niczém, nie miał nic, nawet nadziei lepszéj przyszłości. I dziwna rzecz, to odkrycie zamiast odstręczyć od niego pannę, (no i Kasię rozumie się, bo Kasia podzielała we wszystkiém uczucia panienki), zwiększyło jeszcze jéj sympatyą dla pana Hipolita. Współczucie spotęgowało miłość. Kobiety, gdy kochają, nawet w błędach i wadach ukochanych umieją odszukać dobre strony. Tak i tu się stało. Ani jednéj ani drugiéj nie przyszło na myśl posądzać młodego człowieka o niechęć do nauki, o brak energii, wytrwałości, litowały się tylko nad jego położeniem i podziwiały jego szlachetność, że gwałt zadawał sercu, krył się ze swemi uczuciami, niechcąc pannie zawiązywać losu swoją miłością a w tém, że nieprzyznał się wcale przed niemi do swego ubóstwa i do tego, że był zmuszony porzucić nauki, upatrywały szlachetną ambicya i hart duszy. Odtąd i Kasia i Lucynka podwoiły dla niego swoją serdeczność i życzliwość, jakby mu tém chciały osłodzić jego położenie. Częściéj go teraz zatrzymywano to na kawie, to na kolacyi, a największa szklanka i najlepsze kąski zawsze się jemu dostawały. Ile razy Kasia *upitrasiła* jaki smaczny placuszek albo babkę, albo leguminkę jaką, zawsze porządną porcyą z tego zawijano w papier i posyłano panu akademikowi niby dla spróbowania. Poczciwe niewiasty nieporzestawały na tych drobiazgowych oznakach swojéj troskliwości; myślały one nad czemś ważniejszém, i nieraz odbywały ze sobą jakieś tajne narady, konszachty, których rezultat był taki, że jednego dnia pan Hipolit odebrał pocztą list z pięcioma pieczęciami, w którym znajdowało się trzysta reńskich i dopisek bezimienny téj treści: pożyczka na czas nieograniczony dla dokończenia medycyny.

Pan Hipolit odebrawszy w tak tajemniczy sposób zapomogę długo łamał sobie głowę, ktoby mógł być owym nieznajomym dobroczyńcą. Ani na chwilę nie przyszło mu na myśl, żeby to mogła być Lucynka, raz dla tego, że był pewnym, iż niewiedziała o tém, że porzucił medycynę, bo przez wstyd nieprzyznał się przed nią do tego, a powtóre że nieprzypuszczał, aby ona, utrzymująca się sama z lekcyj, mogła zdobyć się na taką sumkę. Prędzéj podejrzywał o to swoję sąsiadkę, jakąś wdówkę, która mieszkała obok niego a która często spotykając go czy to na schodach, czy na ulicy obrzucała go tak zalotnemi spojrzeniami, że mu się aż gorąco robiło od tego. Pulchna ta wdówka miała tę samę obsługaczkę, co on; miała także kuzynka medyka, który u niéj bywał częstym gościem a który był jego kolegą; było więc prawdopodobném, że od nich mogła się dowiedziéć o jego położeniu i chciała mu przyjść z pomocą.

Hipolit miał na tyle ambicyi, że wsparcia, jałmużny nie byłby przyjął od nikogo; ale pożyczką, ofiarowaną mu do tego w tak delikatny sposób, nie mógł pogardzić, zwłaszcza, że ona mu dawała sposobność ukończenia studyów. Przyjął więc tę pomoc i zabrał się z zapałem do nauki. To mu jednak nie przeszkadzało myśléć dość często o powabnéj protektorce swojéj; tajemniczy związek, który ich łączył ze sobą, podnosił jeszcze więcéj jéj urok w jego oczach. Niby się nie znali, a jednak znali się dobrze. Dla młodego człowieka taki stosunek niezwykły był niesłychanie ponętny, bo działał przez imaginacyą na serce, sztucznie je rozpalał i pociągał. Ile razy spotkał teraz swoję sąsiadkę, a miał sposobność spotykać ją dość często, nieraz nawet na korytarzu, w ranném negliżyku, w którym jéj było tak do twarzy—płonął wstydliwie, jak dziewczyna, co jéj widocznie się podobało, bo filuternym uśmiechem odwzajemniała się za te uczucia, jakie w nim wzbudzała.

Taka znajomość niby z bliska a z daleka nie mogła trwać długo, mało potrzeba było, aby przekroczyła granicę nieśmiałości z jednéj a względów przyzwoitości z drugiéj strony. Raz on przechodząc koło niéj, mimowiednie sięgnął rękę do kapelusza i ukłonił się, ona go o coś zapytała i znajomość już gotowa. Z czasem przybrała ona wyraźniejszy charakter, więcéj realny, bo w parę dni potém pan Hipolit przekroczył próg téj świątyni, w któréj kryło się jego bóstwo—nadobna wdówka.

Przy téj pierwszéj wizycie napomknął coś o jéj dobroci i swojéj wdzięczności, ale zamknęła mu odrazu usta, oświadczając, że nie cierpi wdzięczności, bo to jest najlichszy gatunek uczucia, jaki mężczyzna ofiarować może kobiecie, że wolała-by być prześladowaną z nienawiści, niż kochaną z wdzięczności, i dla tego prosi go, aby

między niemi o wdzięczności nigdy mowy nie było, że to, co zrobiła dla niego, zrobiła wcale nie dla zyskania jego wdzięczności.

Mówiąc to, miała na myśli swoje poprzednie względy, któremi zaszczycała go, jakkolwiek nieznajomego. Akademik jednak inaczéj sobie to wytłómaczył i stosując się do woli swojéj protektorki nie wspominał już nigdy w rozmowach z nią o wdzięczności i nie wątpił jednak już teraz, że to ona, a nie kto inny tak serdecznie opiekuje się jego losem.

Nie zadługo miał sposobność ponownie się przekonać, że się nie pomylił w domysłach swoich. Oto dla przygotowania się do egzaminów potrzebował kilku dzieł medycznych. Wartość ich wysoka przenosiła jego fundusze, pożyczyć zaś ich nie mógł, bo koledzy jego także tych dzieł do nauki potrzebowali. Brak tych książek opóźniał znacznie jego przygotowania do egzaminów, do których mu tak pilno było, bo chciał-by się był teraz odbyć z niemi jaknajprędzéj. Trapił się tém więc bardzo; gdy w tém w dniu swoich imienin otrzymuje jakąś paczkę, a w niéj... wszystkie te książki, które mu były potrzebne. Teraz już nie wątpił, że nikt inny, tylko jego nieoceniona wdówka mogła zrobić mu tę wielką przysługę. Wyczytała mu z twarzy zmartwienie, wypytała się prawdopodobnie kuzyna o powód i co tchu spełniła jego życzenia. Taka troskliwość wzruszyła go do głębi. Nie śmiał dziękować jéj za to, bo mu zakazała mówić o wdzięczności, ale uczucie jego dla niéj spotęgowało się niesłychanie. Rozkochał się w niéj na dobre, i wszystkie chwile wolne od nauki przepędzał u niéj. Cieszyło ją to widocznie i nieszczędziła mu oznak wzajemności.

Rozumie się, że w takich warunkach, wizyty jego w domu nauczyciela muzyki przerwać się musiały. Zapomniał o kwartetach, duetach i po dwa trzy tygodnie nieraz niepokazał się u dawnych znajomych. Lucynka cierpiała bardzo z tego powodu, a z nią razem i Kasia także; ale obie tłómaczyły go i pocieszały się tém, że się uczy, że jeżeli się niepokazuje, to dla tego, aby przyśpieszyć wspólne szczęście.

Nieraz wieczorem stara Kasia dla przekonania się przechodziła koło domu, w którym mieszkał pan Hipolit, a skoro zobaczyła światło w jego oknie, biegła co tchu do panienki, aby jéj powiedzićć:

— Panienko! siedzi kamieniem i uczy się.

A Lucynie serce rosło w piersiach na tę wiadomość, bo wierzyła, że to dla niéj tak się męczy. To światło, co oświecało jego okno, oświecało zarazem jéj życie, jéj duszę.—nie cieszyła-by się pewnie tak bardzo, gdyby wiedziała, że nader często w oświeconym

lampką pokoju było pusto, a pan Hipolit trawił długie godziny w towarzystwie zalotnéj wdówki.

I to prawdopodobnie było przyczyną ociągania się jego z egzaminami. Odkładał je z miesiąca na miesiąc, usprawiedliwiając się sam przed sobą najrozmaitszemi przyczynami, to potrzebą chwilowego odpoczynku dla wzmocnienia zdrowia, nadwątlonego ślęczeniem po nocach, to niedostateczném wystudyowaniem tego lub owego przedmiotu, to wreszcie brakiem funduszów na opłatę taksy egzaminów, która wynosiła dość znaczną kwotę. O téj ostatniéj przeszkodzie dowiedziała się Lucynka za pośrednictwém swojéj Kasi i niebawem postanowiła temu zaradzić, wysyłając znowu pocztą potrzebną sumę, z życzeniem, aby mu Pan Bóg poszczęścił przy egzaminach. Sumę tę zebrała w ostatnich dwóch miesiącach, w których przyjęła dwa razy tyle lekcyj, co dawniéj. Obarczyła się niemi nad siły prawie, bo uważała sobie za obowiązek pracować teraz ile możności, skoro on także męczy się, aby dojść do upragnionego celu. Odmawiała sobie wszystkiego, aby więcéj zaoszczędzić, pocieszając się tą myślą, że każdy zaoszczędzony grosz--to cegiełka do ich wspólnego szczęścia. Wiedziała, że on nic nie ma, że dopóki nie zdobędzie sobie stanowiska, nie wyrobi sobie praktyki, z któréj będzie mógł zapewnić utrzymanie jéj i sobie, będą musieli żyć z jéj oszczędności. Składała więc skrzętnie grosz do grosza, przeznaczając część pieniędzy na urządzenie mieszkania, na sprawienie mebli, jaką taką wyprawkę, a resztę na utrzymanie. Wystarczyć to mogło na czas jakiś, bo przez kilkanaście lat pracy zebrała przeszło trzy tysiące guldenów. W ostatnich zaś miesiącach, ponieważ pracowała więcéj i płacono jéj lepiéj, zebrała tyle, że mogła bez naruszenia kapitału, złożonego w kasie oszczędności, posłać panu Hipolitowi potrzebną sumę na opłatę egzaminów. Oprócz pieniędzy posłała mu serdeczne życzenia, aby mu się poszczęściło, a oprócz życzeń, posyłała co dzień gorące modlitwy do Boga, aby się jéj życzenia ziściły,—Kasia na tę samę intencyą odprawiła nowennę do serca Jezusowego i suszyła środy i piątki. Obie kobiety wyczekiwały tego egzaminu z niepokojem, który się jeszcze więcéj spotęgował, gdy się ostatecznie dowiedziały o dniu, w którym egzamin ten miał się odbyć. Na trzy dni przedtém prawie nie jadły, nie spały, tylko modliły się.

W sam dzień egzaminu pan Hipolit, który już od miesiąca nie był u nich wcale, zjawił się we fraku, białym krawacie, w czém, jak się wyraziła Kasia, było mu nadzwyczaj do twarzy. W tym świątecznym stroju, z twarzą bladą trochę, może z niewyspanych nocy, może ze wzruszenia przed egzaminem, wyglądał tak jakoś uroczy-

ście, poważnie, że obie patrzały na niego z pewnym respektem i nieśmiałością, jak na coś nadzwyczajnego a radowały się w duszy, że przyszedł do nich jakby po błogosławieństwo i życzenie szczęścia. Było to złudzenie także, bo pan Hipolit nie myślał o tém wcale. Przyszedł, bo mu było po drodze, bo czuł pewne wyrzuty sumienia, że tak od jakiegoś czasu zaniedbał swoich dobrych znajomych, a szło mu także o to, aby się przed nimi pochwalić, że przecież raz już siada do tego egzaminu, który tak przeciągał z roku na rok, że go aż wstyd było; a wreszcie był jeszcze jeden powód, który go tutaj właściwie zapędził: oto idąc na egzamin, spostrzegł po drodze, że parę guzików u fraka nadto mu się obluzowały i wisiały, prawie na jednéj nitce, a że miał jeszcze godzinę blisko czasu, więc wstąpił poprosić panny Lucyny o przyszycie. Lucynka dopełniła téj czynności rękami drżącemi ze wzruszenia i szczęścia. Cieszyło ją, że może mu choć tém przysłużyć się w tak uroczystéj chwili, że ostateczne uzupełnienie toalety na ten ważny akt w życiu jéj rękom powierzył, i była mu wdzięczną w duszy niesłychanie za ten dowód zaufania z jego strony. Zdawało się jéj, że on już teraz całkiem do niéj należy, że wyprawia go z domu prawie jak żona męża. To przekonanie dodało jéj tyle śmiałości, że nie tylko mu guziki przyszyła, ale odważyła się nawet poprawić mu krawat, który się przekrzywił trochę i podała mu grzebień własny, aby sobie włosy zburzone przyczesał. Chodziło jéj o to, żeby się ludziom ładnie zaprezentował.

Kasia także ze swojéj strony pomagała jak mogła: ona nawlekała igłę do światła, bo panienka ze wzruszenia nie mogła trafić nitką w uszko, odczyściła mu cylinder, że się świecił jak lustro i pomagała mu wdziać okrycie, gdy już miał wychodzić. Obie niewiasty wyprowadziły go aż na schody, życząc mu wszelkiéj pomyślności, a gdy już był na pierwszém piętrze, staruszka jeszcze wychyliła się przez poręcz, aby mu powiedziéć:

— Niech tam Pan Bóg da panu doktorowi jak najlepiéj.

Te kilka godzin, przez które miał trwać egzamin, przepędziły biedaczki w śmiertelnéj trwodze i niepokoju, wzywając na pomoc dla zdającego egzamin i Pana Boga i Pana Jezusa i Matki Boskiéj i wszystkich ważniejszych świętych. A kiedy te kilka godzin, które dla nich wydawały się strasznie długie, bo je liczyły przyśpieszonemi uderzeniami serca, przeszły nareszcie,—z natężoną uwagą nasłuchiwały i z zapartym oddechem w piersiach wyczekiwały powrotu pana Hipolita. Każdy szmer na schodach, każde stuknięcie ruszyło je z siedzenia, bo zdawało im się, że już idzie; Kasia kilka razy wyglądała do sieni zobaczyć, czy to nie on; ale nie. Przechodziła szwaczka z trzeciego piętra, wracająca od roboty, służąca z wo-

dą, druga służąca na strych wieszać bieliznę, wreszcie i sam Gileczek powrócił do domu, a pana Hipolita jak nie widać tak nie widać. Śmiertelna trwoga zaczęła ogarniać obie niewiasty, z powodu tego spóźnionego powrotu; nie śmiały głośno przed sobą wypowiadać swoich domysłów; ale z jednéj i drugiéj przychodziło na myśl, że to nic innego, tylko musiał mu się niepowieść ów egzamin, i dla tego się nie pokazał. Kiedy latarnie już zaczęto zapalać na ulicach. domysły te zamieniły się w pewność i Kasia pierwsza odważyła się głośno powiedziéć:

— Pewnikiem jak amen w pacierzu te heretyki profesory uwzięli się na niego, żeby nie zdał tego agzaminu.

— Ale dla czego nie przyszedł—narzekała Lucynka.

— Bo chłopiec ma ambicyą. to go wstyd biedaka.

— Byłybyśmy mu wyperswadowały, rozerwały go trochę, pocieszyły.

— A może-by pójść po niego panienko?

Lucynce oczy zajaśniały żywiéj na te słowa i spójrzeniem pełném wdzięczności podziękowała za nie Kasi; to też ta widząc, jak jéj zamiar przypadł do gustu panience, zarzuciła co prędzéj derową chustkę na siebie i pobiegła do mieszkania p. Hipolita.

Ale w oknie u niego było ciemno i drzwi zastała zamknięte. Czekała może z godzinę w bramie i doczekać się go nie mogła. Zobaczyła tylko jego posługaczkę, jak wchodziła do kamienicy z paką ciast i dwiema butelkami wina pod pachą. Kasia znała tę posługaczkę, ale jéj nie lubiła, co była nałogową i siedziała na wiarę z jakimś gachem. Ale teraz z potrzeby pierwsza zagadała do niéj, pytając, czy nie wié, gdzie jest pan Hipolit.

— A jest u mojéj pani. Właśnie niesę dla nich te przysmaki, bo to dziś pan nasz po egzaminie, to oblewają tę uroczystość.

— Cóż to za pani?— spytała Kasia zaniepokojona trochę.

— A kto ją ta wié, co ona za jedna. Różnie ta o niéj mówili ludzie; ale teraz się ustatkowała, skoro pan Hipolit oświadczył się o jéj rękę.

— Oświadczył się, on?—to być nie może — zawołała Kasia głosem takim, jakby ją kto w bolące miejsce uraził.

— Cóż znowu gadacie, czy ja to nie mam oczów i nie widzę, co się dzieje. Przecież to oni nie od dzisiaj romansują ze sobą i sama na własne uszy słyszałam, że się pobierą, jak tylko mój pan egzamina pozdaje.

Gdyby wieża maryacka była się jéj zwaliła na głowę, nie byłoby to sprawiło większego bólu i zamętu, jak ta wiadomość o małżeństwie. Biednéj kobiecinie zdawało się, że jéj to głowę rozsadzi,

bezwiednie objęła ją obiema rękami, żeby się nie rozleciała w kawałki, jak stary czerep, w oczach się jéj zaćmiło i zatoczyła się jak pijana na ścianę.

— Czyżcie chciała czego od niego?—spytała ją posługaczka—może-by go zawołać?

— Nie, nie, nic pilnego. Przyjdę jutro—odrzekła śpiesznie, bo się przestraszyła na samą myśl, żeby musiała się spotkać oko w oko z człowiekiem, co tak pokrzywdził jéj panienkę. Czuła to, że mogłaby ją krew zalać z oburzenia. To też powtórzyła jeszcze co prędzéj:

— Nie, nie, nie wołajcie go.

— Racya... na co im przeszkadzać, niech sobie gołąbeczki gruchają — rzekła z dwuznacznym uśmiechem posługaczka i poszła na górę.

Kasia została pod bramą, oparta o ścianę, zapatrzona w ziemię i kiwając smutnie głową, powiedziała z głębokiém westchnieniem:

— Biédna moja panienka! — i łzy strugą polały się jéj po twarzy.

Złamana, przygnębiona boleścią zawlekła się powoli ku domowi.

Szła krok za krokiem leniwo, bo jéj nogi ciążyły jak ołów, a jednak zaszła jeszcze prędzéj, niż chciała. Rada-by była w nieskończoność odwlec tę chwilę, w któréj przyjdzie jéj stanąć przed panienką, bo co jéj powié? Całéj prawdy powiedzićć nie śmiała, a kłamać nie umiała nigdy, szło jéj to tak niezręcznie. Skłamać jednak trzeba było koniecznie, bo taka wiadomość mogła-by na miejscu zabić jéj panienkę. Wiedziała dobrze, co jéj się działo, gdy się o tém dowiedziała, a cóż dopiero taka wątła i delikatna istotka. Powiedziała jéj więc, że pana Hipolita nie było w domu.

— Bo może Kasia nie stukała mocno, on tam pewnie zamknął się, może mu się słabo zrobiło. Trzeba było się dobijać.

— Ależ dobijałam się panienko; ale mi posługaczka powiedziała, że wyszedł.

— I nie przyszedł do nas. Żeby sobie aby co złego nie zrobił—mówiła trwożliwie.

— E, cóż téż to panience się zwiduje — odrzekła nieco ostro nawet, bo ją oburzało, że Lucynka trapi się o takiego niegodziwca, który nie wart tego.

— A cóż sobie Kasia myśli. On taki ambitny, jak zacznie przybierać do głowy, to kto wié, do czego by go mogło doprowadzić.

— O! niech ta o to panienkę głowa nie boli. Panowie tam umią się pocieszać. Pójdą sobie do piwiarni, zjedzą dobrze, wypiją jeszcze lepiéj i pociecha gotowa.

— Fe, Kasiu, co się Kasi stało? Kasia nigdy taką nie była— odezwała się Lucynka, z bolesnym wyrzutem.—To dla tego, że on teraz nieszczęśliwy, Kasia nie ma litości dla niego.

— Ale mam, mam panienko—-mówiła zmiękczona tym wyrzutem starowina i całowała panienkę po rękach na przeprosiny, tylko mi żal, że się panienka tak niepotrzebnie trapi.

— On się tam więcéj trapi, moja Kasiu. Trzeba, żeby Kasia zaraz jutro rano poszła dowiedzieć się co z nim słychać. Zaraz z rana, jak Kasia po bułki pójdzie. Dobrze? nie zapomni Kasia.

— Ale nie zapomnę, nie zapomnę — uspokajała ją staruszka, choć sama bardziéj jeszcze potrzebowała uspokojenia, bo ile razy spójrzała na swoją pieszczotkę, to się jéj serce krajało z żalu, gdy sobie pomyślała, co to biédne dziewczątko będzie cierpiéć, gdy się dowié o wszystkiém. Łamała sobie głowę nad tém, jak jéj to powiedziéć, jak przygotować ją do wysłuchania prawdy. Na drugi dzień, na trzeci będzie można jeszcze cóś wymyśléć, że chory, albo zajęty, ale w końcu trzeba będzie przecież powiedziéć jéj, jak się rzecz ma właściwie. A wtedy co się z nią stanie? Staruszka truchlała na tę myśl, całą noc oka nie zmrużyła, męcząc się nad wynalezieniem jakiego sposobu, aby uniknąć téj strasznéj ostateczności i nie znalazła żadnego. Dopiero przy rannym pacierzu, kiedy mówiła: i odpuść nam nasze winy, przyszła jéj nagle myśl, jak objawienie, zrzucić pychę z serca i iść do tego przeniewiercy, roztrząsnąć mu sumienie i prosić, żeby nie robił panienki nieszczęśliwą. Kosztowało ją to bardzo wiele, ale nie było innéj rady, tu szło o szczęście, a może o życie jéj najdroższéj panienki, nie można było wahać się i zwlekać. To téż zaraz rano wybrała się cichaczem z domu w tym celu. Po drodze wstąpiła do kościoła, wysłuchała całéj mszy świętéj i modliła się tak gorąco, jak nigdy może, aby jéj się udało. Liczyła wiele na to, że skoro mu odkryje, co panienka dla niego robiła (bo szła z mocném postanowieniem zdradzenia téj tajemnicy wbrew zakazowi Lucynki), to chyba-by serca nie miał, żeby go to nie wzruszyło, a skoro tylko nawróci się do niéj i ożeni się z nią, choć-by nie kochał jéj nawet tak bardzo, to była najmocniéj przekonaną, że ją będzie musiał pokochać, jak pozna z bliska, co to za anioł, jakie to serce poczciwe i zacne. Tak sobie rozumowała staruszka i szła pełna najlepszych nadziei do mieszkania pana Hipolita. Nie zastała go jednak już w domu i od obsługaczki jego dowiedziała się, że właśnie co wyjechał na kolej, bo jedzie do rodzinnego miejsca po metrykę i papiery, co mu potrzebne będą do ślubu.

Kasia tak była nieprzygotowaną na podobną wiadomość, która wszystkie jéj plany pokrzyżowała, że stanęła jak głupia, wytrzesz-

czyła bezmyślnie oczy na mówiącą i zbladła i słowa przemówić nie mogła. Dopiero gdy obsługaczka powiedziała jéj, że jeżeli ma pilny interes do jéj pana, to może go jeszcze na kolei przydybać, bo do odejścia pociągu jeszcze kawał czasu, odżyła biedaczka, odetchnęła swobodniéj i pocwałowała co tchu na kolej.

Trafiła na czas, bo nawet kasa jeszcze nie była otwarta, a pan Hipolit z torebką, przewieszoną przez ramię, przechadzał się zamyślony w przedsionku dworca. Kasia przeciskając się przez gromadę posługaczy, którzy tamowali wejście, zbliżyła się do niego i zastępując mu drogę, odezwała się głosem stłumionym, bo go tamowało wzruszenie.

— Sługa pana *komsyliarza*.

Podniósł głowę do góry.

— A! Kasia!—odezwał się zmieszany—a ty tu co robisz?

Nie myślała odpowiadać mu na to pytanie, bo wewnątrz niéj wszystko się teraz burzyło, gotowało, nie wiedziała sama od czego zacząć. Wreszcie patrząc na niego surowym wzrokiem i kiwając głową rzekła:

— Czy się to godzi, czy się to godzi tak robić, panie komsyliarzu.

— Co takiego? — spytał zdziwiony, nie rozumiejąc o co jéj chodzi.

— To panienka już nie zasłużyła sobie, żebyś pan po tym egzaminie przyszedł chociaż powiedziéć jéj: Bóg zapłać.

— Nie miałem czasu być wczoraj u was, a dziś, jak widzi Kasia, jadę.

Nie uważała na jego usprawiedliwienie i mówiła daléj:

— A komu to pan komsyliarz ma do zawdzięczenia, że wyszedł na człowieka, jeżeli nie jéj, kto panu dawał na edukacyą, na książki, na egzamin.

— A Kasia zkąd wié o tém?—spytał żywo.

— Jak nie mam wiedziéć, skora ja to wszystko nosiłam na pocztę własnemi rękami.

Chwycił ją za rękę i wpatrując się w nią z przerażeniem i badawczo, jakby chciał zajrzeć jéj do dna duszy, zawołał:

— Co Kasia mówi? jakto? więc to panna Lucyna, nie tamta? Ależ to było-by okropne, potworne.

Ostatnie słowa adresował w myśli do pięknéj wdówki, bo nie daléj jak wczoraj, kiedy zaklinał ją, aby mu się przyznała, czy to ona była tą tajemniczą dobrodziejką jego, co mu pomogła ukończyć studya, przyznała się do tego, z tak dobrze udaną skromnością, że byłby przysięgał, iż mówi prawdę, a tymczasem teraz dowiadywał

się czegoś innego, nie wiedział komu też wierzyć. Odciągnął staruszkę na bok i zaczął ją rozpytywać się o różne szczegóły, które mu opowiadała na pół z płaczem, bo nie mogła mówić bez rozrzewnienia o dobroci i skrytych cierpieniach swojéj panienki. Pan Hipolit słuchał jéj wzruszony, z oczyma spuszczonemi ku ziemi, nachylony ku niéj, jak spowiednik, a im więcéj słuchał, tym więcéj odsłaniała mu się piękna dusza, szlachetny charakter panny Lucyny, tym wyżéj bolał nad tém, że nie poznał się na jéj cichéj miłości, nie umiał jéj odczuć i ocenić. Ile razy Kasia chciała przestać, bojąc się, czy nie za wiele powiedziała, ściskał zaraz jéj spracowaną rękę i prosił, by nic nie taiła przed nim, a gdy skończyła, rzekł:

— Bogu dzięki, że się o tém dowiedziałem jeszcze dość wcześnie, bo bym sobie to całe życie musiał wyrzucać. O jaki ja byłem niedomyślny.

Potém nagle zmieniając ton spytał:

— Czy panienka już wstała?—ubrana?

— O! zapewne już.

— Niech Kasia wraca do domu, ja tam niezadługo będę.

— Więc pan komsyliarz już nie odjedzie?—spytała ucieszona z żywą radością w twarzy.

— Teraz nie mam już powodu. Za godzinę będę u was.

— Tylko przed panienką nie trzeba nic mówić, że tu byłam co mówiłam.

— Więc nie ona Kasię przysłała?

— Zkądże znowu? Ona by umarła z żalu, a nie zrobiłaby tego. Pan doktór nie zna jéj jeszcze, co to za charakter.

— Więc dobrze. Powiem jéj, że od kogo innego przypadkiem dowiedziałem się, że naprzykład urzędnik z poczty zdradził mi tajemnicę z temi listami.

— Niech Bóg broni—niech Bóg broni—upominała go staruszka, niech się pan nawet nie zdradzi z tém, że się domyślasz czego, bo byś jéj pan popsuł całą przyjemność.

Kiedyś, późniéj—to może.

Już miał odchodzić, kiedy przytrzymała go za połę i nachylając się ku niemu odezwała się z nieśmiałością:

— I niech pan nie wspomina nic przed nią o tamtéj.

Pan Hipolit się zaczerwienił po same uszy.

— Więc Kasia wie o tém?

— Ja wiem; ale ona nie wie o niczém. Niech się nigdy nie dowie, bo by ją to zmartwiło, niech myśli biedaczka, że tylko ona jedna.

Nie śmiała dokończyć; ale ją zrozumiał dobrze, uścisnął jéj rękę z wdzięcznością i pobiegł w miasto. Śpieszno mu było do nadobnéj wdówki, bo chciał coprędzéj wytłómaczyć się z pomyłki, któréj stał się ofiarą, a do któréj ona przyczyniła się w części swojem postępowaniem. Nie myślał robić jéj żadnych wyrzutów z tego powodu, chciał tylko usprawiedliwić się, że powziął dla niéj uczucie na podstawie wdzięczności, do jakiéj czuł się obowiązanym, gdy jednak teraz przekonał się, że nie ma dla niéj żadnych obowiązków wdzięczności, tym samym i ona do miłości jego nie może rościć sobie żadnego prawa. Układał sobie przez drogę całą tę obronę swego postępowania, przygotował nawet replikę na możliwe zarzuty, bo wiedział, że wdówka nie zgodzi się tak łatwo na zerwanie, był przygotowany na spazmy, płacze, do których skłonną była. Miał próbkę tego dziś rano przy pożegnaniu, jak się zanosiła od płaczu, wieszała na jego szyi, choć się tylko na parę tygodni rozstawać mieli. Teraz czekały go stokroć gorsze sceny. Dałby wiele za to, aby mógł uniknąć tego ostatniego spotkania, ale konieczność, sumienie nakazywały mu iść tam. Chciał skończyć godziwie z jedną, aby z czystém sumieniem mógł stanąć przed drugą, która miała stokroć większe prawa do jego miłości i wypowiedziéć jéj uczucia swoje.

Z pewném więc zakłopotaniem zbliżał się do mieszkania wdowy i doszedłszy do drzwi namyślał się chwilę czy wejść czy nie wejść. W ostatniéj chwili zabrakło mu odwagi. Gdy w tém doleciał do jego uszów wesoły śmiech i odgłos pocałunków. Uszom własnym nie wierzył, podniósł oczy na numer drzwi, czy się przypadkiem nie pomylił, tak mu się to nieprawdopodobném wydawało, bo przecież przed godziną zostawił ją tonącą we łzach, zrozpaczoną. To chyba nie ona—pomyślał sobie, i dla przekonania się otworzył nagle drzwi i zobaczył pulchną wdówkę w negliżyku, w tym negliżyku, w którym jéj tak było do twarzy, spoczywającą w objęciach jakiegoś nieznajomego mężczyzny na wpół rozebranego. Gdy zobaczyła pana Hipolita krzyknęła i odskoczyła coprędzéj od owego mężczyzny, udając że przemocą wyrwała się z jego objęć; ale ten manewr nie udał się, Hipolit zrozumiał wszystko i już on nie potrzebował się teraz usprawiedliwiać. Trzasnął pogardliwie drzwiami i pobiegł tam, gdzie go czekała czysta, cicha radość i szczęście prawdziwe.

W godzinę potém w mieszkaniu starego nauczyciela muzyki Hipolit i Lucynka siedzieli razem przy fortepianie, nuty były wprawdzie rozłożone; ale niegrali, zapomnieli w téj chwili nietylko o muzyce, ale o całym świecie; siedzieli trzymając się za ręce—on trochę nieśmiały i zawstydzony: bo nie czuł się jeszcze godnym tego szczę-

ścia, jakie spadło na niego tak niespodziewanie, a ona zachwycona, rozpromieniona, upiększona uczuciem i rozmawiali o swojéj przyszłości,—a stara Kasia, obcierając w ciemnéj kuchni talerze; przypatrywała im się z błogiem zadowoleniem i wzruszona często przez zapomnienie, zamiast talerzy, łzy z oczów ścierką wycierała.

Ślub jednak nie odbył się jeszcze tak prędko. Rozsądna i rozważna zawsze Lucynka uważała za konieczne, żeby Hipolit wprzódy wyrobił sobie jaką taką praktykę, a sama chciała także lekcyami powiększyć ile możności swój kapitalik, aby im wystarczył na czas jakiś. Dopiero w rok blisko, w czasie rozpoczęcia wakacyi zdecydowała się na oznaczenie dnia ślubu.

Byłem i ja zaproszony na tę uroczystość i pośpieszyłem na nią z całą przyjemnością w oznaczonéj godzinie tj. o siódméj do mieszkania panny młodéj. W sieni, do któréj przez okratowane okienko wpadały złociste pasy słońca, staczającego się już ku zachodowi, spotkałem jakąś staruszkę, która w ręku dźwigała ogromny ręczny koszyk i sypała z niego kwiaty na podłogę drżącą ręką. Nie byłbym poznał, że to Kasia, gdyby sama nie była mnie zaczepiła swojém stereotypowém: „kłaniam się pięknie wielmożnemu panu"—tak mi się odmieniła w świątecznym stroju. Ale bo téż była ubrana jak nigdy jéj niewidziałem, nie w swoje zwykłe krótkie, fałdziste spódniczki, jeno miała na sobie jedwabną suknię, którą dostała w spuściznie po matce Lucynki a którą podobno wdziewała tylko raz do roku na Wielkanoc, na głowie zaś miała duży, tiulowy czepek z kokardami i wstążkami zielonemi, umyślnie sprawiony na tę uroczystość. Uprosiła sobie przytém panienki, że wszystkie kwiaty były kupione za jéj pieniądze, bo chciała koniecznie kwiatami usłać panience swojéj drogę do ślubu. Brała więc pełną garścią z kosza i rozrzucała je po ziemi, po schodach na sam dół. Chłopcy z pierwszego piętra śmiali się z niéj, robili jéj psoty, to skubiąc ją za materyalną suknię i pytając po czemu łokieć, to porywając jéj co piękniejsze kwiatki z któremi uciekali na dół i ztamtąd pokazując je drażnili staruszkę. Z dobrotliwym uśmiechem znosiła te figle, bo nie była dziś wstanie gniewać się na nikogo, czasem tylko pogroziła malcom mówiąc: a dam ja wam, zbereźniki jakieś,—ale po chwili sama rzucała im kwiatki na głowy i powtarzała: macie, macie, nacieszcie, żebyście pamiętali lepiéj wesele panienki. Macie, macie, kwiatków jest dość, nie braknie nikomu.

Stałem jakiś czas przypatrując się temu i bawiłem oczy radością staruszki, która dzisiaj przebijała się w każdém jéj słowie, w każdém spojrzeniu i ruchu. Gdy wróciła na górę z koszem już wypróżnionym, poklepałem ją przyjaźnie po ramieniu i spytałem:

— A cóż? Kasia dziś bardzo szczęśliwa?

Pocałowała mnie w rękę z wdzięczności za to zapytanie i odrzekła:

— O! wielmożny panie, to się nie da opowiedzieć—i rozbeczała się staruszka, jak dziecko.

Czekałem aż się uspokoi, niepróbowałem przeszkodzić jéj w płaczu rozmową, bo odczuwałem, jakie taką łzy rozkosz sprawiać musiały jéj sercu. Zamazała sobie niemi biedaczka twarz całą ocierając się to kułakiem, to rękawem, przy czém paradny czepek przekręcił się jéj całkiem na bakier na głowie. Wyglądała pociesznie, a jednak ten widok zamiast uśmiechu łzy mi dobywał, i może byłbym zawtórował niemi staruszce, gdyby nie była, przypomniawszy sobie, odezwała się:

— Ale wielmożny pan niema jeszcze bukietu. Niechże wielmożny pan pofatyguje się z łaski swojéj do pokoju,—bo tam już wszyscy goście czekają,—rzekła i osuszywszy co prędzéj oczy pobiegła przodem, żeby mi, jak mówiła, wybrać najładniejszy.

Wszedłem za nią. W saloniku, do którego zachodzące słońce wdzierało się przez gęste listki kwitnących pelargonij i fuksyj, zebrała się spora gromadka gości weselnych, był nawet jakiś kontuszowy między nimi. Starsze panie w jedwabiach i ciężkich szalach rozsiadły się na kanapie, fotelach, ze sztywną powagą; panienki przeważnie uczennice panny młodéj, w białych, różowych i błękitnych sukienkach skupiły się w jedném miejscu pod oknem, szeptając po cichu i zerkając na młodzież, która poprawiając sobie krawatów, naciągając rękawiczki, skubiąc wąsy palcami dla dodania sobie lepszéj miny, przechadzała się z kąta w kąt albo oglądała stare *kopersztychy* na ścianach.

Starsi panowie, między którymi poznałem po łysinie owego sędziego grywającego na altówce, skracali sobie chwile oczekiwania polityką, bo słyszałem coś o Bismarku i sprawie egipskiéj. Na środku zaś pokoju z miną zwycięzką i rozstawionemi szeroko nogami, stał ów wisus Karolek, dziś już poważny kapitan c. k. armii i spoglądał ze smakiem na piękną druchnę, brunetkę z alabastrową twarzą, która mu właśnie bukiet przypinała do piersi; uważałem, że najwięcéj czasu poświęcił na obserwowanie linii pogranicznéj między wyciętą sukienką a biustem rozkosznie zaokrąglonym. Zmiarkowałem z tego, że Karolek zostawszy panem Karolem i do tego kapitanem nie zmienił się wiele. Nie chcąc naśladować go w tym względzie, skierowałem moje oczy, gdy piękna brunetka z kolei i mnie przyszła przypinać bukiet, na powoje, które fantastycznie wiły się po jéj hebanowych włosach.

Nareszcie otwarły się drzwi drugiego pokoju i ukazali się państwo młodzi, idąc pod rękę. On był trochę nieśmiały i niezgrabny przy tym akcie uroczystym, ale za to panna młoda wyglądała wspaniale, imponująco, w białéj atłasowéj sukni z długim ogonem, a przez ślubną zasłonę spadającą aż do ziemi oczy jéj, te dobre poczciwe oczy, błyszczące w téj chwili niezwykłym blaskiem, patrzały na wszystkich tak pogodnie, przyjaźnie, że chwytały za serce. Można było przysiądz, że w tém gronie gości weselnych, które ją otaczało, nie byłoby jednego, któryby jéj z głębi duszy nie życzył wszystkiego najlepszego. Czuła to dobrze i dziękowała wszystkim serdecznym uściskiem ręki.

Stary Gileczek pobłogosławił młodą parę i pokropił święconą wodą, a stara Kasia pokropiła ich łzami i zeszli wraz z orszakiem weselnym na dół po kwiatach, które wydawały się jak wspaniały, różnobarwny dywan rościelony na schodach i ziemi. Kilka fijakrów czekało przed bramą. Dla panny młodéj była błyszcząca kareta z białem obiciem wewnątrz, którą jedna z jéj uczennic przysłała wraz z wspaniałym bukietem.

— Kasia siędzie z nami—rzekła Lucynka prowadzona przez dwóch drużbów, zwracając się do swojéj piastunki, która za nią niosła troskliwie ogon, aby się nie powalał po ziemi.

— Jakto?—ja? w takiéj karecie?—ale ktoż widział panienko, zawołała przestraszona i zażenowana, cofając się.—Ja sobie piechotą pobiegnę.

— Ależ siadaj Kasiu, proszę.

— A gdzież starszy pan będzie siedział?

— Tatko sobie usiędzie we fijakrze z panem Hipolitem.

— Bożeż kochany, jakżeby to wyglądało, ja służąca razem z panienką. Za nic w świecie. Broniła się biedaczka jak mogła, jednak widać było z jéj zarumienionéj i błyszczącéj od potu twarzy, jaką jéj to radość sprawiało, że panienka tak pamiętała o niéj w téj chwili, taki jéj honor oddała w obec wszystkich. To téż skoro panienka oświadczyła stanowczo, że bez niéj nie pojedzie, wskoczyła co tchu ucieszona i wcisnęła się w sam kąt karety, aby jak mówiła panience wstydu nie robić przed ludźmi. Także, gdy zajechali przed kościół i zobaczyła takie mnóstwo osób stojących przed drzwiami, nie miała odwagi wysiąść—ona, biedna sługa z takiéj *aleganckiéj* karety, bo coby ludzie sobie pomyśleli. Ale gdy zobaczyła, że ogon sukni ślubnéj wlecze się po ziemi i jakiś niezgrabiasz nastąpił na niego, wyskoczyła jak oparzona z karety, zebrała ostrożnie, delikatnie ogon w obie ręce i poniosła go za panienką do ołtarza.

Kościół był przepełniony ludźmi, bo panna młoda miała dużo życzliwych i znajomych. Towarzystwo muzyczne, ze względu, że to córka muzyka i sama nauczycielka muzyki, zebrało się w komplecie na chórze i zaśpiewało *Veni creator*, a ksiądz gwardyan OO. Kapucynów, który był spowiednikiem panny i przyjacielem jéj ojca, kazał na tę uroczystość pozapalać wszystkie światła i ustroić ołtarz bogato w kwiaty. Ślub więc odbył się nadzwyczaj okazale i pięknie.

Żałowałem mocno, że niemogłem być także na uczcie weselnéj, na któréj bawiono się podobno bardzo wesoło. Pilny interes zmusił mnie wyjechać tego dnia jeszcze wieczornym pociągiem do Lwowa. Wróciłem dopiero po paru miesiącach. Rozumie się, że pierwszą dla mnie rzeczą było odwiedzić państwa młodych. Byli już w swojem własném gniazdeczku, w mieszkanku składającém się z kilku pokoików, nader schludnie i gustownie umeblowanych. Zastałem panią doktorową w rannym szlafroczku z wypieczonemi rumieńcami, bo wyszła właśnie na moje przyjęcie z kuchni, gdzie, jak mi mówiła, przygotowywała według recepty pani Ćwierciakiewiczowéj, jakąś paradną legóminkę dla swojego pana. Jego samego nie było w domu,—wyszedł był na miasto do pacyentów, których miał podobno już dosyć. Z pewną radośną dumą pochwaliła się z tém przedemną a ja odczuwałem jéj radość i podzielałem ją całém sercem.

Niezadługo nadszedł mąż i oboje zatrzymali mnie na obiedzie. Młoda gosposia bowiem chciała pochwalić się przedemną ze swoją znajomością sztuki kuchennéj, szczególniéj z ową legóminką. Nie dałem się długo prosić, bo dobrze mi tu było w ich maleńkiém kółeczku. Atmosfera ich mieszkanka miała jakąś serdeczną woń i ciepło. Nie pieścili się przy mnie, nie całowali, a jednak z oczów widać im było, że się kochają i są szczęśliwi. Jedno ich tylko smuciło i zachmurzyło pogodne, miodowe miesiące: Kasia coś w trzy tygodnie po weselu umarła. Śmierć litościwa zdawała się czekać tylko na to, dopóki swojéj panienki za mąż nie wyda. a gdy doprowadziła to do skutku, zabrała staruszkę jak swoją na cmentarz, na wieczny odpoczynek.

W. Bałucki.

WNIOSKI Z OSTATNIÉJ EPIDEMII.

Głęboka cisza, jaka zapanowała w dziennikach o ostatniéj epidemii paryskiéj, jest jednym dowodem więcéj, że na wszystko bywa moda. Podniesiono gwałt, gdy niebezpieczeństwo ukazało się; pisano sto razy więcéj niż było potrzeba; a dziś, gdy nadeszła chwila obrachunku i wniosków, gdy pora „zmądrzéć po szkodzie", nikt się już cholerą nie zajmuje. Nawet komisya wyznaczona do przestudyowania przyczyn złego, nie daje znaku życia, a pisma, które teraz dopiero, mogły-by dać zdrową naukę, na dowodach faktycznych opartą, uważają że rzecz już nie na czasie.

Zróbmy wyjątek z téj reguły.

Epidemia paryska miała dwa okresy: w jednym szybko rosła (przez tydzień), w drugim z małemi wahaniami (przez trzy tygodnie) spadała, a ogon jéj ciągnął się jeszcze przeszło miesiąc (1).

Nie jest to zwykły bieg rzeczy. Zazwyczaj, a mianowicie w epidemiach całkiem rozwiniętych, można odróżnić *pięć* okresów. (Pomijam wstępny, przedepidemijny):

1. *Okres pierwszego przyrostu*, w którym powstaje popłoch, w skutek ukazania się, a głównie ogłoszenia pierwszych wypadków. Liczba chorych ciągle rośnie, ale okres ten jest zawsze *krótkim*.

2. *Pierwszy okres wahań*, w którym pierwsze ogólne przerażenie słabnie, ale postrach krzewi się w grupach, odpowiednio usposobionych; przyczém najtchórzliwsi uciekają. Okres ten bywa mniéj lub więcéj długim, w miarę odporności, jaką wycieńczeniu nerwowemu stawia pora roku, warunki sanitarne i hygiena jednostek. Liczba chorych jest jednego dnia większa, drugiego mniejsza; w poniedziałki i dni poświąteczne zwykle większa.

---

(1) Ostatni rekonwalescenci opuścili szpital 15 stycznia.

3. *Okres maximum*, w którym, bądź-to wycieńczenie długotrwałym strachem, bądź nagła zmiana atmosfery, jakiś wypadek szczególnie działający na imaginacyą, lub wreszcie inne nieznane przyczyny, wywołują najpierw nieco większy przyrost, a po nim panikę. Wówczas liczba zasłabnięć dochodzi do szczytu. Okres ten trwa najwyżéj dni kilka, ponieważ przerażenie maksymalne nie może trwać dłużéj.

4. *Drugi okres wahań*, w którym, podobnie jak po pierwszym przyroście, następuje względne uspokojenie, a pozostała część bojaźliwych, o ile może ucieka. Liczba chorych utrzymuje się znów mniéj więcéj na jednym poziomie, zależnie od stałych przyczyn patogienicznych. Niekiedy, z powodów niestałych, bywa jeszcze w tym okresie *drugie maximum*, zwykle mniejsze. Wreszcie:

5. *Okres spadku*, w którym łagodne przewlekanie epidemii przestaje ludzi straszyć, artykuły o cholerze wyczerpują się, lub przestają być czytane i ludność dochodzi do przekonania, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak się wydawało. Okres ten bywa mniéj lub więcéj *długim*, stosownie do pory roku, dobroci wody, stanu ekonomicznego i specyalnych wpływów moralnych.

Co się tyczy śmiertelności, ta jest jednakową prawie dla wszystkich epidemij i wynosi średnio 50%, czyli, że połowa chorych umiera. W okresie *pierwszego przyrostu* jest zawsze największą (60% i więcéj), ponieważ wtedy umierają najbardziéj przygotowani; w następnych spada do 40% mniéj więcéj, i zwykle dopiero na samym końcu epidemii znów nieco liczba gwałtownych wypadków przeważa, ponieważ szereg ofiar epidemii stanowią ci, którzy albo nie mogąc uciec wycieńczyli się długim strachem i zbyt wielką zmianą hygieny, zalecaną przez niektórych lekarzy, albo téż ci z najwrażliwszych, którzy uciekłszy wcześnie, wracają, sądząc, że już cholera ustała.

Tak było w Tulonie; tak było w Marsylii, a każdy, kto zada sobie pracę przestudyowania wykazów epidemicznych, dojdzie do przekonania, że ten typ rozwoju wielkich epidemij jest najpospolitszym.

Jeżeli jednak *maximum* przerażenia, możliwego dla danéj ludności, powstanie odrazu, wówczas *okres pierwszego przyrostu* zlewa się z pierwszym okresem wahań i z okresem maksymalnym, a drugi okres wahań z *okresem spadku* i wtedy epidemia, niezależnie od swéj gwałtowności, przybiera formę *skróconą*. Wówczas linja krzywa wypadków idzie nagle do góry, a potém nieco wolniéj spada.

Ten drugi typ skrócony widzieliśmy w Neapolu. Epidemia w tém mieście miała tylko dwa okresy: przyrostu i spadku. Jeden

i drugi był nagłym. Odrazu bowiem powstała wielka panika i odrazu prawie ją stłumiło przybycie króla, po którego pierwszych wizytach śmiertelność zmniejszyła się i zaczął się stały spadek liczby chorych (1).

Ten sam typ odnajdujemy w Paryżu, z tą różnicą, że tu spadek trwał względnie dłużéj, ponieważ przyczyny uspakajające nie były tak silne jak ów, z takim entuzyazmem przyjmowany, wpływ króla Humberta w Neapolu—i że cała epidemia była wogóle słabszą, z powodu znacznie lepszych warunków sanitarnych i znacznie spokojniejszego zachowywania się mieszkańców. Zresztą *forma* epidemii jest tą samą; i tu bowiem popłoch był tylko z początku (od 5 do 10 listopada) i tu działały przyczyny paraliżujące rozwój epidemii, a mianowicie zmiana frontu w prasie, wpływ rozsądnych lekarzy (o czém niżéj) i pora zimowa. Saméj porze zimowéj nie można przypisywać powstrzymania epidemii, tak jak jéj wybuchu nie można przypisywać samemu ociepleniu się powietrza na początku listopada; ponieważ na początku grudnia mieliśmy znowu nagłe, stosunkowo nawet większe, podniesienie się temperatury (9°, 10° do 14° ciepła—w grudniu!), a mimo to epidemia nie wzmogła się.

Okres pierwszy skończył się 10 listopada. Już dnia 9-go, w niedzielę, zwiedzając najcięższéj wówczas dotkniętą ulicę św. Małgorzaty, nie znalazłem popłochu. Już żartowano sobie z cholery. To też wzrost liczby zasłabnięć 10 listopada, w poniedziałek, zresztą mniejszy stosunkowo niż dni poprzednich (patrz rysunek krzywéj w *Revue Scientifique* Nr. 23) przypisać należy raczéj niedzielnym libacyom, aniżeli przedłużeniu się popłochu, którego już nie było. Samo się przez się rozumie, że jeśli *maximum* zasłabnięć (około 200) przypadło na dzień 10-ty, to *maximum* śmierci mogło się objawić dopiero dnia następnego, ściśléj w nocy z 11-go na 12-ty.

Od téj chwili epidemia, z małemi wahaniami, zaczęła spadać. Spadek ten nastąpił równocześnie ze zmianą frontu dzienników, które, spostrzegłszy, że zrobiły głupstwo, zaczęły zmniejszać rubrykę cholery, a nawet obniżać wykazy statystyczne.

Tak np. dnia 13 do północy w samych szpitalach przybyło 93 chorych, to znaczy o 9 więcéj niż dnia poprzedniego, a śmierci było 45, wogóle zaś umarło tego dnia 85 osób, tymczasem *Temps* podał tylko 33, *Matin* tylko 11, zapewniając, że liczba śmierci „znacznie się zmniejszyła“ itp. Ludność więc sądziła, że epidemia słabnie. Nazajutrz zaczęła słabnąć naprawdę. Dnia 22 *Intransigeant* podał, „według prefektury policyi“, 17 wypadków, a *Matin* (który pierwéj

(1) Szczegółowe zestawienie dat i faktów podałem w *Gazecie rolniczéj*.

najwięcéj robił hałasu) tylko 7 (w rzeczywistości było samych śmierci 20). Dnia 23 zaś ogłosił „koniec epidemii“, chociaż trwała jeszcze przeszło tydzień, a z ogonem przeszło miesiąc. Gdy wreszcie d. 24 prefektura policyi i prefektura Sekwanny przestały podawać wykazy, spadek liczby zasłabnięć zaczął być stanowczym, pomimo, że jeszcze tegoż dnia był dość nagły przyrost. Liczba śmierci nie przewyższała już 10 dziennie i w tydzień potém epidemia mogła być uważana za skończoną. W pierwszéj połowie grudnia trafiały się już tylko średnio 2 wypadki dziennie, a mianowicie od 1 do 14 grudnia przybyło w szpitalach 30 chorych, z których 18 zmarło. W drugiéj połowie grudnia był średnio jeden wypadek dziennie, a w pierwszéj połowie stycznia już tylko kilka sporadycznych.

Trzeba przyznać, że wcześnie się opatrzono. Już dnia 9 zaczęły się budzić w niektórych dziennikach wyrzuty sumienia, prowadzące nieraz do zabawnych sprzeczności. Tak np. *Matin* z tego dnia na 1-éj stronicy jeszcze siał postrach, drukując wielkiemi literami:

„Cholera“
„*Dwieście sześćdziesiąt trzy wypadków*“
(Nigdy tyle nie było).
„*Środki ostrożności są niedostateczne*“ itd.

a na 3-éj stronicy uspokajał, mówiąc:

„Ludność najniesłuszniéj w świecie przesadza niebezpieczeństwo cholery. Obowiązkiem prasy jest przeciwdziałać temu. Jesteśmy pewni, że gdyby zamiast *cholerą* nazywano tę chorobę *oneleb* po persku, albo *hachaisa* po arabsku, albo *ho luan* po chińsku etc., wszyscy by się z niéj śmieli...“

Najwięcéj mnie ubawił dziennik lekarski *Union médicale.* Jednem z jego redaktorów jest dr. Brouardel, mianowany w chwili wybuchu wiceprezesem rady hygienicznéj (ten sam, co napróżno szukał w Tulonie „szpary“, przez którą cholera przyjechała z Indyj). Widocznie pilno mu było zdobyć tę godność, bo nie mógł przebaczyć d-rowi Dujardin - Beaumetz, że zataił epidemię w Aubervillers, a dziennik jego z furyą napadał na administracyą Nantes, że nadużywa zaufania publicznego, nie ogłaszając wykazów cholerycznych (1) (Nr. z d. 4 listopada).

Gdy zaś epidemia w Paryżu wybuchła nazajutrz i gdy reporter dziennika *Matin* czémprędzéj wysłany, zapytał go co zamyśla robić, odpowiedział:

(1) Dzięki temu roztropnemu postępowaniu administracyi nantejskiéj, cholera w tém mieście wygasła, bez większego przyrostu.

— Ogłaszać całą prawdę o postępach złego. Możesz pan to oświadczyć śmiało ludności paryskiéj. Widziałem dziś pana Rouvier (ministra handlu), który jest bezwzględnie tego samego zdania i na nasz wniosek rada zdecydowała ogłaszać *dwa biuletyny dziennie* (!). Zresztą—dodał szanowny wiceprezes z dumą — nie byłbym przyjął żadnéj misyi w innych warunkach (!!) (*Matin* z 7 listopada).

W rzeczywistości jednak rada ogłaszała tylko *jeden* biuletyn dziennie, a p. wice-prezes nie zrzekł się swojéj posady, chciałem powiedziéć „misyi". Ale zaraz po ogłoszeniu pierwszego biuletynu (8-my list) nastąpił *największy przyrost epidemii* (9-ty i 10-ty list.). Pytam się co sądzić o wiceprezesie komitetu hygienicznego, który na pytanie, co w obec wybuchu epidemii czynić zamierza—odpowiada: „ogłaszać o postępach złego"?

Ale mniejsza z tém; jest więcéj zagadek w mózgach niektórych ludzi aniżeli w biegu epidemii, o któréj tenże pan Brouardel powiedział, że naigrawa się z wszelkich przewidywań. Humorystyka nie w tém leży.

Zaledwie upłynęło parę tygodni, kiedy taż sama *Union médicale* tak pisała: „Winne są gazety codzienne, które od wybuchu epidemii tyle hałasowały, tyle narobiły gwałtu, że jestem przekonany, iż *liczba chorych ze strachu była o wiele większą niż prawdziwych ofiar cholery* (Nr. 165).

Podkreślam to szacowne wyznanie. Czy nie zabawne? Ale skąd u licha *Union Médicale* doszła do tak surowego potępienia dzienników politycznych, skoro sama tak usilnie domagała się rozgłosu?

A ba!.... *C'est toute une histoire.* Streszczę ją w dwóch cytatach feljetonu z tegoż dziennika:

„Jakże wy musicie być zajęci w Paryżu! pisał do mnie niedawno przyjaciel z prowincyi. Zapewne! Jest w Paryżu 3.500 lekarzy i około stu cholerycznych, to znaczy 300 (?) lekarzy na jednego chorego. Co za zajęcie!"

Dzienniki polityczne narobiły *zawiele* hałasu i „klijenci zamożni z humorami, migrenami, katarami itp. drobnemi dolegliwościami uciekli jak stado wróbli..."

Da liegt der Hund begraben. Zatém: „Winne są gazety codzienne itd."

Felietonista *Un. méd.* posuwa się aż do zarzutu, że właściciele niektórych wielkich dzienników, dowiedziawszy się o wypadkach sporadycznych, zakupili lub wynajęli całe domy w Cannes, Mentonie i Nicei, a następnie „pawiemi krzykami" wypędzili bogatszych z Paryża, wiedząc z góry, że się na nich obłowią.

Mniejsza z tém, że ludność biedna padła ofiarą popłochu—ale dla czego na nim skorzystali niektórzy *wydawcy* a nie niektórzy *lekarze*?

Nawiasem mówiąc: wart Pac pałaca.

Mimowoli przychodzą na myśl słowa dra Fauvel'a, który umarł, rzec można, na wiadomość o wybuchu epidemii w Paryżu, a który w testamencie swoim, przesłanym akademii, tak pisał: „Nie chcę, żeby wypowiadano jakiekolwiek mowy nad moim grobem. Czas sprawiedliwości nie nadszedł jeszcze dla mnie. Odda mi ją przyszłość, gdy nie będzie już *namiętności i interesów*, zamieszanych do sprawy cholery..."

Union médicale nazywa tegoroczną cholerę „epidemią niespodzianek". Dla mnie największą w niéj niespodzianką było znalezienie się saméj *Un. méd.* Poznaliśmy już jedną stronę téj niespodzianki—poznajmyż i drugą:

„Jeden z najlepszych dzienników lekarskich Nowego Świata, *Journal of the American Medical Association*, w numerze z 18 października ogłosił pracę dra Raymonda Rogersa, p. t. „Cholera, jéj przeszłe spustoszenia i lepsze co do niéj widoki na przyszłość". Owe przeszłe spustoszenia—mówi autor—były dziełem nietyle saméj choroby, ile *opłakanego o niéj wyobrażenia* i *środków, których przeciw niéj używano*. W przyszłości będzie można ją zwalczyć bardzo prostém postępowaniem. Dotychczas zupełnie fałszywie pojmowano naturę téj choroby; pozostała ona całkiem niezrozumianą, jak o tém świadczy najlepiéj zawsze i wszędzie taż sama śmiertelność 50 na 100, przy najrozmaitszych systemach leczenia. Trzeba zerwać ze staremi tradycyami, ze staremi teoryami, które tak nędzne wydały owoce. Fakt, że chorzy umierają nieraz gwałtownie, dowodzi, iż przyczyna choroby musi opanowywać *system nerwowy*, za czém przemawia także przygnębienie chorych. Cholera jest więc *chorobą nerwową*. Inne objawy, jak dyarya itp.. przemawiają za wysiękiem krwistym (*haemorhagia*); ze stanowiska więc symptomów, cholera jest *newrozą hemoragijną*. Ponieważ zaś w ataku bywa anemia mózgu i serca, jedynym więc środkiem racyonalnym, czyli takim, którego działanie zrozumieć możemy, jest... *odpowiednie ułożenie ciała*. W wypadkach lżejszych wystarcza położenie dokładnie poziome, w cięższych bardziéj pochylone, głową na dół. W ten sposób krew musi choć w części wrócić do mózgu i do serca i zmniejszyć parcie ku dołowi zarówno saméj krwi, jak i płynów kiszkowych, które to parcie powiększa stan zapalny. Z drugiéj strony na nerwy trzeba działać morfiną, ale tylko z początku choroby i tylko w bardzo małych dozach, oraz przeciw kurczom wdychaniami chloroformu. Wreszcie

lód i woda zimna w małych łykach, wcierania i ogrzewania—oto cała kuracya. System ten miał wydać dobre rezultaty nawet w najcięższych wypadkach (1).

Przytoczywszy treść powyższéj rozprawy, *Union médicale* dodaje: „Niejeden będzie może uważał za waryactwo tę pretensyą leczenia cholery przez przewrącanie chorego do góry nogami, ale kto wié, może ta myśl jest istotnie szczęśliwą. Autor broni jéj całkiem seryo i twierdzi, że ją oparł na doświadczeniu. Pochylanie ciała było już zresztą stosowane z pożytkiem w pewnych krwotokach i w zaduszeniu, wywołaném przez środki anestezyjne. Oba te warunki znajdują się właśnie w cholerze w formie analogicznéj... Użyteczność więc położenia poziomego powinna-by być ogłoszoną publiczności. Praca powinna się przyczynić do rozkrzewienia tych pojęć, zarówno jasnych, jak łatwych do zastosowania..... *Oto czém dzienniki zająć się powinny*, zamiast prawić o cholerze, szastając wiadomościami na prawo i na lewo i przyczyniając się do wzrostu epidemii postrachem, *który jest jedną z najpewniejszych przyczyn rozwoju téj choroby*. Łatwo bowiem zrozumiéć, że jako newroza, zależy ona najściśléj od wpływów moralnych". (*Un. Méd.* Nr. 169).

Takie tedy były różnice zachowania się prasy lekarskiéj i nielekarskiéj w pierwszym i drugim okresie epidemii.

Ale oprócz prasy, do uspokojenia ludności przyczynili się głównie rozsądni a wpływowi lekarze. Przedewszystkiém wielkie wrażenie zrobił swojém doświadczeniem dr. Bochefontaine, szef laboratoryum, prof. Vulpian'a. Doświadczenie to nie przedstawiające ścisłości naukowéj dostatecznéj (2), wybornie jednak podziałało na publiczność. Znam osoby, które żyjąc w pierwszych dniach w ciągłym strachu, uspokoiły się dopiero przeczytawszy o niém wiadomość, powtórzoną naturalnie przez wszystkie dzienniki; a ponieważ przykład jest zaraźliwym, znalazło się wielu takich, którzy w szlachetnéj myśli powstrzymania popłochu ofiarowali się powtórzyć je na sobie. Następujący list, zamieszczony przez *Opinion* 14 listopada, charakteryzuje ten nastrój umysłów:

---

(1) Można się domyśléć, że „mikrob przecinkowy nie budzi w autorze zaufania, a jeszcze mniéj admiracyi. Znaleziono go nietylko w cholerze, a natomiast w wielu wypadkach cholery nie znaleźli go obserwatorowie najbardziéj kompetentni. W rezultacie więc mikroby tak zwane „choleryczne" są tylko objawem towarzyszącym chorobie (*simply occasional concomitants of the disease*), a nie jéj przyczyną".

(2) O wartości tego rodzaju doświadczeń pisałem przed kilku miesiącami w „Kuryerze Warszawskim", w artykule: „Reakcya w pojęciach o cholerze".

Do profesora Vulpian'a.

Panie doktorze! Za przykładem dzielnego i szlachetnego dra Bochefontaine, mam zaszczyt oznajmić panu, iż jestem do całkowitéj jego dyspozycyi, w przedmiocie doświadczeń jakiéjkolwiek natury (mających stwierdzić niezaraźliwość cholery). Mam lat 41, jestem zdrów i silny. Mam żonę i dwoje dzieci także zdrowe. Żona moja nie obawia się niczego. Sądzę, że trzeba dowieść, iż złe nie jest tak straszném, jak się ludziom wydaje. Racz pan przyjąć etc.

Ludwik Blaret
współpracownik *Opinion.*

Przeciw zaraźliwości cholery oświadczyli się także dr. Ricord, członek akademii, który już w r. 1832 walczył z cholerą, dr. Perin, członek wojskowéj rady zdrowia, prof. Vulpian, słynny fizyolog i jeden z najpopularniejszych lekarzy w Paryżu. Z zastrzeżeniami zaś bardzo wielu innych, a mianowicie: dr. J. Guérin, dziekan akademii i dr. Dujardin-Beaumetz, dyrektor służby cholerycznéj.

Wreszcie rozsądnie się znalazła policya, zakazując roznosicielom gazet obwoływania po bulwarach wiadomości o cholerze.

Wszystkie te czynniki zbiegłszy się razem, przy współdziałaniu chłodnéj pory roku elektrycznych zmian atmosfery i niektórych ulepszeń sanitarnych, sprawiły, że epidemia została ubezwładnioną. Rosła nagle, ale odrazu ją obcięto. Podrywała się jeszcze parę razy, ale nie na długo.

Można by sądzić, że w drugim okresie epidemii lepiéj zabezpieczano się od zarazy i dla tego ustała; że staranniéj dezinfekcyonowano i odosobniano chorych? Było wprost przeciwnie. Zrazu postanowiono umieszczać chorych tylko w osobnych szpitalach za miastem, dezinfekcyonowano na zabój, do sal cholerycznych nie wpuszczano nikogo, kto nie miał specyalnego upoważnienia; ale po kilku dniach, gdy liczba wypadków gwałtownie rosła, spostrzeżono niedorzeczność przewożenia chorych milę drogi za miasto i umieszczano ich w szpitalach miejskich, mniéj kadzono, poprostu przez niemożność nastarczenia i — wtedy epidemia zaczęła słabnąć. Przestano téż przestrzegać poprzednich surowych zakazów i w dwóch szpitalach cholerycznych *św. Ludwika i Lariboisière*, mogłem wejść wprost do sal na ten cel przeznaczonych, nie będąc przez nikogo zaczepionym. Nie potrzebuję dodawać, że przebywając między chorymi po kilka godzin z rzędu dotykając ich wszystkich bez wyjątku (1) i rozmawiając z nimi nie używałem późniéj żadnego ze środ-

(1) Chodziło bowiem o próby z hipnoskopem, przyczém musiałem nakłuwać lekko skórę chorych szpilką, a od czasu do czasu kłuć swoję rękę, ażeby mieć porównaw-

ków dezinfekcyjnych, któremi mnie częstowano i że mam się dziś równie dobrze jak przedtém. Odwaga, powiesz może czytelniku. Pochwała byłaby niezasłużoną. Dałbym dowód prawdziwéj odwagi wtedy, gdybym np. wypił który z tych specyałów, jakiemi tu i owdzie traktowano cholerycznych, ale tak daleko ciekawość moja nie sięgała.

Kiedyś... znajdzie się może jaki heroiczny lekarz lub fizyolog, który chcąc imię swoje zapisać obok Desgenettes'a i Bochefontaine'a zażyje, będąc zdrowym, już nie pigułki z odchodów cholerycznych, ale jedno z tych „energicznych" lekarstw, jakich za wskazówką dra Kocha używano przeciw mikrobom w Tulonie. Wówczas z sekcyi pośmiertnéj będzie się można przekonać jak wyglądają niektóre z „obrażeń" anatomicznych, przypisywanych mikrobom. Czy prędko znajdzie się taki bohater? Wątpię. Natomiast co wiém napewno, to to, że pod koniec epidemii obudziła się reakcya przeciw truciu chorych. Nie używano już prawie żadnych środków, z wyjątkiem pierzyn, któremi okrywano pacyentów. W niektórych tylko szpitalach, np. u św. Antoniego, leczono energicznie. Prof. Hayem wstrzykiwał im w żyły *po dwa litry wody z solą*; w ten sposób wyleczył dwudziestu... na stu. Z owych wyleczonych 20, jeszcze było 2 wątpliwych; nie jestem pewien czy wyszli cało. Prof. Hayem był bardzo kontent z tego rezultatu, utrzymywał bowiem, że ze stu innych (których leczono innemi środkami) *prawie wszyscy* umarli. (Posiedzenie akademii medycznéj 2 grudnia).

W jednym z artykółów, drukowanych w „Kuryerze Warszawskim" zaznaczyłem ten fakt, że z początku każdéj epidemii, gdy powstaje zamięszanie, zalecone są te same środki, od których zaczęto w r. 1830, a więc przedewszystkiém opium; pod koniec epidemii lekarze przekonywają się, że opium jest szkodliwe, a gdy po pewnéj liczbie lat przyjdzie druga epidemia, jedni mieli czas o nauce zapominać, drudzy jeszcze jéj nie zdobyli (bo nie znają literatury), i dają znowu opium... Kiedy arcykapłan mikrobów zjechał do Tulonu, ażeby powagą swoją zalecić... kwas karbolowy i rzucić postrach na Europę wyliczaniem portów, w których cholera ukaże się kolejno, zalecał także opium. Obecnie, gdy epidemia się skończyła, czytam w dziennikach lekarskich artykuły „o zgubném działaniu opium w cholerze". (*Gaz. méd.* z 29 listopada *Gaz. des hôp.* z 9 grudnia etc)

---

czą miarę czucia. Znalazłem procent wrażliwych 37 na 100. Procent normalny wynosi około 30%.

Ażeby zrozumiéć o co tu chodzi, muszę nadmienić, że już znakomity fizyolog Magendie zauważył w pierwszéj epidemji, że podczas okresu oziębienia choleryczni znoszą największe, zabójcze dozy trucizn bezkarnie. Toż samo ma miejsce w niektórych innych atakach nerwowych, a mianowicie we wściekliznie a niekiedy i w histeryi. Jakim sposobem się to dzieje? Odpowiedź nietrudna dla tego kto wie, że w cholerze nerwy rządzące przyswajaniem *są porażone.* Każdy pokarm czy napój, o tyle tylko może być przyswojonym o ile na to owe nerwy pozwalają, gdy zaś są sparaliżowane, żołądek chorego staje się martwą butelką, w którą można lać co się podoba. Lekarz, tego wpływu nerwów nie uwzględniający, który po pierwszéj energicznéj dozie nie otrzymał żadnego skutku, daje drugą, także bezskuteczną, potém trzecią itd. W ten sposób powstaje fakt, stale powtarzający się w cholerze: *nagromadzenia lekarstw w organizmie*; lekarstwa nagromadzają się, ponieważ nie są ani przyswajane, ani wydzielane (anuria). Lecz w znacznéj większości wypadków paraliż nerwów rządzących odżywianiem jest tylko chwilowym; po „okresie oziębienia" następuje „okres reakcyj" nerwy budzą się do życia, krążenie krwi prawie wstrzymane przyśpiesza się i wtedy, *dopiero wtedy*, lekarstwa nagromadzone zaczynają działać, ponieważ wchodzą w obieg fizyologiczny. Chory zaczyna być konwalescentem i—zostaje otruty.

Zrozumiemy teraz następujące cytaty:

„Nagromadzanie się lekarstw w organizmie chorego nie ulega (w cholerze) wątpliwości. Czyż więc można się dziwić, że w tych warunkach użycie wstrzykiwań morfiny (morfina jest alkaloidem opjum), próbowane na tak wielką skalę w szpitalu marynarki w Tulonie i w innych, podczas ostatniéj epidemji, wydało tak opłakane rezultaty (1)? Opium jest nietylko środkiem antidyareicznym ale i bodźcem krążenia, który, *o ile jest absorbowany*, o tyle pobudza ruchy serca, przywraca puls etc. Otóż na téj zasadzie (zapominając tylko o nerwach) dr. Cuneo, naczelny lekarz owego szpitala w Tulonie, sądził (2), że jeżeli gdzie, to właśnie w cholerze, oba te środki są wskazane. „Na nieszczęście—pisze on sam—przekonaliśmy się nietylko o bezskuteczności, ale o szkodliwości tych środków, używanych w formie wstrzykiwań (3). Zaduszanie zwykle się powię-

---

(1) E. Riclin. Sur le traitement du cholera (*Gaz. méd.* Nr. 48).

(2) Cuneo. Sur le traitement du cholera dans les hôpitaux de la marine de Toulon. (Bull. Gen. de Thérap. z 30-go lipca r. b.)

(3) Uwaga powyższa o niemocy chwilowéj lekarstw, wskutek wstrzymania obiegu fizyologicznego, stosuje się zarówno do wstrzykiwań, jak do płynów lub ciał stałych połkniętych.

kszało, puls i tak słaby, słabnął jeszcze więcéj, temperatura ciała zniżała się, stan nieprzytomności powiększał się; jeżeli zaś reakcya już się zaczęła; to te środki opóźniały ją i wstrzymywały“ (loc. cit. str. 59)... Chorzy umierali przedstawiając już tylko ślady ataku cholerycznego.

Czy jasne? Toż samo potwierdzają drowie: Netter, Riclin i Dujardin-Beaumetz.

Cóż więc robić, jeżeli jedyny „pewny“ środek przeciw dyaryi wstępnéj ma być szkodliwym?—pyta dr. Nettera dr. de Conflans:

— *Używać czystéj wody*—odpowiada dr. Netter. I wcale nie na żarty cytuje cały szereg faktów natychmiastowego wyleczenia z dyaryi wstępnéj przez użycie wody zwykłéj lub sodowéj z gumą lub czystéj. Jest to środek wskazany przez instynkt natury, chorzy bowiem mają nieugaszone pragnienie, a lekarze kontagjoniści z obawy mikrobów zabraniają im pić. Fakta wspomniane przez Nettera potwierdzają dr. E. Lévy i prof. Hecht (*Gaz. d. hôp.* nr. 142).

Jeżeli *Un. méd.* uważała za konieczne popularyzowanie rad Rogers'a o poziomym układzie cholerycznych, sądzę, że i ten ustęp o zbawiennym wpływie wody (z mikrobami!) zasługiwał na ogłoszenie (1).

Zasługuje na nie także jeszcze jedna konkluzya tegorocznéj epidemji. Wyraziłem już dawniéj nadzieję, że nierozsądna teorya kordonów sanitarnych w cholerze nie ostoi się wobec ostatnich wypadków. Nadzieja ta zaczyna się urzeczywistniać. Dziennik angielski *British medical journal* ogłosił ocenę krytyczną kwarantann urządzanych tego roku we Francyi, we Włoszech i w Hiszpanii i dochodzi do konkluzyi, którą nam tytuł artykułu przeczuć pozwala: „The Folies of quarantine,“ to znaczy: „obłędy kwarantannowe.“ „Tytuł ten, dodaje od siebie inny dziennik lekarski (*Gaz. méd. de Paris* nr. 47) wydaje nam się najzupełniéj usprawiedliwionym. Rozbierając z jednéj strony środki przedsięwzięte, a z drugiéj rezultaty otrzymane, nie wahamy się twierdzić, iż na przyszłość trzeba będzie zmienić system; *doświadczenie tegoroczne potępia wszystko, co w téj epidemii przedsiębrano.*“

---

(1) Zbawienny wpływ czystéj wody w cholerze zauważył już dawniéj Sydenham. Magendie radzi zdać się na pragnienie i instynkt chorych i dawać im wedle życzenia napoje zarówno zimne, jak gorące. Samo się przez się rozumie, że na sparaliżowanie nerwów szklanka wody zimnéj nie pomoże; ale przynajmniéj nie zaszkodzi. Mowa tu tylko o dyaryi wstępnéj—chociaż niektórzy lekarze i w okresie oziębienia zalecali wielkie ilości wody.

Jędném słowem, miałem słuszność przewidywać, iż epidemia tegoroczna wyda owoce pożądane i że nareszcie nauka o cholerze pogodzi się z logiką.

Dotychczas było to niemożliwém.

Jest to zwykła historya w epidemjach cholerycznych, że zaczynają się one *przed* początkiem urzędowym, a kończą *po* końcu urzędowym. Ponieważ cholera nigdy nie jest importowaną w całości, jak sobie wyobrażają poszukiwacze „szpar“ importacyjnych, ale musi mieć grunt przygotowany, na którym powstaje, na którym się *urabia* nigdy więc nie ma stanowczéj granicy pomiędzy dniami, w których nie było epidemji, a tym, w którym się jakoby zaczęła. Dlatego pierwszy urzędowo stwierdzony wypadek cholery prawie nigdy nie jest pierwszym. Przy bliższém badaniu okazują się wcześniejsze bądź wyraźnie choleryczne, bądź choleroidalne, co dowodzi, że nawet w tych epidemjach, gdzie importacya (przez zarazę nerwową) jest pewną, stanowi ona tylko ostatnią kroplę dolaną do pełnego, iskrę rzuconą na materyał palny poprzednio przygotowany. Ta to myśl spowodowała, żem się zapytywał dr. Richarda, czy pewnym jest, że pani Beaujeta była pierwszą ofiarą epidemji. Odpowiedział mi, że tak, ale okazało się, iż się mylił. Na dzień przed nią (3-go listopada) zachorował, a nazajutrz umarł, w północnéj stronie miasta, przy ulicy św. Antoniego, posługacz w pralni, znany pijak. Od nikogo się nie zarazil i sam nikogo nie zaraził. Wypadek ten znany już był drowi Beaumetz, gdy szedł na owo sławne posiedzenie akademji 4-go listopada, ale o nim przemilczał, ponieważ uważał go za cholerę swojską; niemniéj jednak popłoch został przygotowany, ponieważ i dyrektor służby cholerycznéj i prefekt policyi zjechali z kadzidłami na miejsce. Pani Beaujeta (środek miasta), o któréj już wiemy z relacyi dra Richarda, że się od nikogo nie zaraziła i że sama nie zaraziła nikogo, nie miała téż żadnego zbliżenia z owym posługaczem z ulicy św. Antoniego. Jednocześnie z nią, także bez żadnego związku, zachorował gałganiarz przy ulicy św. Małgorzaty (strona północna), niedaleko od owego posługacza, ale niezależnie od niego. Nareszcie nazajutrz zachorowały prawie jednocześnie trzy kobiety w Salpétrière (strona południowo-wschodnia). Ale i te bez związku nawet jedna z drugą, gdyż jedna w oddziale dra Charcot, druga w oddziale dra Voisin, trzecia w oddziale dra Terillon. W dodatku, pierwsza z nich, obłąkana, nie wychodziła z zakładu od lat 4, a ponieważ nikt więcéj obok niéj nie zachorował, dr. Rivière uważa ten wypadek za sporadyczny.

Zatém: 1) Cholera ukazała się prawie współcześnie na północy, w środku i w południowo-wschodniéj stronie miasta.

2) Pierwsze jéj wypadki były uważane za sporadyczne, dopóki się nie zjawiły inne. Wtedy i pierwsze zaliczono do „azyatyckich.“

3) Z czterech pierwszych ofiar epidemji żadna nie pochodziła z miejsc zarażonych, żadna nie miała stosunków z osobami pochodzącemi z miejsc zakażonych i żadna drugiéj nie zaraziła.

Dlaczego?

1) Bo w otoczeniu chorych nie było osób odpowiednio usposobionych.

2) Bo nie było jeszcze popłochu.

Natomiast zasługuje na uwagę, że z czterech osób, które pierwsze zachorowały, jedna była nałogowym pijakiem, druga kobietą znajdującą się w stanie wyjątkowym i przeciążoną pracą, trzecia gałganiarzem, żyjącym w najgorszych warunkach sanitarnych, czwarta wreszcie kobietą chorą nerwowo.

Dopiero po tych czterech ofiarach zaczęła się właściwa epidemia (5-go listopada). Wiadomości już się rozeszły i na wycieńczonych, chorych lub wrażliwych padł postrach.

Cholera zaczęła zarażać.

Utworzyły się dwa główne ogniska zarazy, jedno małe w jednéj z najludniejszych dzielnic (ulica św. Małgorzaty), drugie większe, ale bardziéj skupione, w jednéj z najzdrowszych dzielnic (Avenue de Breteuil). Doniosłość pierwszego przesadzono nad miarę i, przyznaję, że sam dałem się złudzić tym wiadomościom, skorom się wybrał na ulicę św. Małgorzaty, jakby do głównéj kwatery zarazy. Przekonanie to było tak powszechne, że nawet podzielał je prefekt policyi, lekarze i wszystkie dzienniki.

Zkąd to poszło?

Iskrą, która wznieciła tę sztuczną epidemią, było ogłoszenie faktu i szczegółów epidemji już od trzech tygodni skończonéj, tuż pod Paryżem, w Aubervilliers. W sprawozdaniu tém opowiadano szczegółowo, że w Aubervilliers umierali głównie gałganiarze, co było prawdą; postrach więc padł głównie na tę klasę ludzi. Chodziły wieści, że wymierają jedni po drugich i że ulica św. Małgorzaty niedługo będzie pusta. Ale gałganiarze, mimo najgorszych warunków sanitarnych w jakich żyją, nie należą do ludzi zbyt tchórzliwych i ostatecznie więcéj straszyli drugich niż samych siebie. Cholera więc wybrała tylko co najodpowiedniejszych, oszczędzając resztę. Iluż w rezultacie umarło? W całym Paryżu przez cały czas epidemji z dwudziestu kilku tysięcy gałganiarzy umarło... *jedenastu.* Co nie przeszkodziło dziennikom pisać uczone artykuły o mikrobaeh, które kryjąc się w gałganach, powodują zarazę. Z tych jedenastu, dwu

tylko umarło obok siebie, a więc z pozorami zarazy materyalnéj—reszta w domach oddzielnych. *Suma sumarum* w téj dzielnicy śmiertelność wynosiła tylko 12 na 10,000 mieszkańców.

Znacznie większym i w ogóle największym był procent śmiertelności w drugiem ognisku zarazy w okolicach szkoły wojskowéj 39 na 10,000 mieszkańców). Jak wspomniałem, dzielnica ta należy do czyściejszych, a cholera wybuchła w zabudowaniach najbardziéj hygienicznie urządzonych, pomijając sąsiednie nieporządne. Czy znaczy to, że brudy nie mają wpływu na rozwój epidemji?—Nie, to znaczy tylko, że brudy mają wpływ mniejszy niż usposobienie indywidualne. Ale jakim sposobem w jednéj dzielnicy i w jednym budynku skupiło się tylu ludzi usposobionych? Bardzo prostym: był tam zakład przytułku dla starców. W ciągu kilku dni połowa z nich wymarła; najmłodszy z tych, którzy padli ofiarą, miał lat 74 (1). Niemniéj lekarze kontagioniści suszyli sobie głowy na tém: zkąd tak nagle wybuchła zaraza w tym zakładzie? kto ją przyniósł? Zjeżdżała komisya po komisyi, zjechał i sam Pasteur. Napróżno. Badania pokarmów i napojów nic nie wykryły, nie wykryto także tego, ktoby mógł przynieść zarazę. Więc miejsce? Ale miejsce samo jest bardzo zdrowe. Zresztą jeden ze starców, który wyszedł za urlopem do miasta *przed* wybuchem epidemji, dowiedziawszy się, że w zakładzie wszyscy wymierają, sam zachorował i umarł, nie wróciwszy do zakładu Jakim sposobem? Tajemnica! Tajemnica bardzo jasna dla nieuprzedzonych.

Starcy w Breteuil są to wszystko ludzie w najwyższym stopniu wycieńczeni. Gdyby ich jeszcze odżywiano jako tako, mogliby być mniéj podatni na działanie strachu i innych wpływów patogenicznych; ale karmiono ich jaknajgorzéj, karmiono ich z łaski tém, co zakonnice uzbierały, gdyż niedawno rada miejska odmówiła zakładowi dotychczas pobieranéj zapomogi, z powodu (jak się wam ten powód podoba?) że utrzymują go zakonnice. Były z tego tytułu sceny w radzie, niektórzy bowiem wprost oskarżali ją o przyczynienie się do śmierci tych nieszczęśliwych. Dość, że karmiono ich niedostatecznie. Trafiło się, że jednego dnia pokarmy i napoje (bardzo liche piwo) były jeszcze nieco mniéj strawne, niż zwykle (czerpię ten szczegół z relacyi lekarza zakładu) i jeden ze starców dostał „cholery,“ ściśléj: dyaryi połączonéj z wymiotami. Było to w chwili najwię-

---

(1) Przeciwnie w koszarach wojskowych, a więc między ludźmi silnymi i lepiéj odżywianymi, chociaż współcześnie wielu zachorowało, ale prawie wszyscy wyzdrowieli.

kszego wrzasku dzienników. Reszty domyśléć się łatwo. Na osłabionych biedaków padł postrach i marli jak muchy.

Ponieważ zaś pierwszy zachorował mężczyzna, postrach padł głównie między mężczyzn i w pierwszym tygodniu żadna kobieta nie zachorowała, pomimo że, jak mówi dr. Beaumetz, wszyscy jedli i pili toż samo i żyli w tych samych warunkach.

Wogóle z 215 starców obojéj płci zachorowało w Breteuil 79 a mianowicie 55 mężczyzn i 24 kobiety—zmarło osób 65 (na 79 chorych!) a mianowicie 47 mężczyzn i 18 kobiet. Nadto dwie zakonnice; o czem niżéj.

Przypatrzmy się teraz jak w ogóle wyglądała kwestya zarazy podczas ostatniéj epidemji.

Z wyjątkiem zakładu starców innego podobnego ogniska zarazy nerwowéj nie było. W wykazach dziennych, według okręgów miasta, najczęściéj figurowała jedynka. Toż samo na przedmieściach i w wioskach sąsiednich.

Pod koniec epidemji nawet w tygodniowych wykazach przeważały jedynki. Tak np. w okresie czasu od d. 23-go listopada do 1-go grudnia liczba zmarłych wynosiła: w Clichy 6, w Alfort 1, w Aubervilliers 1, w Boulogne 1, w Charenton 1, w Montrouge 1, w Neuilly i Pantin 1.

Nie trzeba wielkiego wysiłku myśli, ażeby zrozumieć, że każda taka jedynka jest protestem przeciw zaraźliwości cholery, „gdy warunki nie są sprzyjające," to znaczy gdy nie ma popłochu.

Porównywając ze sobą dwa okresy epidemji, widzimy, że objawy zarazy, bądź istotne, to jest przez pośrednictwo nerwów, bądź pozorne, to jest przez proste przypadkowe zbliżenie, występują prawie wyłącznie w pierwszym okresie. Wówczas též w szpitalach widziéć było można twarze wystraszone, lękające się każdego zbliżenia lekarza lub infirmera, zczerniałe i zmienione do niepoznania. Śmiertelność wynosiła wtedy przeszło 60%. W drugim okresie fizyognomja chorych zmienia się: przeważają twarze spokojne, nawet między ciężko chorymi. Nerwowa bojaźliwość jest już tylko wyjątkiem. Chorzy szybko przychodzą do siebie i odzyskują ciało. Widziałem kobietę lat 40, która była już całkiem czarną a w pięć dni potem odzyskała rumieńce. Ta miała cholerę naturalną, nie była wrażliwą na hipnoskop i nie bała się zarazy.

Ale i między chorymi z pierwszego okresu objawy zarazy nerwowéj *zbliska* (przez dotykanie lub widok) były bardzo rzadkie. Gdybym się opierał tylko na moich obserwacyach, to musiałbym nawet całkiem powątpiewać o ich istnieniu, gdyż ze wszystkich chorych, których pytałem o domniemane przyczyny choroby *ani jeden* nie odpowiadał mi: „zaraziłem się tam a tam." Znaczna większość

odpowiadała tak: „Alboż ja wiem zkąd mi to przyszło? Zrobiło mi się źle i musiałem się położyć; cholerycznego nigdy przedtém nie widziałem.“ Niektórzy przypisywali chorobę zaziębieniu, inni głodowi, jedna tylko chora, młoda szwaczka, podejrzywała zarazę: przybyła ona do Paryża z Brukselli w pierwszym okresie epidemji, zamówiona do jednego z magazynów. W magazynie tym pracowały także dwie dziewczyny z ulicy św. Małgorzaty.

— A czy która z nich zachorowała?

— E, nie. Ja tylko tak przypuszczam, że może to one przyniosły zarazę.

— A czy bałaś się pani cholery przedtem?

— O tak! Tyle o niéj mówiono w Bruksellil Przyjechawszy do Paryża, drżałam ciągle ze strachu, zwłaszcza jak się dowiedziałam, że te dwie dziewczyny mieszkają na ulicy św. Małgorzaty.

Dla kontrastu muszę przytoczyć, że w szpitalu Lariboisière znalazłem chłopca, na pół idyotę, który już był rekonwalescentem i jeszcze nie wiedział, że miał cholerę. W tym wypadku trudnoby podejrzywać wpływ moralny. Ale taki był jeden. Winienem zresztą dodać że chłopiec ów już poprzednio znajdował się w szpitalu jako chory. Na co? Nie umiał mi powiedziéć. Nie mogłem się téż dowiedziéć od niego, czy przed ostatnią chorobą widział cholerycznych.

W każdym razie był to wypadek „wewnętrzny“ a więc należący do kategoryi tych, które służą za pozór dla uzasadnienia materjalnéj zaraźliwości cholery. Interesującém więc będzie dla nas pytanie, ile w ogóle takich wypadków wewnętrznych okazało się w szpitalach?

Mógłby kto sądzić, że ponieważ cholera jest chorobą zaraźliwą, i to zaraźliwą w tak wysokim stopniu jak się wydaje, że więc każdy chory powinienby zarazić, jeżeli nie całe otoczenie, to przynajmniéj *jedną* z otaczających go osób!

Tymczasem na 1067 chorych, których leczono w szpitalach, było tylko 67 wypadków wewnętrznych.

Zapewne najwięcéj wystawieni byli na zarazę ci, którzy znajdowali się najbliżéj chorych? Nie. Gdyż z owéj liczby 67 przypada 47 na chorych rozmieszczonych w oddzielnych pawilonach, a *tylko 20* na osoby otaczające cholerycznych.

Zatém liczba wypadków, w którychby można podejrzywać materyalną zaraźliwość cholery przez dotknięcie, lub oddychanie tém samém powietrzem, wynosiła mniéj niż 20 na 10,000 tysięcy, to znaczy mniéj więcéj tyle co między osobami, które nigdy nie widziały cholerycznych.

Przypatrzmy się tym dwudziestu.

Myliłby się ktoby sądził, że wszystkie te dwadzieścia osób miały zetknięcie z cholerycznymi. Do wewnętrznych bowiem wypadków zalicza się w ogóle służba szpitalna, a więc i służba tych pawilonów, które były całkiem odcięte od baraków lub sal cholerycznych. Tym posługaczom nie wolno było nawet wchodzić do sal cholerycznych. Ale pomińmy ten szczegół, bo trudno byłoby sprawdzić, który z nich wchodził a który nie. Jednego z tych, który wchodził, ponieważ był używany do dezinfekcyi, widziałem w szpitalu św. Ludwika. Historya jego taka: będąc w nędzy i bez zajęcia zgłosił się zaraz po wybuchu epidemii, do obsługi cholerycznych w szpitalu Tenon. W kilka dni jednak liczba chorych zmniejszyła się i dano mu odprawę. *Dwanaście dni* chodził po mieście bez roboty, trzynastego dostał cholery.

— Czy sądzisz pan, że zaraziłeś się przy obsługiwaniu cholerycznych?

— Gdzież tam! wtedy mi było dobrze bom miał co jeść.

Wszystkich posługaczy umarło 4.

Odłączywszy jeszcze 1 urzędnika rachunkowego, który się do służby cholerycznéj nie mięszał; będziemy mieli 1 mamkę szpitalną, 3 infirmierów i 8 infirmierek. O jednéj z nich dr. Rivière podaje, że zachorowała i umarła w barakach *przeznaczonych wyłącznie dla konwalescentów*. Dwie inne umarły w zakładzie dla matek („Maternité") *„gdzie ani przedtém, ani potém innych wypadków cholery nie było"*. Skąd że więc dostały cholery? W sprawozdaniu swém drukowaném w *Gaz. des Hop.* dr. Rivière podaje ten szczegół, że owe dwie infirmierki i tylko te dwie niechciały pić wody przegotowanéj. Czy znaczy to że woda zwykła naraża, a woda przegotowana zabezpiecza od cholery? Tak sądzi wielu lekarzy, ale zdanie to wymaga objaśnienia. Byłoby ono słuszném, gdyby istotnie osoby pijące wodę przegotowaną nie dostawały cholery lub przynajmniéj dostawały ją w stopniu znacznie mniejszym niż pijące wodę zwykłą. Na nieszczęście tak nie jest. Odosobniony fakt owych dwu infirmierek niczego nie dowodzi. Dla ustalenia zasady trzeba trochę szerszéj podstawy faktów.

Z jakiego powodu niektórzy lekarze zalecają wodę przegotowaną? Bo nie zawiera mikrobów. To prawda. Ale woda przegotowana tylko wtedy nie zawiera mikrobów, kiedy jest użyta zaraz po przegotowaniu, a taka woda jest nie smaczna i nie zdrowa choćby dlatego że nie zawiera powietrza (1). Ażeby ją uczynić dobrą do pi-

(1) Jeden litr wody rzecznéj zawiera przeszło 50 cent. kub. powietrza. Woda deszczowa tylko 25 c. k.

cia trzeba ją potrzymać na powietrzu a wtedy wraz z powietrzem wchodzą w nią mikroby. I kto wie czy nie dobrze robią, bo obecność mikrobów w wodzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, *ułatwia* trawienie (1). Szkodliwemi dla organizmu są nie mikroby, które żołądek zdrów doskonale i z pożytkiem trawi, ale *materye organiczne gnijące*, które służą za pokarm mikrobom.

Te niewątpliwie szkodzą człowiekowi. Ponieważ zaś woda przegotowana nie zawiera materyj organicznych gnijących, prawdą więc jest, że woda przegotowana jest zdrowszą, niż zepsuta materyami gnijącemi. Jeżeli więc woda którą pito w *Maternité*, była nieczystą, to dobrze robiono, że ją przegotowywano; ale zrobionoby lepiéj gdyby dostarczano wprost wody czystéj. Taką zaś jest albo woda źródlana albo w braku źródlanéj rzeczna filtrowana. Filtrowanie zwykłe nie chroni od mikrobów, ale zatrzymuje materye organiczne nieorganizowane. Taką wodę piją zwykle w Paryżu, taką piłem przez cały czas epidemii a wraz zemną tysiące innych osób, które niedostały cholery, pomimo że woda ta, mianowicie pochodząca z okolic *Chatelet* zawiera mnóstwo mikrobów przecinkowych. Przegotowanéj bym nie pił, bo jest niesmaczną i obciąża żołądek. Nadto woda przegotowana nie zawiera soli wapiennych (2), które nie są potrzebne dla osób starych, ale dla młodych brak ich stanowiłby uszczerbek. Jedném słowem, owe dwie kobiety mogły zachorować od wody nieprzegotowanéj, jeśli była nieczystą, ale mogły téż zachorować wskutek tego, że już przedtem niedomagały na żołądek i że nie mogąc znosić wody przegotowanéj, miały ciągle na myśli obawę zarazy. Jakkolwiek tam było, dziś te dwa wypadki nie wystarczają do zalecania wody przegotowanéj. Jedyny człowiek zamożny, który umarł podczas ostatniéj epidemii pił tylko wodę przegotowaną. W Tulonie, wiem o dwu wypadkach śmiertelnych po użyciu nadmiernėm wody przegotowanéj. W Yport gdzie według zapewnienia dr. Gibert, ludność wcale wody niepije, stosunek śmiertelności był znacznie większym niż w Paryżu. W Paryżu wreszcie największy procent był między tymi, którzy pili tylko wino i wódkę. Niechże

---

(1) Obecnie świeżo Pasteur wystąpił z twierdzeniem że życie nasze stałoby się niemożliwém bez mikrobów. One to bowiem wywołując fermentacyą pokarmów czynią je strawnemi.

(2) Głównie węglan wapna potrzebny do rozrostu kości. Woda jest dobrą do picia gdy zawiera średnio 5 decigramów soli wapiennych na litr. Gdyby zawierała więcéj byłaby za twardą. Wogóle jednak czystość widzialna dla oka i smak w użyciu, wystarczają w zupełności do rozpoznania wody dobréj. Wodę taką można pić bez obawy z mikrobami.

więc ci, którzy wierząc ślepo zaleceniom teoretycznym piją wodę przegotowaną mogąc pić zwykłą czystą, albo co gorsza unikają całkiem wody z obawy mikrobów, zastanowią się nad tém, czy niepsują sobie żołądka bez potrzeby.

Wracając zaś do naszych infirmierek, dochodzimy do wniosku, że z owych ośmiu, tylko 5 możnaby podejrzywać o to, że zaraziły się od chorych. Byłby to *procent mniejszy niż między tymi, którzy wcale nie zbliżali się do chorych.*

Pozostają zakonnice i lekarze. O pierwszych mam tylko słowa pochwały. Gdyby cholera była zaraźliwą powinne były wszystkie powymierać. Widziałem jedną z nich gdy przyniesiono właśnie cholerycznego w najcięższéj fazie choroby. Natychmiast otuliła go pierzynami, gołą ręką otarła mu zimny pot z czoła i z uśmiechem na ustach z przymileniem macierzyńskiém, zapewniała, że zaraz będzie lepiéj, że powinien być dobréj myśli.

Lekarz siedział sobie na fotelu z daleka i czyścił paznokcie.

Z zakonnic, przez cały czas epidemji, umarło dwie. Jedna z wycieńczenia dostała cholery, druga wprost umarła z wycieńczenia. Obie pracowały w zakładzie starców przy Avenue Breteuil i obie *pięć nocy z rzędu niespały.*

Z lekarzy umarł jeden, dr. Fonsagrive, który już miał od kilku dni dyaryą, jadąc, po raz pierwszy do cholerycznego na wieś. Był to człowiek zdolny jako pisarz i niegdyś profesor; jako lekarz niemiał praktyki, był wątły i nerwowy.

Z lekarzy szpitalnych żaden nie umarł i żaden nawet nie chorował.

Tak wygląda zaraźliwość cholery widziana zbliska. Oczywiście bywa niekiedy gorzéj, nie ma bowiem przyczyny, dla którejby lekarze mieli być całkiem zabezpieczeni od cholery. Oswojenie nerwów dużo znaczy, ale i między nimi są ludzie skłonni do zarazy nerwowéj, są słabi, są wycieńczeni pracą, są bojaźliwi, są przesądni, mogą więc w chwilach popłochu padać ofiarą na równi z innymi. Wreszcie mogą dostawać cholery naturalnéj niezależnie od wszelkiéj zarazy. Zazwyczaj jednak procent śmiertelności jest między nimi słabszy od ogólnego. „Fakt to niezaprzeczony, mówi dr. Caudemberg (1), że infirmierowie i lekarze, którzy mają codzienne zetknięcie z cholerycznymi są *prawie zawsze* oszczędzani przez zarazę.“

A teraz dla kontrastu, i ażeby mieć pojęcie o tém jak bywa w chorobach naprawdę zaraźliwych, proszę przeczytać następne przytoczenia:

---

(1) Cholera etc. Paris 1884 str. 9.

„Jest regułą ogólną, mówi Griesinger, że infirmierowie, lekarze i studenci zarażają się tyfusem wysypkowym i to tém łatwiéj, im bardziéj się zbliżają do chorych."

W Irlandyi w okresie lat 25, na 1220 lekarzy szpitalnych 560 zaraziło się tyfusem a 132 umarło (Murchison).

Podczas epidemji tyfusowéj w Pradze w r. 1855 w dwu oddziałach szpitalnych przeznaczonych dla téj kategoryi chorych zachorowało 20 lekarzy i wszyscy infirmierzy; lekarze i infirmierowie innych oddziałów wcale nie chorowali. (Wien. Med. Jahrb. 1862). „W czasie wojny Krymskiéj, w okresie 57 dni zachorowało w armii francuskiéj 603 infirmierów na ogólną liczbę 840 a przeszło 80 lekarzy umarło." (Griesinger §. 153).

Pytanie: Dlaczego o tyfusie wysypkowym publiczność mało co wie i nielęka się go, kiedy o cholerze wiedzą wszyscy i wszyscy drżą przed nią?..... Bo cholery łatwo dostać ze strachu—a tyfusu trudno.

Nie jest to wcale paradox; choć wygląda na obrócenie kota w worku. Ktoś co się obawia tyfusu wysypkowego, strzeże go się i niedostaje. Otaczający go więc, widzą, iż dobrze zrobił strzegąc się, sami robią toż samo i są spokojni. Przeciwnie, ktoś co się obawia cholery jak ognia, strzeże się jéj i pierwszy dostaje. Otaczający go więc wnoszą, iż nawet największa ostrożność nie zabezpiecza od cholery i sami ulegają chorobie.

Drugie pytanie, tym razem bez odpowiedzi: Medycyna posiada środki ograniczenia zarazy tyfusowéj a nie posiada środków ograniczenia zarazy cholerycznéj; dlaczegóż jednak, gdy panuje epidemia tyfusu, żadne buletyny nieostrzegają publiczności, podczas gdy o epidemii cholerycznéj wice-prezesi komitetów sanitarnych chcieliby mieć aż dwa buletyny dziennie?..

Jest rzeczą przyjętą między kontagionistami, że najbardziéj krzewią zarazę nieczystości ludzkie. Ma to być tak dalece pewném, że jeden z nich powiedział wprost, iż zetknięcie z tego rodzaju wyziewami „prawie niewątpliwie zaraża." Dlaczego? Bo w nich żyją mikroby choleryczne. Biada więc praczkom i wywożącym nieczystości!

W pierwszym okresie epidemji paryzkiéj ukazywały się z tego tytułu po dziennikach rady, ażeby broń Boże bielizny nieoddawać na miasto, a nawet... choćby się nie było królem nie wychodzić za dom piechotą.

Kiedy epidemia minęła, zaczęto liczyć praczki. Pokazało sie że brakowało tylko 34, to znaczy mniéj niż szwaczek, bo tych umarło 57, chociaż igłą mikrobów niełapały. Co zaś do wywożących nieczy-

stości, to z tych nie umarł *ani jeden*. „Tak samo było w r. 1832“ dodaje znany chemik Boussingault. W rzeczywistości umarło ich wówczas kilku (licząc z temi którzy dozorują kanały 1) ale był to procent niewielki. W latach 1853—54 umarło 4; w 1865 także 4 na 1000.

Więc może nieczystości zabezpieczają od cholery? Nie, tylko tego rodzaju zajęciom nie mogą się oddawać ludzie delikatnych nerwów lub słabego zdrowia. Oto cała tajemnica. Nie cała, przepraszam; istnieje jeszcze druga. Kiedy w r. 1832 z początku epidemji mimo gwałtowności zarazy, nie umarł żaden z czyścicieli, powstała między ludem wiara, że wyziewy i nieczystości zabezpieczają od cholery, a wiara ta była tak silną że mieszkańcy niektórych wsi pod Paryżem (dzisiejszych przedmieść) umyślnie zwozili przed dom nieczystości. *Śmiertelność w tych miejscach była słabszą niż w innych* (1). Nic więc dziwnego, że tradycya przetrwała do dziś dnia.

Jaka kategorya ludzi dostarczyła największego procentu śmiertelności?

Biedni wyrobnicy, powiększéj części będący bez zajęcia. Tych zmarło blisko 200.

Na drugiem miejscu służący, których padło ofiarą 128.

Na trzeciem, szwaczek 57.

A do najmniéj dotkniętych profesyj należały: praczki (34), pracujący nad metalami (25), (z obrabiających miedź chorował tylko jeden i ten wyzdrowiał, w sprawozdaniu dra Riviera podano błędnie 2); mularzy (17), woźniców (13); szewców (11); *gałganiarzy* (11), *czyścicieli kanałów* (2) *wywożących nieczystości* (0).

Czy można się spodziewać, że na podstawie tych faktów niektórzy „uczeni“ przestaną głosić, że główną przyczyną choroby są mikroby żyjące w nieczystościach?...

Niewiem—ale muszę zauważyć że mi to przypomina historyą o salamandrze. Przez długie wieki ludzie wierzyli że salamandra nie ginie w ogniu. Wkrótce téż znaleziono teoryą, która szczególny ten fakt objaśniała: nie mówiono że salamandra ma w sobie mikroby zabezpieczające od ognia, bo wówczas niebyła moda na mikroby, ale mówiono, że nie ginie dla tego, ponieważ ma w sobie „siłę antiflogistyczną.“ Fakt tedy nieulegał wątpliwości, tém więcéj że był objaśniony. Ale w parę tysięcy lat potém przyszło komuś do głowy, żeby *sprawdzić* czy istotnie salamandra nieginie w ogniu? I ku wielkiemu zdziwieniu przekonał się że jéj ogień wcale nieoszczędza. Co jednak

(1) Szczegółowe cyfry i inne dowody, na poparcie tego twierdzenia podałem w *Gazecie Rolniczéj* N. 51.

nieprzeszkodziło temu, że teorya „flogistonów“ i „antiflogistonów“ tułała się jeszcze w nauce aż do początku bieżącego wieku.

Znów pytanie: ilu ludzi głodnych, bez zajęcia, można-by nakarmić za miliony wyrzucane na dotychczasową „dezinfekcyą“ miejsc ustępowych? I powtóre: czy nie było-by prościéj, zamiast zatruwać rzeki najprzód nieczystościami, a potém nieczystościami zatrutemi przez trucizny, *odwaniać* te nieczystości naprawdę proszkiem torfowym, nie drogim, a następnie, nie szkodliwe już dla zdrowia, wywozić na rolę i tym sposobem odnosić korzyść podwójną?

Ostatecznie tedy kto umierał na cholerę?

— „Wogólności—mówi raport złożony Akademii:—olbrzymią większość, jeżeli nie ogół wypadków stanowią jednostki osłabione dawnemi chorobami chronicznemi, wycieńczone ekscesami wszelkiego rodzaju, albo też pogrążone w nędzy fizycznéj lub fizyologicznéj najgłębszéj, i żyjące w warunkach najbardziéj nie hygienicznych“.

Znający moje dawniejsze artykuły, przypominają sobie, że pisałem to samo *przed* epidemią.

Przewidywałem (w Kuryerze Warszawskim), że epidemia zabierze około tysiąca ofiar. Było ich do 1 grudnia 912 i późniéj jeszcze 20 kilka, co czyni 4 na 10.000 mieszkańców. Jakim sposobem mogłem przewidywać, że liczba ofiar nie będzie większą?

Proszę nie sądzić, że opierałem się w tym względzie na zaufaniu do przedsięwziętych przeciw chorobie środków. Co te środki warte, już wiemy. Co wart w tym kierunku postęp terapii, łatwo wywnioskować z téj okoliczności, że ogólna śmiertelność między chorymi wyniosła przeszło 52%, czyli, że więcéj niż połowa chorych umarła.

Opierałem się na czém inném zupełnie: na przekonaniu, że w tych miejscowościach gdzie postęp kultury i oświaty jest najszybszym, epidemje choleryczne muszą najszybciéj słabnąć. Gruntem cholery są: ciemnota, przesądy, niechlujstwo, nędza, bojaźliwość, pijaństwo, złe powietrze, zła woda, złe odżywianie, przeciążenie pracą.

Te wszystkie warunki w departamencie Sekwanny są rzadsze niż gdziekolwiekbądź indziéj, a postęp ku lepszemu szybszy niż gdziekolwiekbądź indziéj; to też z każdą epidemią ogólna liczba chorych zmniejszała się w proporcyi uproszczonéj:

1832	—	1849	—	1853,4	—	1865	—	1877	—	1884
235	:	176	:	82	:	27	:	7	:	4

Na zasadzie więc prawdopodobieństwa przypuszczałem, że liczba tegoroczna będzie mniejszą od 7. Jakoż była mniejszą, wynosiła bowiem tylko 4.

Gdyby cholera jeszcze raz ukazała się w Paryżu, to na téj samej podstawie godziło-by się przypuszczać, że następna liczba proporcyj będzie mniejszą od 4.

Co zaś do środków przedsiębranych, to potém wszystkiém com już dotychczas pisał, pozostaje mi tylko przytoczyć opinją prof. Hardy, członka Akademii Medycznéj.

Na posiedzeniu z d. 9 grudnia, kiedy dr. Beaumetz, opowiedziawszy przebieg epidemii, uważał za właściwe pochwalić środki przedsięwzięte przez władze, a właściwie przez niego samego (był bowiem, jak już wiemy, dyrektorem służby cholerycznéj). Dr. Hardy zabrał głos w te słowa:

„Historya epidemii, którą nam opowiedział kolega Beaumetz, zasługuje na bliższą uwagę. Jesteśmy zmuszeni wyznać, że przebieg jéj wstrząsa pojęcia, jakie wyrobiliśmy sobie o zaraźliwości cholery. Można nawet powiedziéć, że zdaje się on przeczyć punkt po punkcie *wszystkiemu cośmy mniemali dotychczas o początku, trwaniu i krzewieniu się téj choroby*". (Porów. *Sem. Med.* Nr. 50).

Byłem na tém posiedzeniu i łatwo się domyśléć, że nie żałowałem, wraz z innymi, oklasków, gdy dr. Hardy rozebrawszy referat Beaumetza, tak daléj mówił:

„P. Dujardin - Beaumetz twierdzi, że środki użyte przez władze, przyczyniły się do powstrzymania epidemii. Nie myślę odmawiać władzy dobrych chęci, ale sądzę, że popierwsze można było robić to samo z mniejszym hałasem, a powtóre, że można było nie używać niektórych środków, *nie opartych na żadnéj podstawie naukowéj*, a siejących postrach między ludnością. Mówię o dezinfekcyi mieszkań cholerycznych. Widziałem dom prawie szturmem zdobyty przez oddział dezinfektorów, którzy przyszli kadzić w mieszkaniu. Pytam się, jakiém prawem rzucano postrach między rodziny, dezinfekcyą, któréj skutek jest co najmniéj wątpliwym, w chorobie w któréj zaraźliwość jest co najmniéj nieokreśloną... Czy wiemy napewno, że cholera jest zaraźliwą? Nie. Co do mnie, sądzę, że obcowanie z cholerycznym nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Czy wiemy na pewno, że głównem źródłem zarazy jest woda? I która? Jaka? Czy woda Sekwanny? Ależ piliśmy ją wszyscy. Cholera była tylko w Nantes i w Yport, a ani z Nantes ani z Yport, o ile wiém, żadna rzeka nie przypływa do Paryża (Śmiechy). Ale co wiém napewno, to, że wasze ogłoszenia, podtrzymujące wiarę w zaraźliwość cholery, wstrzymywały zarazem zdrowych od niesienia pomocy chorym i że zachwiały nasz przemysł i handel. Epidemia skończyła się tak jak się zaczęła, to znaczy z przyczyn nieznanych, tkwiących

prawdopodobnie w powietrzu. Wasze środki mogły tylko powiększyć popłoch. ale nie wstrzymały epidemii“ (oklaski).

Ani jeden głos nie podniósł się w obronie mikrobów?

Podniósł się dr. Béchamps, który powiedział, że „warunki wywołujące cholerę tkwią głównie w powietrzu, wraz z któremi wciągamy miliardy mikrobów. *Gdyby więc nawet było dowiedzioném*, że przyczyną cholery są mikroby, to jeszcze środki owe były-by bezskutecznemi. Krzewienie się cholery zależy nie tyle od ilości przyczyn patogenicznych, ile od *wrażliwości jednostek*. Choroba powstaje u nas i z nas. Przyczyny zewnętrzne nie są wystarczające“.

Po odpowiedzi dra Dujardin - Beaumetz, który z początku potakiwał głową z uśmiechem, a spoważniał dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że zarzuty Hardy'ego i do niego się stosują, i który tłómaczył się tém, że jakkolwiek nie znamy przyczyny cholery, mamy jednak prawo stosować do niéj te same środki zaradcze, które się okazały skutecznemi w tyfusie i innych chorobach zaraźliwych. Dr. Hardy przemówił raz jeszcze:

„Oskarżyłem władze, ale winienem był skarżyć z większym jeszcze naciskiem *dzienniki*. Sądzę, że dziennikarze uchybili swoim obowiązkom, zapełniając całe szpalty wiadomościami o cholerze“ (Oklaski).

Poczciwy dr. Beaumetz był właściwie kozłem ofiarnym w całéj téj historyi. Jeżeli kto, to właśnie on rozumiał niebezpieczeństwo rozgłosu. Ale cóż miał robić? Epidemia wybuchła bezpośrednio po wyjawieniu (4 listopada) ukrywanéj przez niego i już od trzech tygodni skończonéj małéj epidemii pod Paryżem. Jakby na usprawiedliwienie swoje przytaczał, że już przedtém, bo w nocy z 3 na 4 umarł ów posługacz, znany pijak; który to wypadek z razu mówca uważał za sporadyczny. Ponieważ jednak nazajutrz ukazały się inne, trzeba go było uznać za epidemiczny. A skoro była epidemia, trzeba było coś robić. Nie dawno Akademia poleciła mu wypróbowanie najpraktyczniejszych sposobów dezinfekcyi. Sprawdził, że najpraktyczniejszym z niepraktycznych jest palenie siarki. Jakże więc nie miał używać tego środka, kiedy cholera wybuchła, i gdy zrobiono go dyrektorem służby zdrowia? W zaraźliwość cholery on sam bardzo nie wierzy i twierdzi, że nie jest ona zaraźliwą, *jeśli tylko pada na grunt nie przygotowany*, co najdokładniéj odpowiada rzeczywitości. Ale—co było robić? Gdyby nie dezinfekcyonował, powiedziano-by, że nic nie robił!

Jak tam było, tak było, dość, że epidemia się skończyła.

Dla czego się skończyła?..

Znów naiwne pytanie! powiész łaskawy czytelniku. Nie tak bardzo naiwne jak sądzisz. Pozwól sobie powiedziéć, że Griesinger, który chociaż był kontagionistą, umiał rozumować logicznie, bynajmniéj nie uważał tego pytania za naiwne. Uważał on owszem ustawanie epidemii za fakt „całkiem tajemniczy". I ze swego stanowiska nie mógł myśléć inaczéj. Proszę tylko zastanowić się: cholera azyatycka jest w najwyższym stopniu, materyalnie zaraźliwa, przybywszy raz z Indyj przenosi się „od człowieka do człowieka" i tylko od człowieka do człowieka; ci którzy pierwsi się zarazili, zarażają drugich; nie ma żadnéj podstawy do twierdzenia, że ostatni, którzy umierają na cholerę mają inną chorobę niż ci, którzy umierali pierwsi, *czemuż jednak nie zarażają? Dla czego epidemia ustaje?* „Nie podobna twierdzić, mówi znakomity patolog niemiecki, że cholera ustaje, ponieważ mieszkańcy *przyzwyczaili* się do miazmatów cholerycznych, gdyż i przyjezdni nie ulegają im w téj epoce. Wyczerpanie się epidemii musi polegać na zniknięciu przyczyny, która ją wywołuje; lecz dla czego ona znika, dla czego się nie odradza w dalszym ciągu?...." tajemnica!

W saméj rzeczy zje... mikroba kto ten węzeł rozpląta.

Przyzwyczaić się do mikrobów? *Allons donc*! czy nie łatwiéj byłoby przyzwyczaić się do tego, żeby być zjadanym przez wilki? Te przynajmniéj widujemy i znamy, ale bądź-że tu za pan brat z mikrobem!

„Cholera jest zaraźliwą". Ale nie w ostatnim okresie, bo by nigdy nie ustała. I nie w pierwszym przedepidemijnym, bo by się od razu zaczęła. I nie w chwili maximum, bo by rosła daléj, zamiast spadać. Kiedyż więc? Prawdę powiedziawszy pozory materyalnéj zaraźliwości cholery są tylko w jednym, jedynym okresie *pierwszego przyrostu*. Ładna mi teorya, która mając do objaśnienia trzy okresy długie i dwa krótkie, objaśnia jeden krótki!

Proponuję jednak sposób wyjścia: mikrobów jest tak dużo na świecie — dla czego-by nie miało być mikrobu *anti-cholerycznego*? I dla czego-by on nie miał zjadać mikrobu cholerycznego? Jeżeli tylko ten ostatni nie *przyzwyczaja się* do tego żeby być zjadanym — teorya gotowa. Gotowa także karyera dla drugiego Ajaxa patologii niemieckiéj. Zatém—*cherchez le microbe*! Choć-by to była tylko kaczka a nie mikrob, ręczę, że wszystkie dzienniki powtórzą wiadomość.

A może mikrob choleryczny powstaje przez samorodstwo, a potém sam sobie życie odbiera?.. A może, patrząc na środki, jakich ludzie przeciw niemu używają *pęka* od śmiechu?..

Tajemnica! Rozum ludzki wszystkiego zgłębić nie może. Niechże mi więc kto wytłómaczy dla czego salamandra, która przecież jest ogniotrwałą, jednakże w ogniu ginie?

Same tajemnice.

Ale żart na stronę; czas skończyć poważnie:

Zbierając wszystko razem, dochodzimy do następujących wniosków:

Ostatnia epidemia zaprzeczyła punkt po punkcie wszystkim twierdzeniom kontagionistów i dualistów.

A natomiast stwierdziła, że:

1) Nie ma różnicy zasadniczéj między cholerą „swojską“ i „azyatycką“, czyli sporadyczną i epidemiczną.

2) Że cholera nie udziela się przez samo dotykanie lub obcowanie z chorymi.

3) Że nawet spożycie wydzielin cholerycznych może nie wywołać żadnych następstw szkodliwych.

4) Że zaraza działa przeważnie z daleka i obejmuje tylko ludzi odpowiednio usposobionych.

5) Że kordony sanitarne i okadzania do niczego dobrego nie prowadzą.

6) Że wskutek błędnych pojęć o naturze cholery nie zrobiono dotychczas w leczeniu jéj żadnego postępu.

7) Że chcąc, ażeby na przyszłość było lepiéj, trzeba przedewszystkiém zrozumiéć, iż oprócz chorób nerwowych systemu mózgordzeniowego, istnieją choroby nerwowe systemu ganglionarnego i że cholera jest właśnie ich typową i najgwałtowniejszą formą.

8) Że wreszcie, z powodu iż punktem wyjścia cholery są dyarye i zimne dreszcze, które mogą powstać wprost ze strachu i ze zmiany sposobu życia, i ponieważ cholera więcéj niż którakolwiek inna choroba zależy od wpływów moralnych i zarazy nerwowéj, przeto władze, lekarze i dzienniki, krzewiąc wiarę w materyalną jéj zaraźliwość i popierając bezmyślne środki przeciw niéj przedsiębrane stają się współwinnymi złego.

Ile wody upłynie zanim te proste spostrzeżenia zostaną powszechnie przyjęte?

Julijan Ochorowicz.

NOWY PRZEKŁAD ILIADY.

Z wielu różnych powodów studya klasyczne nie budzą u nas żywszego i powszechniejszego interesu. Ci, co są nauczycielami lub profesorami, i ci, co ich nauk z obowiązku gimnazyalnego i uniwersyteckiego słuchają, tworzą swój światek zamknięty, z którym reszta inteligencyi w rzadkie i niezbyt poufne wchodzi stosunki. Po wyjściu z gimnazyów wiadomości w nich nabyte zacierają się z czasem, niepodtrzymywane ani uprawą dalszą, ani nawet zajęciem dla tego rodzaju studyów. Nawet wśród literatów, którzyby w sprawie porównawczego badania piśmiennictwa stosunkowo najbardziéj pracami z zakresu filologii klasycznéj interesować się powinni, nie wielu jest takich, coby rzeczywiście do samych źródeł zaglądali, gdyż się zazwyczaj zadawalniają czytaniem opracowań obcych. Jeszczeż łacina, jako nieodzowna przy studyowaniu dziejów naszych, ma znawców większą liczbę, ale greczyzna nader mało ceniona jest i rozumiana. Należy się więc istotna wdzięczność téj szczupłéj garstce, co nie zrażona obojętnością nie tylko już szerokiego ogółu, ale nawet szczupłego koła inteligencyi, nie zaniedbuje pracy na niewdzięczném polu i od czasu do czasu ma odwagę przemówić po polsku w imię prawdy lub piękna, zawartych w dziełach starożytnéj Hellady.

W roku 1877 podało *Ateneum* ocenę wszystkich do owego czasu wyszłych przekładów polskich Iliady. Od téj chwili przybyło tłómaczenie całéj epopei dokonane przez p. Pawła Popiela, którego próbki poprzednio w czasopismach ogłoszone znalazły ocenienie już we wzmiankowym artykule, znany filolog p. Augustyn Szmurło przygotował także przekład Iliady wierszem nierymowym.

Obecnie podajemy czytelnikom próbkę z tłómaczenia p. Stanisława Mleczki, który dotychczas przełożył 18 pieśni téj epopei; pozo-

staje więc tylko sześć jeszcze do uzupełnienia całości. Przekłada wierszem nierymowym, starając się usilnie o zachowanie *rytmu*. Heksametry jego są wogóle bardzo udatne; zwykłego akcentu wyrazowego nie usiłuje tłómacz nałamywać dla wymogów wiersza, lecz dba o to, ażeby wymogom tym zadośćuczynić nie łamiąc zwyczaju. Przekład odznacza się wielką wiernością; wiersz tłómaczenia odpowiada wierszowi oryginału; ale składni polskiéj nie nagina autor, jak niektórzy zbyt wierni tłómacze klasyków do składni greckiéj. Dobór wyrażeń jest zwykle trafny i uczucia poetycznego nie razi.

Przekład ten zasługiwałby na ogłoszenie go drukiem w całości; wyższym jest bowiem od tych, które dotychczas wierszém nierymowym wykonano. Może kto z możnych lubowników literatury greckiéj zainteresuje się tym ustępem; który tu z XVIII pieśni podajemy i zapewni tłómaczowi możność ogłoszenia drukiem całości. Oby ta nadzieja nie zawiodła!

Tetida przybyła na Olimp z prośbą do Hefesta i tak kończy:

. . . .

Otóż przybywam do ciebie, objęłam ci nogi i błagam,
Abyś zbrojicą obdarzył mi syna, co zginąć ma wkrótce.
Puklerz mu sporządź i szyszak i nagolenice z klamrami
Także i pancerz; bo jego rynsztunek Patroklos utracił
W walce z Hektorem, a syn mój w rospaczy po ziemi się tarza.
Odpowiadając odrzecze jéj Hefest, kulawiec przesławny:
„Dobréj bądź myśli, Tetido, niech troska ci serce opuści.
Bodajbym syna twojego tak zdołał przed śmiercią okrutną
Schronić, podówczas, gdy Dola go nieprzejednana dosięgnie;
Jako mu teraz rynsztunek zgotuję, wspaniały, że pewno
Każdy śmiertelnik podziwiać go będzie, gdy ujrzy go tylko.
Rzekł, pozostawia Tetidę, i poszedł do kuźni, i miechy
Wszystkie ku ogniu skierował i razem pracować rozkazał.
Tak to, dwadzieścia aż miechów poczęło się silnie wydymać:
Dęły w czeluście ogniska potężnie, i żar rozniecały,
Dopomagając mu w pracy, to znów ustawały chwilowo,
W miarę potrzeby, stosując się całkiem do woli Hefesta.
Miedzi wybornéj uprzednio nałożył on w żar rozniecony,
Takoż i cyny, i srebra i złota cennego—następnie
Ciężkie kowadło osadził na pniu, i, do dzieła się biorąc,
Ujął prawicą za młot, a lewicą obcęgi uchwycił.
Tarczę mu naprzód wykuwa, ogromną, a szczelnie spojoną,

Przyozdabiając przedziwnie: i rąbkiem otacza dokoła
Trójkarbowanym, świetlistym, i pas srebrnolity przytwierdza.
Z pięciu składała się warstw zestawionych; na wierzchnim zaś blacie
Wiele przedziwnych obrazów wyrzeźbił ze sztuką mistrzowską.
Ziemię najpierwéj przedstawił, i morze, i niebo ze słońcem,
Nieutrudzonym w swym biegu, i pełnię księżyca błyszczącą;
Także i znaki niebieskie, co strop zalegają dokoła:
Owóż Plejady, Hyjady i Oryonowe zastępy;
Więc Niedźwiedzicę północną, więc tę, co ją Wozem nazwano,
Która się toczy po niebie, a, wiecznie w Oryona się patrząc,
Do Oceanu nie schodzi i w falach się jego nie kąpie.
Dalej wyrzeźbił dwa miasta, licznego narodu siedziby.
Miasta wspaniałe, a w jednym biesiady i gody weselne:
Oblubienice wywiedli z komaty, przy blasku pochodni
Przeprowadzają przez miasto i pieśni zawodzą weselne.
Młodzież, puściwszy się w tan, korowody zatacza, a inni
Grają tancerzom na fletach i lutniach. Niewiasty dostojne
Stoją przed drzwiami w domostwach, a patrzy się każda z podziwem.
Zaś nieopodal na rynku zebranie narodu, bo kłótnia
Wszczęła się sroga, zawzięta; mężowie się dwaj powaśnili:
Poszło o wynagrodzenie za męża zabójstwo, i jeden
Twierdzi, że karę uiścił, a drugi mu wręcz nie przyznaje,
Sędziów obadwaj wezwali, by waśń sprawiedliwie rozstrzygnąć.
Każdy ma ludzi za sobą gromadę, a ci przytakują.
Uspokoili heroldy swarliwe pospólstwo, i oto
Pozasiadali sędziowie na głazach ciosanych, a berło
Rozgłosiciele, heroldy, skoleji do rąk im podają,
Berło trzymając, powstają, i głoszą naprzemian wyroki.
Dwa zasie złota talenty pośrodku—przygotowane,
Aby otrzymał je ten, kto najsłuszniéj prawo wymierzy.
Wokół zaś grodu drugiego dwa wojska do boju stanęły,
Błyszcząc jasnemi zbrojami. A oblegający żądali,
By wydzielili im tamci połowę dostatków i bogactw,
Jakie się w grodzie znajdują; inaczéj grozili zniszczeniem.
Tamci nie godzą się jeszcze i zbrojną gotują zasadzkę.
Mury zaś grodu wyniosłe, małżonki i dzieci nieletnie
Stojąc, zaległy, za niemi zaś męże starością schyleni.
Wszczęła się wojna: tym Ares, a tamtym Atena przywodzi:
Z złota oboje i również szatami złotemi odziani;
Piękni, w rynsztunkach wspaniałych, zupełnie, jak bogom przystało;
Najokazalsi oboje, mężowie zaś mniejszéj postaci.
Tamci, gdy doszli do jarów, dogodnych na miejsce zasadzki,

Właśnie nad rzeką, w dolinie, gdzie bydło do picia pędzano;
Tu zatrzymali się, siadłszy gromadnie w zbroicach spiżowych.
Dwóch wojowników zaś przodem na straży wpobliżu stanęło,
Ponad strumieniem, czatując na owce i bydło rogate;
Wkrótce téż ono nadeszło, a dwaj je przygnali pasterze,
Grając wesoło na fletach, nie wiedząc o niebezpieczeństwie.
Skoro ich ujrzą mężowie w zasadzce, na łup czyhający,
Biegną i wraz otoczyli i bydła gromadę i stado
Białowełnistych baranów i pozabijali pasterzy.
Gdy posłyszano w obozie zamieszkę i krzyki przy stadach,
Właśnie, gdy społem radzili mężowie;—co żywiéj na wozy
Wskoczą, i, pędząc rumaki, niebawem do miejsca dotarli.
Oto zawiązał się bój nad brzegami strumienia bystrego:
Jedni mężowie na drugich spiżowe oszczepy ciskają;
Kłótnia szaleje i Groza bojowa, a Śmierć, okrutnica,
Jednych morduje na miejscu, a innych rannemi dobija;
Wlecze poległych za nogi śród zgiełku i szczęku oręży.
Szaty jéj zaczerwieniały się krwią wojowników zbryzgane.
Tłumy ścierają się, walczą, a każdy jak żyw wyrzeźbiony,
Jedni i drudzy chwytają poległych i ciągną ku sobie.
    Daléj przedstawił znów pole i orkę: więc rolę spulchnioną,
Żyzną, a przeorywaną trzykrotnie; i liczni rataje
Orzą pługami i tam i napowrót, raz koło razu;
Każdy zaś z nich, co swą skibę dociągnie do pola granicy,
Wina słodkiego dostaje kubeczek, a człowiek osobny
Wino rozdaje; a oni, wypiwszy, zwracają się znowu
Wstecz, ku drugiemu krańcowi ugoru ochoczo zdążając.
Rola za niemi się czerni, zupełnie jak świéżo zorana,
Chociaż ze złota wykuta, tak sztucznie to było zrobione.
    Daléj przedstawiał znów żniwo i zboże na łanie: i oto
Liczni żniwiarze sierpami ostremi, zwijając się raźno,
Żną i garściami użątki raz—wraz na zagony składają;
Inni zaś w snopy je wiążą, ściągając w słomiane przewiąsła,
Trzech oto stoi na polu i snopy związują, a chłopcy
Skrzętnie zbierają im garście do garści i znoszą rękoma.
Wszyscy pracują ochoczo; pośrodku gospodarz spokojnie
Stanął, a laskę ma w ręce i dusza się jego raduje.
Wdali heroldy pod dębem przygotowują wieczerzę,
Z wołu dużego ofiarę składając; zaś obok niewiasty
Warzą posiłek żniwiarzom i krup dosypują jęczmiennych.
    Daléj przedstawił winnicę, a w niéj winokrzewy wzrastają
Bujnie i gęsto, ze złota, pokryte gronami czarnemi.

Srebrne paliki przy krzewach, rzędami pozatykane.
Rowkiem stalowym otoczył winnicę i płotkiem ogrodził
Z cyny błyszczącéj; a środkiem wąziutką drożynę wyżłobił,
Kędy zbieracze zdążają, bo czas winobrania już nadszedł:
Oto dziewczęta i dziarscy młodzianie z wesołą pustotą
Niosą koszyki ozdobne z winogronami słodkiemi;
Środkiem podąża chłopaczek, a w ręku lutnię trzymając,
Mile im wszystkim przygrywa i nuci piosenkę wesołą
Głosem cieniutkim; a chłopcy i dziewki zdążają ochoczo
Pośród okrzyków radośnych, i pląsów i raźnych poskoków.
Daléj znów błonie przedstawił i bydło się pasie rogate:
Krowy to z cyny porzeźbił, to znowu ze złota cennego.
Właśnie wygnano je zrana z obory na żyzne pastwisko
Tuż nad strumieniem, szemrzącym pomiędzy trzciną powiewną.
Bydło przygnali na paszę pasterze — ze złota ich wykuł —
Czteréj, a z niemi i dziewięć aż psów chyżonogich przybiegło.
Oto zuchwałe dwa lwy, przyskoczywszy ku stadu znienacka,
Byka naprzedzie porwały i ryczał duszony w pazurach
Byk, a na głos przybiegają pasterze i psy chyżonogie;
Lwy tymczasowo zdławiły już byka, rozdarły mu skórę,
Krew pochłaniają i wnętrza. Napróżno pasterze nadbiegli,
Lwów nie zdołali odstraszyć; i psami je szczują daremnie,
Zbrakło odwagi i psom chyżonogim z zębami się rzucić;
Lecz ujadają wpobliżu, przyskoczą, to znów umykają.
Daléj znów owiec gromadę wyrzeźbił Kulawiec przesławny:
Pasie się stado wełniste, przeliczne, śród pięknéj doliny;
Tamże zagrody i szatry i oparkanione podwórze.
Wreszcie też grono tancerzy przedstawił Kulawiec przesławny:
Całkiem podobne do tego, co w Knosie rozległéj przed laty
Niegdyś Dedalos wymyślił na cześć pięknowłoséj Arjadnie.
Oto, dokoła stanąwszy, chłopaki i dziewki dorodne
Tańczą ochoczo, a dłońmi się wszyscy za dłonie trzymają.
Młodzież przybrana świątecznie: dziewczęta w osłonach cieniutkich,
Chłopcy w chitonach przedziwnie utkanych, jak oléj świetlistych;
Dziewki z wieńcami pięknemi na głowach, a dziarscy młodzianie
Z puginałami przy bokach, złotemi, na pasach srebrzystych,
Tak to puścili się w tan i pląsają zwinnemi nogami
Lekko i raźnie, i kołem wirują, jak krążek garncarski,
Kiedy próbuje go zdun, czyli będzie obracał się gładko.
Potém rozkręcą się w rzędy i tańczą naprzeciw stanąwszy.
Wkoło zaś widzów gromada, a każdy się z upodobaniem
Patrzy na grono taneczne; a śpiewak im boski na lirze

Gra, przyśpiewując; a dwaj wyborowi tancerze pośrodku
Kręcą się w kole, w poskokach ochoczych, przy śpiewie pieśniarza.
W końcu zaś Hefest, Kulawiec, Ocean płynący rostoczył
Wokół pięknego puklerza, poniżéj obłogi zewnętrznéj.
Taką to tarczę sporządził, ogromną, a szczelnie spojoną,
Wykuł następnie i pancerz świetlejszy nad blaski płomienia;
Wykuł i twardą przyłbicę do skroni w sam raz przystającą,
Ślicznie zdobioną dokoła z wspaniałym buńczukiem złocistym;
Wykuł nareszcie mu z cyny i nagolenice wyborne.
Skoro te wszystkie przybory wykończył Kulawiec przesławny,
Poniósł je, wziąwszy oburącz, i kładzie przed matką Achilla.
Ta poleciała jak sokół, ze szczytu Olimpu śnieżnego,
Promieniejący rynsztunek bojowy synowi poniosła.

Przełożył Stanisław Mleczko.

STOWARZYSZENIA
ROBOTNIKÓW ANGIELSKICH.
(TRADES-UNIONS).

(Das Arbeitsverhältniss gemäss dem heutigen Recht. Geschichtliche und ökonomische Studien von Lujo Brentano. Leipzig. Duncker et Humblot. 1877).

Metoda historyczna, zastosowana przez Roschera do studyów ekonomicznych, rozwinięta na wielką skalę w ostatnim lat dziesiątku przez liczną grupę profesorów niemieckich, socyalistów naukowych czyli z katedry, ma, w obec agitującéj się dzisiaj kwestyi społecznéj, tę wielką zasługę, że z wyżyn abstrakcyi sprowadza ją na pole realne, na którém łatwiéj ona zrozumiéć się daje; rozrywa niejako zaczarowane koło syllogizmów wysnuwanych z kilku aksiomatów i walkę przenosi na swobodniejsze obszary badań dziejowych i psychologicznych, a teoryą socyalizmu przekształca powoli na jeden ustęp z nauki socyologii.

Rozpatrując się w wewnętrznych dziejach narodów przekonano się, że niepokoje społeczne nie są żadną specyalnością naszych czasów, że przez cały ciąg historyi snują się one niemal nieprzerwanie, że choroba, w téj lub owéj formie w stanie chronicznym lub zapalnym, nigdy prawie nieprzestawała grasować wśród społeczeństw ludzkich, ucichała tylko chwilowo, kiedy ją zagłuszały wojny zewnętrzne, albo kiedy jedna klasa ludzi brała przewagę nad innemi i mogła czas jakiś władzy swéj używać na stłumienie wszelkich zachcianek reformatorskich czy rewolucyjnych.

I.

Silniejsi i słabsi zawsze obok siebie istnieli na świecie; fakta użycia swéj przewagi dla wyzyskania słabszych, zarówno jak usiło-

wania obrony od przemocy czy wyzysku, są tak stare jak powstawanie społeczeństw ludzkich. Czy to silny łowiec wśród lądu azyatyckiego, czy przemyślny kupiec nad morzem śródziemném, wykwintny Grek czy poważny Rzymianin, każdy w starożytności uważał niewolę za główną podwalinę porządku społecznego, za pierwszą podstawę cywilizacyi; dzieje starożytne wspominają też nieraz o buntach niewolników, które w owych czasach podejmowały po swojemu kwestyą socyalną. Po upadku państwa rzymskiego, kiedy ludy germańskie z chaosu wędrówek i wojen zaczęły przechodzić do stalszych urządzeń i osiedlać się na roli, niewola trwała jeszcze ciągle, ale ziemię na własność dostawał wojownik i w pojęciach tych ludów własność ziemi była znamieniem człowieka wolnego. Owóż pomiędzy wolnymi znaleźli się właściciele więksi i mniejsi, tj. silniejsi i słabsi. Przy rozmnażaniu się ludności, prastara organizacya rodowa zaczęła się rozluźniać, związek rodowy przestawał zapewniać opiekę i bezpieczeństwo od napaści ludzi obcych; jednocześnie władza wodza naczelnego słabła i nie była w stanie utrzymać spokoju i porządku społecznego, wtedy na wszystkich obszarach zamieszkanych przez ludy germańskie możniejsi mogli uciskać bezkarnie wolnych, ale uboższych, swych sąsiadów, a wślad zatém, stosownie do usposobienia ludzi i do warunków wśród których żyli, rozpoczęło się zrzekanie się swobody i oddawanie się pod opiekę możniejszego, albo łączenie się słabszych w grupy i związki, celem opierania się przemocy i zabezpieczenia sobie życia niepodległego i bezpiecznego posiadania swéj własności.

Taki był początek staro-germańskich gildyj. Były to związki ściste, zaprzysiężone nawet, ożywiał je duch społeczny, panujący dawniéj w rodach, duch wzajemnego szacunku i pomocy między ludźmi wolnymi i wiernymi; celem ich była opieka nad osobami i mieniem członków. Związki takie istniały po wsiach i w miastach, ale w miastach łatwiéj im było utrzymać się i wzmocnić, tam téż przetrwały one dłużéj i rozwinęły się o wiele silniéj. W miastach, szczególnie biskupich, mieszkało dużo ludzi wolnych, właścicieli gruntów miejskich; w samych początkach życia miejskiego pełne prawo obywatelstwa wiązało się z posiadaniem ziemi, dla tego téż własność ziemska jest cechą najstarszego mieszczaństwa, które obok tego zajmowało się handlem albo rzemiosłem. Bliskość zamieszkania w szczupłym obrębie ułatwiała porozumienie, wspólność interesów ściśléj łączyła wszystkich, pozycya obronna lub mury umyślnie wzniesione ochraniały lepiéj od napadów; więc też tutaj gildye trzymały się silniéj i wzbogacały się, co z czasem ułatwiło im wybicie się z pod władzy książąt i biskupów.

Póki walka trwała, każda jednostka mogła się w niéj przydać, bogatsi więc chętnie łączyli się z uboższymi; ale w miarę stopniowego osiągania niepodległości, stosunki się zmieniały. W czasach spokojniejszych ludzie wzbogacali się prędzéj, szczególnie ci, którzy zajmowali się handlem, dającym zyski obfitsze, handel nie wymagający pracy ręcznéj jak rzemiosło, uważanym był za zajęcie szlachetniejsze; z okolic przybywali do miast nowi osadnicy, zwiększały się różnice majątkowe, co doprowadziło do zamykania się w sobie starych gildyj i do formowania obok nich nowych; dawniejsze jednak zachowywały pierwszeństwo i przodowały wszystkim, powstawał stąd w miastach patrycyat, który przy dziedziczności zacieśniał się powoli w ciało odrębne, arystokratyczne, przypisujące sobie wyłączne prawo przewodniczenia i rządzenia w mieście, na podstawie swego prawa własności gruntów miejskich. W skład téj arystokracyi wchodzili potomkowie starych rodów kupieckich, oraz szlachty okolicznéj w miastach osiadłéj i dawniejszych urzędników książęcych; ludzie ci będąc bogaci, nie potrzebowali pracować, a więc łatwo im było próżnowanie uważać za znamię honorowe stanu obywatelskiego, rzemieślników stopniowo wykluczano z gildyj obywatelskich, tak, że w wieku XII już prawo wyróżniało rzemieślnika od obywatela i pozwalało temu ostatniemu nie tylko wymagać od niego dla siebie uszanowania, ale i karcić go nawet.

Oprócz pewnéj liczby ludzi wolnych, zajmujących się rzemiosłem po miastach, przybywali tam coraz nowi przybysze z pomiędzy właścicieli małych kawałków ziemi w okolicy, których rolnictwo wyżywić nie mogło, a którzy w rzemiosłach znajdowali obfitsze środki do życia. Znaczna téż liczba rzemieślników pracowała na dworach książęcych i biskupich, lub w bogatych klasztorach, ale ci zależeli od swoich panów, byli ich poddanymi (hörige); kiedy zależność poddańcza zaczęła wygasać, ludzie ci, oswobodzając się od prawa dworskiego, osiadali w miastach, gdzie z tego powodu liczba rzemieślników wzrastała szybko. W miastach jednak niechciano ich przyjmować do gildyj, popadali więc w zależność nową od rządzącego mieszczaństwa, które poprostu próbowało zapędzić ich w poddaństwo; za środek do czego służyła policya rzemiosł i targowa; sprawując ją stronnie, znajdowano dużo sposobów uciskania rzemieślników. Nie brakło przy tém usiłowań zwalenia całego ciężaru podatków na biedniejszych; podatki zwiększano a dochody miejskie najczęściéj szły na korzyść rodów patrycyuszowskich. Już w XII wieku w miastach niemieckich wrzała walka rzemieślników z patrycyatem, osłabionym sporami wewnętrznemi o pierwszeństwo, o zaszczyty miejskie lub godności przynoszące dochód większy. Im gę-

ściéj szerzyły się swary u góry, tém ściśléj łączyli się między sobą w oddzielne związki słabsi od patrycyuszów rzemieślnicy. Chodziło im o wywalczenie dla siebie samych prawa policyi i sądu wśród danego rzemiosła, o zabezpieczenie sobie zysków, jakie ciągnęli ze swéj pracy wspieranéj małemi ich kapitałami. Stąd początek cechów rzemieślniczych, które organizują się na wzór gildyj mieszczańskich, w celu ochrony swych zarobków, zysków i swojéj niezależności.

W pierwszych szeregach do walki z patrycyatem stawali bogatsi od innych tkacze. Oni to stanowili w wieku XIII klasę pośrednią między patrycyatem a rzemiosłem właściwém. Zajścia bywały wcale poważne, Brentano cytuje kilka faktów z ich historyi. Tak w r. 1301 w Magdeburgu spalono 10 starszych z cechu tkaczy; w r. 1371 w Kolonii tkacze przegrali bitwę z patrycyuszami, skutki téj przegranéj były tragiczne; na rynku ścięto 33 tkaczy, przetrząsano miasto całe i 1800 ludzi wygnano z żonami i dziećmi, a dom cechowy zburzono. Jednakże ku końcowi wieku XIV wszędzie już uznawano prawo cechów rzemieślniczych do niezależnych sądów i rządów w wewnętrznych sprawach rzemiósł, chociaż niedopuszczano ich jeszcze do zarządu miast. Kupcy w swych gildyach trzymali się korzystnéj dla nich zasady handlu wolnego, rzemieślnicy zaś chwycili się polityki opieki nad zarobkiem, niedopuszczając na rynki swoje wyrobów z miast obcych i ograniczając liczbę warsztatów dla uniknienia miejscowego współzawodnictwa.

Jednocześnie niemal z osiągnięciem niezależności, cechy rzemieślnicze zaczynają się zamykać, majstrowie chcą dla siebie wyłącznie zatrzymać korzyści przemysłu, te usiłowania majstrów doprowadzają do formowania się nowego stanu robotników. Jeszcze w początkach wieku XIV czeladnik nie różnił się od majstra prawami, tylko stopniem umiejętności, czeladź nie stanowiła osobnéj klasy lecz była czasowym stanem przejścia; majster sam pracował z czeladzią, czeladnik jako przyszły majster społecznie niczém się nie wyróżniał od swego przewodnika, brał udział w naradach cechowych i glosował tam na równi z innymi. Ale wzrastający popyt na wyroby przemysłu, otwierał drogi szerszego rozwoju, przy którym do prowadzenia rzemiosła potrzebnym się stawał coraz większy kapitał i większa ilość rąk roboczych; odkrywające się zarobki ściągały robotników do miast, byli oni potrzebni majstrom, jednakże w każdym z nich można było obawiać się przyszłego spółzawodnika; wydawano więc przepisy porządkowe stanowiące, że czeladnik nie syn majstra, ani żonaty z jego córką lub wdową, nie może być majstrem, jeżeli nie wykaże majątku dostatecznego do założenia

warsztatu. Skutki tego okazują się w mnożącéj się liczbie robotników, których interesa zaczynają stawać w sprzeczności z interesem majstrów, jakoż w XIV jeszcze wieku znajdują się ślady sporów pomiędzy temi dwoma stanami; krawcy wiedeńscy np. nie pozwalają czeladnikowi opuszczać majstra na dwa tygodnie przed świętami, kowale londyńscy nie pozwalają uczyć robotników tajemnic rzemiosła. W połowie XIV wieku dżuma nawiedziła całą Europę, po dżumie robotnicy widząc swą liczbę znacznie zmniejszoną, wymagali wyższéj zapłaty za pracę, ale postanowienia cechowe nakazują im pracować za dawniejszą cenę. Zajścia z tego powodu musiały bywać wszędzie, bo ku końcowi XIV wieku zjawiają się już między robotnikami związki braterskie, które organizują się na wzór cechów.

W zakres cechów, oprócz interesów rzemiosła wchodziły rozliczne stosunki towarzysko-społeczne: jak wspólne nabożeństwa i uczty, opieka nad chorymi, co w owych czasach znaczyło pielęgnowanie ich, a także grzebanie zmarłych. Wzbogaceni majstrowie, niechętnie zapewne dopuszczali czeladników do równości towarzyskiéj, bo pierwsze związki pomiędzy robotnikami powstają właśnie dla tych celów towarzyskich i miłosiernych, a majstrowie chętnie ułatwiają im urządzanie się, zatwierdzają statuta, uważają stowarzyszenia podobne za instytucye dodatkowe, uzupełniające organizacyą cechów. Jednakże robotnicy, zbliżeni pomiędzy sobą, niebawem rozponawali odrębność swych interesów, bo zaraz słychać narzekania majstrów na narady czeladników około sposobów podwyższenia zarobków, i w ślad za tém cechy nakazują ażeby majstrowie przewodniczyli na zgromadzeniach czeladników. Pomimo to w rzemiosłach silniéj rozwiniętych, pomiędzy sukiennikami, cieślami, mularzami we Francyi, w Anglii i w Niemczech ku schyłkowi XIV wieku są ślady formalnych bezroboci, w skutek już których korporacye mieszczańskie biorą tę sprawę w swe ręce i stanowią, że w sprawach między majstrem a czeladnikiem rozstrzygać mają starsi cechowi, co znaczy, że majstrom przyznano prawo rządzenia robotnikami, pozostawiając im możność odwoływania się od decyzyi starszych cechu do burmistrzów i ławników.

Z czasem przewaga kapitału staje się coraz wyraźniejszą, coraz to nowe przepisy podnoszą opłatę za naukę, przedłużają jéj czas, uczeń wyzwolony na czeladnika musi coraz dłużéj wysługiwać się nim go dopuszczą do godności majstra, a przytém wymagają od niego kosztownych majstersztyków, zbytkownéj uczty, wykazania przodków w rzemiośle, narzeczonéj uczciwéj, która-by téż przodków mogła wykazać; synowie zaś majstrów i krewniacy znajdują wszelkie ułatwienia. W ciągu XV wieku przebija się wy-

rażna dążność do monopolizowania rzemiósł w rodzinach, a jak powiada Brentano: „sklep, piekarnia, browar, jatka rzeźnicza, warsztat kowalski lub szewcki miały podobieństwo do prebendy, ale dostawały się stosunkowo trudniéj a były korzystniejsze, bo mogły być dziedziczone“.

Majstrowie rozwielmożnieni zażywali w cechach samorządu zupełnego, pomiędzy sobą spierali się i prawowali, ale wynajdywali coraz to nowe sposoby utrzymania robotników w zależności. Czeladnicy broniąc się, wprowadzają zwyczaj wędrówek, utrzymują więc między sobą stosunki w całym kraju i ze składek zbierają dość znaczne nawet sumy pieniędzy, któremi wzajemnie się wspierają. Bezrobocia zaczynają się urządzać poważniéj, w Magdeburgu np. w r. 1600 majstrowie musieli przystać na podwyższenie zarobków.

Około tego czasu powstaje siła nowa zorganizowanego państwa nowożytnego, która władzę podzieloną pomiędzy wielu i ściśle miejscową bierze w swe ręce, ona też ogranicza autonomią cechów i podejmuje pracę ustawodawstwa dla nich. Władza państwowa szanowała interesa miast, widząc w nich źródło dochodów dla siebie, cechy zaś uważano wtedy za najskuteczniejszy środek podniesienia przemysłu a więc i bogactwa, nie zniesiono cechów, ale dotychczasowe ich ustawy porządkowano i nakazano ściśle ich spełnianie. Taki charakter miało w Anglii prawo Elżbiety z r. 1562 i we Francyi późniejsze edykta Colberta z lat 1663 i 1673, które stosunek majstrów do czeladzi regulowały stałemi przepisami, poruczając władzom sądowym lub administracyjnym kontrolę nad ich spełnieniem.

II.

Prawo Elżbiety z r. 1562 nazwane *prawem o uczniach*, nie przynosiło nic nowego, sankcyonowało tylko uporządkowane stare przepisy cechowe, w ciągu lat kilkuset stanowione zawsze w interesie majstrów. Główne prawa tego artykuły orzekały: że nikt kto nie odbył lat siedmiu nauki nie ma prawa zajmować się rzemiosłem, ani prowadzić przemysłowego przedsiębiorstwa w charakterze majstra czy robotnika; każdy majster-gospodarz obowiązany był przyjmować uczniów, kto miał ich trzech musiał trzymać przy nich jednego czeladnika, a na każdego ucznia wyżéj trzech znowu osobnego czeladnika; umowa z czeladnikiem musiała być roczna, z kwartalnym naprzód wypowiedzeniem jéj z każdéj strony, dzień roboczy latem wynosił godzin 12, zimą zaś od wschodu do zachodu słońca; opłatę robotników oznaczał corocznie sędzia pokoju lub magistrat, te same władze miały opiekować się uczniami i rozstrzygać spory pomiędzy

nimi a majstrem. Pominąwszy dalsze przepisy szczegółowe, widzimy już z tego, że prawo wykluczało od roboty w rzemiosłach każdego kto nie odbył siedmioletniéj nauki, a więc zmniejszało liczbę rzemieślników i zabezpieczało im zyski pewne, ale obok tego ustalało pozycyą czeladników wyuczonych, którzy przy małéj ilości uczniów mieli zapewnione zarobki stałe, a długi termin umowy dawał im rękojmię dochodu trwałego, tém bardziéj, że magistraty i sędziowie pokoju mieli wyznaczać opłatę, wystarczającą na utrzymanie. Majstrowie więc zarówno jak czeladnicy byli z tego prawa zadowolnieni, ale samo rozwijanie się rzemiósł niosło z sobą opozycyą przeciwko tym przepisom. Większe zyski rzemieślników skłaniały ich do powiększenia warsztatów, a zatém do ściągania do siebie robotników. Kto posiadał kapitał większy i chciał go użyć korzystnie w przemyśle unikał nauki siedmioletniéj, bo jemu chodziło o zysk z majątku a nie z umiejętności, a jeżeli sam przebył naukę nie chciał najmować czeladników wyuczonych, którym musiał płacić drożéj, owszem starał się nabierać jaknajwięcéj uczniów, bo z tych w lat parę miał już robotników dostatecznie biegłych. Umowa roczna z robotnikiem mogła być dogodną dla majstra sprzedającego swój towar na miejscu w pewnym ograniczonym promieniu, bo w takim razie można było przewidzieć potrzebowanie i urządzić się odpowiednio, ale skoro wyroby angielskie zaczęto wywozić zagranicę, trzeba było, w razie zmniejszenia się popytu, wyrabiać mniéj, a zatém robotników uwalniać w każdym czasie, trzeba też było przy zwiększonym popycie mieć środek zciągania robotników do swych warsztatów, podwyższając im zarobki, a tego niedopuszczała jednostajna dla całego rzemiosła taksa robocza, utrudniała téż ona w wysokim stopniu zniżanie zarobków, czego próbowali przedsiębiorcy, żeby ułatwić sobie spółzawodnictwo obniżeniem ceny wyrobu. Ulepszenia techniczne w narzędziach, za które trzeba było płacić drożéj, prowadziły do wymagania dłuższego dnia roboczego, żeby drogie narzędzie prędzéj się mogło wypłacić. Wszystkie te interesa ludzi bogatszych stawały w sprzeczności z prawem Elżbiety i już w XVII wieku kapitaliści domagają się zniesienia tego prawa i nie mieszania się urzędów do umowy o robotę. Majstrowie cechowi, którym fabryki na większą skalę urządzane groziły ruiną, stają w obronie praw cechowych i wtedy już toczyła się walka pomiędzy małym a dużym kapitałem. Na korzyść tego ostatniego, oprócz doskonalenia przyrządów dającego możność wyrabiania tańszego, obraca się jeszcze ścisłe, a raczéj ciasne, czysto angielskie pojęcie o legalności, powodując się nim władze sądowe i prawodawcze stosowały prawo Elżbiety o uczniach jedynie do rzemiósł, które

istniały przed r. 1592 i do miejscowości w których one istniały. Kapitaliści wynoszą się z miast starych i w miejscach gdzie prawo nie obowiązuje urządzają warsztaty na wielką skalę, Birmingham i Manczester temu obowiązane swój wzrost prędki.

Wolne umowy o cenę i o warunki pracy były korzystne nie tylko dla kapitalistów, ale i dla tych z pomiędzy robotników którym wyższe uzdolnienie lub zręczność dawały możność wymagania zapłaty wyższéj, w tym kierunku swoboda od przepisów działała pomyślnie, była bodźcem do coraz nowych usiłowań i ludzi wyróżniających się z pośród ogółu prowadziła z czasem na stanowiska wyższe majstrów lub nawet przedsiębiorców; ale masie robotników przeciętnych nie zdawała się być rzeczą pożądaną, wprowadziła chwiejność zarobków a nieraz i brak roboty. I oni próbowali się bronić, najprzód na drodze legalnéj domagali się ustanowienia taksy na pracę i utrzymania mocy obowiązującéj dla prawa o uczniach, ale sędziowie i parlamenta odrzucają ich skargi i petycye; widząc bezskuteczność zabiegów prawnych, próbują własnéj siły, rzucają się do kroków gwałtowniejszych podnoszą bunty, palą warsztaty, i starają się urządzać bezrobocia.

Straszne to narzędzie wojny używane już dawniéj przez czeladników, teraz przy ogromnie zwiększonéj liczbie robotników, nie związanych pomiędzy sobą żadnemi węzłami wspólności oprócz interesu w podwyższeniu zarobków i nienawiści do przedsiębiorców, przy nieumiejętném kierownictwie, działało w sposób niszczący na obie strony; pomimo to jednak ci którzy ze swych zarobków wyżyć nie mogli chwytali się go coraz częściéj. Zmowy na bezrobocia były miejscowe, działały bardzo krótko, porzucano robotę w jednéj fabryce, szukano pomocy u robotników innych fabryk, ci zbierali pomiędzy sobą składki, ale przy małych środkach długo wspierać nie mogli towarzyszy, którzy musieli zdawać się na łaskę przedsiębiorców i przyjmować nieraz warunki gorsze od tych, przeciwko którym protestowali. Nauczeni ciężkiém doświadczeniem przemyśliwiali nad urządzeniem stowarzyszeń trwałych, gdzie składki pobierane stale mogłyby dostarczyć środków na procesa legalne i podtrzymanie bezrobocia. Szło to jednakże bardzo ciężko, kapitaliści ciągle brali górę i nieprzestawali zaskarżać robotników o zamachy na porządek społeczny, na pokój domowy. W końcu XVIII wieku walka zaogniła się jeszcze silniéj, bo przedsiębiorcy stawali już do niéj z bronią stokroć silniejszą niż dotąd: usługę tę wyświadczyły im wynalazki Arkwrighta i Watta.

W r. 1767 Ryszard Arkwright zbudował prządkę mechaniczną, zaraz potém w północnych hrabstwach Anglii, nad brzegami rzek

pobudowano całe szeregi ogromnych budynków, w których pomieszczono machiny i do których zewsząd ściągano, już nie samych tylko robotników, ale dzieci i kobiety, do lekkiéj roboty pilnowania mechanizmu. Parafie z domów ubogich, dostarczały dzieci, a dostarczały ich darmo, nawet płaciły za to że je brano; fabrykanci obowiązywali się utrzymywać je lat siedm, przypisywali ich do fabryki jako część inwentarza, i zdarzało się, że były one razem z fabrykami sprzedawane przez licytacyą. Machiny pracowały dzień i noc, urządzano dwie zmiany dzieci, które kolejno po 6 godzin stały przy machinach, tak że najkrótsza ich robota trwała 12 godzin na dobę, a dochodziła do 15 i 17 godzin. Naturalnie, że te nowe urządzenia pozbawiły zarobku całe masy robotników, którzy znowu, doprowadzeni do rozpaczy, nieprzebierali w środkach nasycenia swéj nienawiści ku fabrykantom a zarazem jak sądzili dopomożenia sobie w znalezieniu roboty; jawne gwałty i niszczenie machin stawały się coraz częstsze: ludzie bogaci dopatrywali przyczyny złego w zmowach robotników i w r. 1800 przeprowadzili w parlamencie prawo zabraniające robotnikom wszelkiéj zmowy czy stowarzyszenia w celach podwyższenia zarobków.

Z drugiéj jednak strony, w obec coraz większéj nędzy szerzącéj się wśród klas roboczych, opinja publiczna zaczęła się niepokoić. W ostatnich latach w. XVIII w Lancashire panowały uporczywie gorączki zaraźliwe, zwróciło to uwagę całego kraju, zarządzono śledztwo urzędowe i ku zgrozie publiczności wykryto źródło i gniazdo zarazy w tych fabrykach, gdzie całe kupy dzieci na wpół głodnych i niewyspanych pilnowały nitek rwących się na warsztatach. Wtedy okrzyk oburzenia powstał w całéj Anglii, lat parę nie ustawały dyskusye nad szkodliwością fabryk i niecnotą fabrykantów, którzy krzywdzą biedne dzieci i urządzają rozsadniki zarazy grasującéj potém swobodnie—nawet pomiędzy ludźmi zamożnymi. Pod wpływem tego usposobienia w r. 1802 na wniosek Roberta Peela parlament postanowił, że sędziowie pokoju mają rozciągnąć opiekę nad uczniami z parafii do fabryk oddanemi. Akt parlamentu uspokoił opinią, ale władza sędziów pokoju była bodaj zbyt słabym czynnikiem w walce z interesem fabrykantów, bo na ogół rzeczy wcale się nie zmieniły.

Tymczasem Watt zbudował machinę parową, która fabrykantom pozwoliła nie szukać już rzek i strumieni, budowali więc nowe fabryki w miastach, a tu nie potrzebowali już zciągać dzieci z domów ubogich po parafiach, ale ojcowie sami wynajmowali je chętnie i posyłali do fabryk swe żony, szczęśliwi, że sami niemając ro-

boty, mogli za pracę dzieci i żon dostać chociażby kawałek suchego chleba.

Machina parowa otwierała kapitalistom widoki zysków olbrzymich; chcąc mieć przed sobą drogę zupełnie swobodną, zaczęli się powoływać na teorye nowéj nauki, która, chociaż z innych powodów, dowodziła konieczności oswobodzenia pracy. Adam Smith wydał swe dzieło w r. 1776, domagał się w nim swobody pracy w interesie robotników, znajdując, że najwyższą dla nich krzywdą był obowiązek pracowania prawie darmo w ciągu lat siedmiu w charakterze uczniów, kiedy nauka co najwyżéj paru lat czasu wymagała; że krępowanie czeladników rozlicznemi przepisami co do wykonywania roboty i narzucanie im urzędowéj ceny za pracę pozbawia ich samoistności i zniechęca do pracy starannéj, któraby mogła być drożéj opłacaną. Kapitaliści angielscy, którym prawo Elżbiety, jakkolwiek od dawna już nie wykonywane, zawsze jednak bruzdziło w ich kombinacyach przemysłowych, pochwycili argumenta Smitha z najwyższym zapałem, i już pod hasłem dobra ogólnego a nie swego interesu domagali się usunięcia wszelkich ścieśnień w rzemiosłach i przemyśle; odnieśli téż zwycięstwo, bo w r. 1814 parlament przekonany o potrzebie reformy, a nie wiedząc jak do niéj przystąpić, zniósł poprostu prawo Elżbiety z r. 1592 i ogłosił zupełną swobodę pracy, nie mięszanie się władzy rządowéj w umowy pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem.

Kiedy w roku wydania dzieła Smitha, z porady Turgot'a edykt królewski znosił cechy we Francyi, lud paryski powitał nowe prawo okrzykami radości, uprzywilejowani zaś oburzyli się na taką zuchwałość i za ich wpływem w krótkim czasie wrócono do dawnego porządku. Robotnicy angielscy przeciwnie powitali najwyższém niezadowoleniem zniesienie prawa cechowego. W Paryżu w r. 1776 nie było jeszcze wielkich fabryk, machina parowa jeszcze nie była wynalezioną, prządkę mechaniczną Arkwrihgta w Anglii jeszcze tylko próbowano stosować do urządzeń fabrycznych na większą skalę, robotnicy więc paryscy, pracujący pod ferułą cechowych przepisów, mieli powód radowania się z zapowiedzianéj swobody, która im lepszą przyszłość obiecywała. W r. 1814 robotnicy angielscy już byli wyprobowali stosunki, wywiązujące się w fabrykach urządzanych przez wielkich kapitalistów, a czując się w obec nich słabymi, pragnęli jakiéjkolwiekbądź opieki i ze smutkiem przyjęli nowe prawo, które ich pozbawiało możności legalnego odwoływania się do władzy.

Prawo Elżbiety z dawien dawna nie było wykonywane w ogromnéj większości osad fabrycznych, a więc i zniesienie jego nie pociągnęło za sobą skutków praktycznych ogólniejszego znaczenia; ale

nowy akt parlamentu wywierał wpływ czysto idealny, z czasem oddziałał on na pojęcia o stosunkach społecznych. Praca ludzka w obliczu prawa miała być uważana za towar, do warunków jéj kupna i sprzedaży ani władza ani prawo mięszać się nie mogły, ale zarazem robotnik został uznany, nie jak dawniéj za sługę, lecz za równego pracodawcy, z którym wchodził w umowę. Oba te pojęcia prowadziły do coraz wyraźniejszego przedziału pomiędzy interesem robotnika i pracodawcy, do coraz jaśniejszego przez robotników rozumienia solidarności swoich interesów i przez mnóstwo zajść, ścierań się, strat materyalnych, cierpień fizycznych i moralnych, po latach sześćdziesięciu doprowadziły do wyraźnego zgrupowania się tych dwóch sił społecznych, do uznania przez nie nawzajem siły i znaczenia przeciwnika i postawiły ich na stanowisku realniejszéj równości, na którém mogą dochodzić do kompromisu i zgody.

Kiedy w r. 1800 wzbroniono robotnikom koalicyi i wszelkich zmów w celach podwyższenia zarobków, nie powstrzymało to ich bynajmniéj od usiłowań w tym kierunku, a jak wszelkie prawo represyjne wywołało tylko ten skutek, że zaczęto robić skrycie co dotychczas robiono otwarcie. Pod firmą wzajemnéj pomocy organizowały się daléj towarzystwa zbierające składki, w tajonym już celu wspierania bezrobocia, tylko, dążąc do rzeczy odtąd prawu przeciwnéj, chwytano się dla własnego bezpieczeństwa środków gwałtowniejszych, któreby teroryzując zarówno swoich jak przeciwników, utrzymywały karność w szeregach robotników, a postrachem zniewalały fabrykantów do ustępstw. Zmuszanie do składek, rozkazy porzucania roboty, popierane były coraz gęściéj biciem a nawet morderstwem, podpalania fabryk i niszczenie machin stawały się rzeczą zwyczajną.

Około roku 1815 Robert Owen, bogaty fabrykant, rozpoczął agitacyą za wprowadzeniem dziesięciu-godzinnego dnia roboczego, popierając ją przykładem wzorowego urządzenia własnéj fabryki w New-Lannark, i całym systemem ekonomiczno-filozoficznym dążącym do własności wspólnéj, a opartym na moralném kształceniu człowieka. Opinja publiczna znowu zaczęła się przechylać na stronę robotników, przeprowadzane śledztwa parlamentarne wykrywały fakta czystéj niesprawiedliwości w sądach, do roku 1823 niebyło ani jednego wypadku wymierzenia kary na fabrykanta za należenie do koalicyi przeciwko podwyższeniu zarobków, kiedy robotników nie tylko skazywano na duże kary, ale oskarżonych więziono albo na samą rękojmię stawienia się przed sądem wymagano od nich kaucyj dochodzących do 200 f. str. Statyści angielscy zaczęli rozpoznawać, że prawo zabraniające koalicyi prędzéj złe aniżeli dobre wywołuje

skutki i po dyskusyi ciągnącéj się dwa lata w r. 1824 prawo to zniesiono, ustanawiając jednak w ślad zatém osobne kary za zbrodnie mające związek z koalicyami, bo nie można się było spodziewać, ażeby zakorzenione już w obyczajach gwałty prędko same ustały.

Od roku 1824 rozpoczyna się tolerowanie związków robotniczych, które naturalnie mnoży je i daje im możność coraz lepszego organizowania się. Pomiędzy pracą a kapitałem zawiązuje się coraz gorętsza walka, komplikowana przez długie lata agitacyą polityczną; dopiero w r. 1871 miała ona doprowadzić do przyznania związkom robotniczym charakteru korporacyj prawnych i przez to poddać je warunkom prawa pospolitego.

W pierwszéj ćwierci naszego wieku przemysł angielski, jakkolwiek rozwijający się żywo przy pomocy machiny parowéj, przechodził jednak ciężkie koleje, które oczywiście oddziaływały o wiele zgubniéj na robotników niż na kapitalistów. Ciągła wojna odrywała ludzi od roboty, a po każdéj skończonéj kampanii rzucała ich znowu, odzwyczajonych od pracy, na rynek, na którym roboty prawie nie można było znaleść, gdyż olbrzymie wysilenia finansowe dla podtrzymania wojny pochłaniały kapitały, systemat zaś kontynentalny zamykał odbyt wyrobom angielskim a jednocześnie podnosił do najwyższego stopnia cenę chleba i wszystkich niezbędnych do życia produktów. Kiedy po uspokojeniu Europy zaczęto spodziewać się lepszych czasów, stronnictwo liberalne agitujące na korzyść reformy wyborczéj, obiecywało, dla zjednania sobie poparcia, pomyślność ogólną w razie przyjścia do skutku reformy, ale nadeszła ona w r. 1832 i dopuściła do wotowania tylko część zamożnego mieszczaństwa, a przywódcy Whigów ogromną większością ogłosili w parlamencie że na tém już koniec, że daléj posuwać reform nie można. Zawiedzeni w nadziejach radykaliści rozpoczęli nową agitacyą na korzyść głosowania powszechnego.

Z drugiéj strony, nauka Owena o wspólności interesów fabrykanta i wyrobnika, o wspólnéj własności zarówno narzędzi do pracy jak i wyrobu, o wpływach moralnych, o skuteczności wszelkiego działania wspólnemi siłami, propagowana od lat blisko dwudziestu, zjednała już sobie wielu zwolenników, którym wprawdzie nie udawały się próby zakładanych przez nich kolonij rolniczo-przemysłowych opartych na własności wspólnéj, którzy jednak uczyli ludzi ubogich łączenia swych sił w stowarzyszenia na mniéj radykalnych zasadach. Zaczęły się zawiązywać towarzystwa spożywcze, kredytowe, wytwórcze nawet, a chociaż to wszystko nie oddziaływało na punkt najważniejszy, na węzeł życiowy kwestyi robotniczéj, na wysokość zarobków, jednakże kierowało usiłowania na drogi nowe,

wskazywało, że i najsłabsi mnożą swe siły używając ich zgodnie w celach dla wszyskich użytecznych.

Obok tego w r. 1834 parlament skasował istniejące od lat trzechset blisko przytułki parafialne dla ubogich i nakazał urządzenie domów roboczych, w których nędzarze znajdowali przytułek pod warunkiem pracy przymusowéj. Przy naprężonych stosunkach ekonomicznych, częstych a zawsze prawie nieudałych bezrobociach, przy wydalaniu robotników z powodu zaprowadzania coraz to nowych machin, wielka ich ilość znajdowała się w ciężkiéj alternatywie wyboru pomiędzy nędzą i niemal śmiercią głodową a wszystkiemi okropnościami pracy przymusowéj. Rzucali się więc całemi masami do ruchu i agitacyi na korzyść reformy, ale dowodzili jéj potrzeby i opierali konieczność: nie na kwestyi metafizycznéj o tem czy wola ludzka jest wolną lub nie, nie na doktrynerskich argumentach o prawie ludu do wybierania swych prawodawców, ale na twierdzeniu arcy popularném: że każdy człowiek ma prawo być sytym i odzianym. Wszystkie te trzy prądy zlały się w jeden olbrzymi ruch chartystów, który lat kilkanaście niepokoił całą Anglią.

W roku 1837 spisana w kółkach robotników londyńskich wielka *charta* ludu, domagała się praw w sześciu punktach krótko streszczonych: głosowanie powszechne i tajne, równe okręgi wyborcze, obieralność każdego pełnoletniego mężczyzny, parlamenta coroczne, diety deputowanych. Lat dwanaście była ona ewangelią robotników, bo przywódcy ruchu tłómaczyli im, tak samo jak w lat trzydzieści potém Lassale nad Renem, że reforma odda im w ręce rządy kraju, że charta znaczy: mieszkanie ciepłe, życie wygodne, jedzenie obfite i krótki dzień roboczy.

Agitacya chartystów przez lat kilkanaście przechodziła różne koleje, nie brakło wśród niéj scen krwawych, utarczek z wojskiem, zbrodni tajnych, zarówno jak i propagandy legalnéj. Zakończyła się ona w r. 1848 wielkim fiasko zapowiedzianéj sceny niesienia do parlamentu petycyi z kilku miljonami podpisów, która to scena niepowiodła się kompletnie, i zachwiała ostatecznie wiarę klas roboczych w agitatorów politycznych.

III.

Do uspokojenia się umysłów, do wygasania rewolucyjnego ducha chartyzmu, przyczyniło się bodaj najskuteczniéj rozwijanie się silniejsze i działanie z każdym rokiem skuteczniejsze stowarzyszeń i związków pomiędzy robotnikami, które około tego czasu przybie-

rają formy swe dzisiejsze i coraz ściślejszym węzłem solidarności jednoczą liczne grupy ludzi, znajdujących w téj organizacyi nie tylko opiekę i pomoc w potrzebie, ale kierownictwo i wskazówki postępowania we wszystkich ważniejszych chwilach życia.

Udzielone w r. 1824 robotnikom pozwolenie stowarzyszania się, oddziałało korzystnie szczególniéj na więcéj rozwiniętych i oświeconych, którzy przewidywali możność skupienia sił rozproszonych pod opieką organizacyi legalnéj. Naturalnie pierwszym celem związków było wytargowanie czy wywalczenie wyższéj opłaty za dzień pracy, środkiem najprościéj do tego wiodącym zdawało się wypowiedzenie wojny przedsiębiorcy tj. bezrobocie. Jednakże stowarzyszenia zawiązywane w oddzielnych miejscowościach nie mogły być bardzo liczne, składki zbierane okolicznościowo na podtrzymanie bezrobocia dawały środków nie wiele, które wyczerpywały się bardzo prędko i fabrykant, wyczekując czas jakiś, pewny był zawsze zwycięstwa. W każdém stowarzyszeniu robotników decydowano o interesach na zebraniu wszystkich stowarzyszonych, chodziło tu zwykle o wspólne wszystkim warunki roboty, o wysokość składek, o użycie pieniędzy zebranych, w każdéj miejscowości rządzono się więc według własnego pojęcia o warunkach w jakich rzemiosło mogło prosperować. Pierwsze kroki na tym polu samopomocy zbiorowéj okazały się bardzo trudne i mało skuteczne. Nie zrażało to jednak charakterów energiczniejszych i umysłów bystrzejszych, obdarzeni niemi robotnicy nie przestawali przemyśliwać i pracować nad ulepszeniem i wzmocnieniem stowarzyszeń, a chociaż przypatrywali się agitacyi rewolucyjnéj chartystów ze współczuciem sympatycznem, nie zaniechali swéj pracy w słusznem przewidywaniu, że burza przeminie a skutki działania spokojnego pozostaną i okażą się zapewne trwalszemi.

Około r. 1830 robiono już próby urządzenia federacyi pomiędzy stowarzyszeniami jednego rzemiosła w rozmaitych okolicach kraju, ale te nie miały powodzenia: rozchodziło się najczęściéj o to, że każda grupa chciała być samodzielną, sądziła że rozumie lepiéj interes ogólny, a skoro nikt niechciał ustąpić nie mogło być działania wspólnego. W kilka lat potém sprobowano innego sposobu. W miejscach większego skupienia fabryk jakiéj gałęzi przemysłu, stowarzeszenie robotników bywało liczniejsze a więc bogatsze i silniejsze, skoro się zdarzało że z takich miejscowości robotnik wydalał się dla szukania roboty gdzieindziéj, polecano mu aby przybywając na nowe siedlisko, starał się pomiędzy tamecznemi robotnikami zawiązać filją czy gałęź stowarzyszenia, do którego w miejscu rodzinnem należéć nieprzestawał. Nowa korporacya przez to samo już była zsoli-

daryzowana ze starszą, wchodziła z nią w stosunek stały, mogła korzystać zjéj doświadczenia, szukać u niéj rady i pomocy, a w razie potrzeby i możności sama mogła okazać pomoc. Odnalazłszy tę drogę łączenia się naturalnego, szybko się po niéj posuwano i po latach kilkunastu około r. 1850 wszystkie niemal rzemiosła w Anglii miały już liczne stowarzyszenia miejscowe, połączone pomiędzy sobą stosunkami wzajemności i kierownictwa wspólnego, co nadawało im charakter prawdziwych związków silnie zorganizowanych, na ten czas właśnie przypada upadek ruchu chartystów i usuwanie się robotników od wszelkiéj agitacyi politycznéj.

Związkiem takim kierowało koło delegatów, wybieranych w każdéj miejscowości, zjeżdżających się co lat dwa i stanowiących o interesach ogólnych; załatwianie interesów bieżących poruczano jednemu ze związków miejscowych, zwykle najstarszemu co do czasu powstania. Ale ten rodzaj zarządu okazał się zamało sprężystym a zatém niedostatecznym, więc po kilku latach doświadczenia nadano zarządowi formę jego dzisiejszą. Delegaci mianują komitet wykonawczy i sekretarza generalnego, którzy w pewnych odstępach czasu składają im sprawozdanie ze swych czynności; stowarzyszenia miejscowego kierownikiem jest sekretarz miejscowy, utrzymujący stałą korespondencyą z sekretarzem generalnym. Naczelne stanowisko w związku zajmuje więc sekretarz generalny, a że tu chodzi o wybór jednéj osoby pomiędzy wszystkimi robotnikami danego rzemiosła w całym kraju, łatwo więc osadzać te miejsca ludźmi zdolnymi i oświeconymi, którzy zostając w stałym porozumieniu ze wszystkiemi w kraju związkami, mają możność zapatrywać się ze stanowiska wyższego na stosunki każdéj miejscowości, rozumiéć je lepiéj i rządzić się poglądami korzyści ogólnéj robotników całego swego przemysłu.

Następnie zaprowadzono jedność kasy dla całéj korporacyi; składki, w początkach dobrowolne i czasowe, przy lepszém urządzeniu zaczęto oznaczać i pobierać stale; zwiększone dochody pozwoliły dawać pomoce w wypadkach choroby lub kalectwa i w miarę potrzeby wyświadczać inne usługi; wszelkie wydatki dokonane gdziekolwiekbądź szły na rachunek ogólny, co pół roku obliczano się i pozostałe fundusze dzielono pomiędzy wszystkie stowarzyszenia miejscowe w stosunku do liczby uczestników, przyznając im własność odpowiedniéj sumy. Jednomyślne działanie związków zwiększyło w znacznym stopniu regularność zarobków, co znowu pozwoliło stosować wysokość składek do potrzeby wykrytéj doświadczeniem. Jeżeli składki stałe nie wystarczają na czasowo zwiększające się wydatki zwyczajne, a także przy wypadkach nadzwyczaj-

nych, członkowie obowiązani są dawać składkę do wysokości potrzebnéj, tak żeby wszelkie szczerby w kasie mogły być zapełnione.

Wzrost liczebny i zwiększenie funduszów pozwoliły związkom rozszerzyć swe działanie; w początkach występowały one jako zszeregowanie sił roboczych w celach wojny z kapitałem, z czasem objęły kierunek wszystkich spraw przemysłu o ile one tyczą się robotników, dzisiaj są one w Anglii korporacyami pełnemi siły żywotnéj i stanowią dopełnienie swobód obywatela angielskiego, bo każdemu robotnikowi angielskiemu dają w jego słusznych żądaniach poparcie siły zorganizowanéj tysięcy ludzi dążących świadomie ku celowi jasno wytkniętemu. Naturalnie celem ich ostatecznym, jeżeli nie jedynym, jest podwyższenie zarobku, opłaty za pracę w fabrykach pobieranéj—*żołdu pracy* jak to na zachodzie Europy nazywają. Jednakże obrabianie tego interesu na wielką skalę, doprowadziło związki robotnicze do przeświadczenia, że bezrobocie nie jest najskuteczniéj ku temu wiodącym środkiem; środek to ostatni, używany dopiero wtedy kiedy żadne inne nie pomagają; ale jako zbyt kosztowny, prowadzący za sobą straty ogromne i ruinę wielu osób, a tém samém narażający siłę związku i jego znaczenie, służy on więcéj za postrach, i dzisiaj uciekają się doń tylko po długim namyśle, i po wyczerpaniu wszystkich innych. Tutaj tak samo jak w stosunkach międzynarodowych, dyplomacya oparta na sile realnéj i dokładnéj znajomości położenia strony przeciwnéj, często zapobiega wojnie niszczącéj.

W znaczeniu naukowo ekonomiczném działanie związków robotniczych przedstawia się jako zrównoważenie, o ile to być może przy danych warunkach rynku, szans we spółzawodnictwie pomiędzy pracodawcami a robotnikami. Prawo nowoczesne uznaje pracę pełnoletniego mężczyzny za towar, o kupno i sprzedaż którego strony swobodnie między sobą się umawiają, cenę tego towaru na każdym rynku oznaczać ma stosunek podaży do popytu i konkurencya zarówno wolna pomiędzy ofiarującymi jak i poszukującymi towaru. Owóż wiadomo, że w tym targu o cenę roboty kapitalista fabrykant ma za sobą o wiele więcéj szans aniżeli robotnik pojedynczy; robotnik potrzebujący zarobić na życie nie może zmniejszyć podaży swego towaru, kiedy kapitalista, w dwóch wypadkach na trzy przynajmniéj, może zmniejszać popyt dowolnie i przez to narzucać robotnikowi swoje warunki. Owóż działanie związków robotniczych zależy na tém, że, do pewnego stopnia, dają one robotnikowi możność usuwania swego towaru z rynku w razie zbytniéj jego obfitości; wspierając go czasowo lub przenosząc w inną miejscowość, gdzie nie ma przepełnienia.

Praktyczny zmysł anglików naprowadził ich tu na drogę na której rzeczy te dokonywać się mogą bez silnych starć pomiędzy stronami. Związki robocze nie mięszają się zgoła do umowy pomiędzy robotnikiem a pracodawcą, ale nie przyjmują do związku człowieka, który nie zarabia tego co w danéj okolicy stanowi cenę średnią panującą w tym fachu. Więc od żądającego przystąpić do związku wymagają dowodu, że zarabia tyleż co wszyscy dobrzy robotnicy i że odbył naukę rzemiosła, a oprócz tego musi przedstawić poręczenie dwóch członków związku, że jest robotnikiem dobrym. Robotnicy nieumiejętni, niedbali albo leniwi krępują w robocie wprawnych i starannych, a mniejsze ich zarobki służą często pracodawcom za pretekst do prób zniżania zarobków wogóle. Jeżeli więc nowoprzyjęty członek nie może zarabiać stale sumy oznaczonéj, bywa usuwany; jeżeli zaś sądzi, że robota jego warta więcéj aniżeli ogólna cena normalna, a związek to uznaje, pracodawca zaś niechce mu płacić ceny wyższéj, opuszcza wtedy fabrykę i otrzymuje od związku pomoc na czas póki nie znajdzie roboty, to się nazywa podarunkiem; jeżeli związek nie uzna że robota jego warta więcéj a pomimo to fabrykę opuszcza, podarku nie dostaje. Jeżeli cała gałęź związku uznaje, że stan rzemiosła w jéj okolicy usprawiedliwia żądanie dla wszystkich zarobków wyższych, albo nie zgadzanie się na zniżenie zarobków postanowione przez fabrykanta, obowiązana w takim razie zawiadomić komitet wykonawczy; skoro komitet uzna słuszność takiego żądania do pracodawcy wysyłają deputacyą i rozpoczynają się konferencye, które obecnie najczęściéj doprowadzają do układów i kompromisu; w razie spełznienia na niczém konferencyi i niedojścia układów, robotnicy zawieszają roboty i wtedy dostają wsparcia od związku. Ponieważ związki są silne liczebnie, posiadają znaczne fundusze, a karność w nich wielka, więc pracodawcy nauczyli się nie lekceważyć ich postanowień, wysłuchują zawsze ich propozycyi, dyskutują je a często ustępują ich żądaniom. Związki mają w ten sposób możność korzystania z okoliczności przyjaznych i wyzyskiwania na korzyść robotników pomyślniejszego położenia rynku.

W każdéj gałęzi związku sekretarz miejscowy prowadzi osobną księgę gdzie wpisuje każdego z członków nie mającego roboty i każde niezajęte w fabrykach miejsce, na miejsce opróżnione posyła robotnika. Przy końcu miesiąca przesyła sekretarzowi generalnemu spis ludzi niezajętych i miejsc opróżnionych z opisaniem stanu rzemiosła w swéj okolicy; sekretarz generalny wiadomości te konfrontuje i robotników niezajętych wysyła na koszt związku w miejsca gdzie ich potrzebują; w ten sposób dokonywa się przystosowanie po-

daży do popytu. Ażeby zapobiedz zbytniéj podaży rąk w przyszłości, robotnicy do związków należący, nie biorą roboty w fabrykach utrzymujących uczniów więcéj aniżeli tego dozwala oznaczony przez związki stosunek uczniów do robotników wykwalifikowanych; fabrykanci poszukujący dobrych robotników i dbający o nich sami już pilnują się tego stosunku. Robotnik należący do związku, opłacając składkę, wiedząc na co używają się składane pieniądze, czując że w razie jeżeliby nie mógł sobie wystarczyć stanie się ciężarem dla towarzyszy, już przez to samo bywa oględniejszy, życie prowadzi porządniéj, a nawet nie żeni się bez namysłu i zastanowienia.

Jeżeli który związek, usiłowaniami swemi i umiejętnym wyzyskaniem okoliczności, potrafił zarobek doprowadzić do normy odpowiadającéj przeciętnym potrzebom robotników, mniej już myśli o dalszym jego podwyższaniu, ale pilniéj zwraca uwagę na inne warunki pracy; domaga się skrócenia godzin roboty, lepszego pomieszczenia dla warsztatów, lepszego zabezpieczenia zdrowia i życia robotników, dogodniejszych terminów wypłaty, zmniejszenia liczby uczniów, lepszego obchodzenia się przełożonych, większego poszanowania osobistości robotników; dawniéj pracodawca stanowił o tém wszystkiém wedle swego własnego rozumienia, obecnie robotnicy wspólnemi silami wywalczają sobie w tych stosunkach stanowisko lepsze i korzystniejsze.

Polityka związków robotniczych, którą tu wskazaliśmy w ogólnych zarysach, działa świadomie ku największéj korzyści ludzi o średniéj sile fizycznéj i moralnéj, o przeciętnym stopniu wykształcenia umysłowego i fachowego, jacy wszędzie są najliczniejsi i stanowią właściwie masę. Po nad nią znajdzie się zawsze pewna liczba ludzi zdolniejszych, zręczniejszych, którym czy to silniejsze poczucie wartości własnéj, czy temperament energiczniejszy nie pozwalają stosować się do wymagań masy i poddawać się warunkom dogodnym dla ogółu; związki nie dbają o takich ludzi wyjątkowo silnych, dla tego też wystąpienie ze związku nie wzbrania się nikomu kto ma nadzieję że sam sobie potrafi dać radę; wielu przełożonych w fabrykach i majstrów prowadzących warsztaty na własną rękę rozpoczynało zawód roboczy w związkach do których dzisiaj już nie należą. Z drugiéj strony robotnicy źle pracujący, leniwi, słabi lub wyraźnie nieuczciwi bywają ze związków usuwani, odpadają oni do najniższéj kategoryi niezdatnych, niezdolnych wlokących żywot w nędzy albo i zbrodni. Odbywa się tu pono ten sam proces, który widzieliśmy przy powstawaniu gildyi, cechów i stowarzyszeń czeladników; ci którzy się czują silniejszymi oddzielają swój interes od

interesu słabszych, pozostawiając ich własnemu losowi i samopomocy osobistéj. Związki tymczasem usiłują, a jak dzisiaj w Anglii najczęściéj dokazują tego, że ogół robotników przeciętnie uzdolnionych może z własnéj pracy żyć znośnie, że ma zabezpieczony, o ile warunki wielkiego przemysłu na to pozwalają, byt odpowiedni swoim potrzebom i wymaganiom swéj sfery; w razach zaś nieszczęśliwych wypadków choroby, kalectwa, a nawet jak w wielu związkach na starość, znajduje ratunek i wsparcie wśród swych towarzyszy, z funduszów, do złożenia których sam się przyczynił; więc działanie związków wypada na korzyść całego narodu nawet finansowo, bo oszczędza znaczne sumy podatkowi na ubogich.

Dawniéj na każdy z celów tu wskazanych płacono osobne składki i formowano z nich kasy oddzielne, ale od lat blisko trzydziestu weszło w zwyczaj, że kasy przy związkach bywają jedne i składka wnosi się tylko jedna. Zjednoczenie kasy wpłynęło stanowczo na uspokojenie robotników; przy braku oddzielnego funduszu na popieranie bezrobocia ludzie okazują się mniéj do niego pochopni; wiedzą, że ono wyczerpuje zasoby, zmniejsza możność dostania wsparcia przy zwykłych wypadkach nieszczęśliwych, nakoniec pieniądze wyszafowane na bezrobocie trzeba uzupełnić w przyszłości nowemi składkami. W jednym z wielkich związków kamieniarzy do niedawna jeszcze istniała kasa osobna na cele bezrobocia i pomiędzy nimi właśnie najczęściéj chwytano się tego środka. Przy zarządzonym w roku 1867 śledztwie parlamentarném sekretarz generalny związku zjednoczonych maszynistów w zeznaniu swém mówił: „Członkowie naszego stowarzyszenia stanowczo przeciwni są wszelkiemu zawieszaniu robót, a posiadany przez nas wielki fundusz wzmacnia ich w tém przekonaniu, chcą oni zachować to co zebrali. Kto nie posiada ani szylinga nie ma się o co kłopotać, ale z uzbieranym majątkiem i to tak znacznym jak my go mamy, skłonni jesteśmy do przezorności największéj i dbamy o to, żeby go nie strwonić lekkomyślnie, sądzimy, że każde bezrobocie jest zupełném marnowaniem pieniędzy".

Widać też w związkach starania około uszlachetnienia i uprzyjemnienia życia robotników; dbają one o honor swego stanu: oszustów, pijaków, zbójów usuwają ze związków, kto opuszcza gospodę nie opłaciwszy długów, płaci za to karę, robotnik wydalony z fabryki za złe prowadzenie się nie dostaje podarku, wydają wsparcia na pogrzeb żony, ale nie nałożnicy, urządzają dla robotników czytelnie, odczyty pouczające, a do miesięcznych sprawozdań sekretarzy, które bywają drukowane, dodają zwykle rozprawy poważne, w kwestyach obchodzących ogół robotników.

W r. 1876 zaczęło się w Anglii przesilenie przemysłowe i handlowe, silniejsze niż kiedykolwiek; ciągnęło się ono lat kilka, w r. 1878 doszło do najwyższego stopnia natężenia i dopiero w r. 1880 stan rzeczy zaczął się poprawiać. W ciągu tych lat związki rzemieślnicze ciężką miały do wytrzymania próbę, środki ich wyczerpywały się stopniowo i trzeba było niezwykłéj energii a nawet poświęcenia, ażeby wszelkiemi możliwemi wysileniami utrzymać samo istnienie związków wśród okoliczności tak ciężkich; w roku jednak 1882 fundusze związków nanowo zaczęły wzrastać. Przebyły więc one próbę prawdziwie ogniową, przetrwały ją pomyślnie, dając dowody odwagi bohaterskiéj i nie pospolicie mądrego urządzenia wewnętrznego. Wszystko tu bowiem opiera się na dobréj woli członków, składki dobrowolne, zebranemi funduszami administrują ludzie, którzy po całodziennéj pracy w nocy muszą odczytywać podania, układać rachunki i wyznaczać co komu dać należy. George Howell studyował sprawozdania związków za te nieszczęśliwe lata, i ciekawe dane o rezultatach ich czynności ogłosił w „Contemporary Revue“ (September 1883). Przytaczamy tu kilka cyfr z jego pracy, ażeby dać pojęcie o faktach i istotnej skuteczności starań i zabiegów robotników angielskich. Zestawia on cyfry ze sprawozdań nie wszystkich naturalnie związków (1), ale wybrał z pomiędzy nich siedm ważniejszych, ktore, jego zdaniem, mogą być uważane za typowe, a mianowicie: połączonych maszynistów, robotników hut żelaznych, odlewów żelaznych, okrętów pancernych, machin parowych, cieśli i krawców. W r. 1882 w tych siedmiu związkach istniało stowarzyszeń lokalnych 1542, które liczyly czlonków 131,130; składki pobierane były we wszystkich prawie jednostajne 1 szyling (30 kop.) tygodniowo, albo trochę mniéj; przychód wynosił w ciągu tego roku 329,165 funt. sterl., rozchód 259,641 f. st. Suma rozchodu tak się rozkłada:

Na wspomożenie chorym	68.345	f. str.
Na pomoc nie mającym roboty	62.566	„
Na pensye emerytalne	38.198	„
Na pogrzeby	19.288	„
Na pomoc w wypadkach nieszczęśliwych	6.168	„
Podarki v. zasiłki jednorazowe.	4.582	„
Na sprawy rzemiosła, tj. podtrzymanie strików (bezrobocia)	5.675	„

(1) Na kongresie w Nottingham we wrześniu 1883 było reprezentowanych związków 136, liczących około miliona stowarzyszonych.

W ciągu pięciu lat najcięższych (1876 — 1880) przychód tych siedmiu związków wynosił 1.784.410 f. str., rozchód zaś 1.984.003 f. str., z téj sumy wydano w tym czasie:

Na wsparcia dla nie mających roboty	807.459	f. str.
Dla chorych	313.566	„
Na pensye emerytalne	118.196	„
Na pogrzeby	89.810	„
Na wsparcia w wypadkach nieszczęśliwych	28.305	„
Podarki v. zasiłki jednorazowe	36.130	„
Razem	1.393.466	f. str.
Na sprawy rzemiosła, tj. striki v. bezrobocia	158.361	„
Zasiłki dla innych związków	2.468	„

Cyfry te wyjaśniają charakter czynności związków, główny rozchód idzie na wsparcie dla chorych i nie mających roboty, sumy zaś użyte na podtrzymanie bezrobocia, w porównaniu z innemi, są mało znaczące. Bezrobocia zdarzają się coraz rzadziéj, szczególnie w związkach silnych, a rozchód na sprawy rzemiosła mieści w sobie wydatki na pomoc urzędnikom związkowym, których przedsiębiorcy najczęściéj pozbawiają roboty, jako ludzi sobie najmniéj miłych, mszcząc się na nich za rozmaite ustępstwa, do których bywają znagleni. Nieraz jakaś kłótnia kilku robotników z dozorcą powoduje wydalenie ich z fabryki; otóż jeżeli związek uzna, że nie ma w tém ich winy, daje im wsparcie póki nie znajdą roboty. Pomoc udzielana ludziom pozbawionym roboty — chociażby i w tych wypadkach, a témbardziéj kiedy robota na fabrykach ustaje wskutek zastoju w handlu, to dobrodziejstwo, którego żadna instytucya dotąd nie świadczyła, ciężar, którego nikt nie podejmował i podjąć nie mógł nikt inny jak sami robotnicy wzajemnie sobie własnemi środkami niosący wsparcie. Brak roboty i choroba, to dwa najstraszniejsze widma dla każdego robotnika i najcięższe w życiu jego przejścia; jeżeli oni własnemi siłami zabezpieczają siebie w tych nieszczęściach, społeczeństwo winno im za to szczere uznanie; każdy zaś członek związku, czując rozciągnioną nad sobą skuteczną opiekę swych towarzyszy, przywiązuje się do związku z pełną ufnością i umié cenić swoje w nim stanowisko. Ceni go témbardziéj, że związki postępując już może zanadto śmiało, podejmują obowiązek wypłacania pensyi emerytalnych robotnikom na starość. Ten ostatni ciężar, do niesienia najtrudniejszy, zwiększa się z każdym rokiem i z czasem może wyczerpać wszystkie środki stowarzyszeń. Związek maszynistów w r. 1876 wypłacił pensyi 12.538 f. str., w r. zaś 1880 już 20.958 f. str. Stalsze dochody robotników i regularniejsze ich życie przedłużają

wiek przeciętny, który już dzisiaj pomiędzy robotnikami stowarzyszonemi przewyższa wiek przeciętny ludności krajowéj w ogóle. Obecnie zdarzają się często wypadki, że ludzie starzy nie chcą pobierać przyznanych sobie pensyj emerytalnych, zawsze jednak przyjaciele i najgorętsi obrońcy związków robotniczych widzą w przyznawaniu tych pensyj prawdziwe niebezpieczeństwo, bo możność bankructwa. Sami związkowi niechcą się zrzekać tego warunku i przemyśliwają ciągle nad wprowadzeniem jakiéj nowéj kombinacyi, która-by ich od wyczerpania zasobów z tego powodu mogła ochronić.

IV.

Jeżeli robotnik pojedyńczy jest słabszym od fabrykanta i nie może wymódz na nim dla siebie wyższéj opłaty za pracę, ani lepszych jéj warunków, to znowu w obec związku zorganizowanego, silnego liczbą i zasobnego w fundusze, fabrykant pojedyńczy nie potrafi sobie poradzić i musiał-by najczęściéj ulegać żądaniom robotników. Stąd związki pomiędzy przedsiębiorcami. Właściciele fabryk nie czekali naturalnie przykładu robotników, żeby się porozumiewać pomiędzy sobą co do ceny i warunków, jakie mają im stawić; przychodziło to im nierównie łatwiéj, bo mniéj są liczni i mogą utrzymywać stosunki szersze; ale od robotników dopiero zaczęli się uczyć wytrwałości w swych postanowieniach i żeby sobie w téj walce dopomagać wzajemnie, zaczęli pomiędzy sobą zawiązywać stowarzyszenia stałe. W każdym jednak związku mającym na celu interes ogólny, im kto czuje się osobiście silniejszym, tém mniéj chętnie zwykł ulegać woli ogółu, tém więcéj rozwija się w nim siły odśrodkowéj, to téż ludzie rozpatrujący się zbliska w stosunkach fabrycznych angileskich twierdzą, że fabrykanci łatwiéj aniżeli robotnicy zdradzają swój interes ogólny.

Stowarzyszenia robotnicze prowadzą swe interesa z biegłością dyplomatyczną, żądając lepszych dla siebie warunków, zwracają się z tém zwykle do jednéj jakiéj firmy; przedsiębiorca zagrożony opuszczeniem fabryki przez robotników musiał-by przyjąć ich warunki; żeby więc wzmocnić swe stanowisko, wszystkie, albo przynajmniéj pewna liczba firm każdéj gałęzi przemysłu. zobowiązują się nie robić żadnych zmian ani ustępstw bez decyzyi komitetu wspólnie przez wszystkich wybranego. Jeżeli komitet nie zgodzi się na ustępstwa, a robotnicy porzucą robotę, firma poszkodowana likwiduje straty za czas bezrobocia i rachunek swój składa komitetowi, który rozkłada sumę na wszystkie firmy, należące do związku i te

płacą; jeżeli-by kto wzbraniał się płacić, sprzedają jego weksle, złożone w tym celu jako gwarancya u bankiera związku. Ale używają innego jeszcze, o wiele skuteczniejszego środka obrony; jeżeli robotnicy w jednéj fabryce porzucą roboty, wszyscy fabrykanci tego fachu z decyzyi komitetu zamykają swe warsztaty (*lock-aut*) i odprawują robotników, żeby powiększyć liczbę ludzi bez roboty, prędzéj wyczerpać środki związkowych i osłabić tém przeciwnika. Przy takiém ogólném zamknięciu fabryk wojna przybiera rozmiary przerażające, doświadczenie jednak wskazuje, że fabrykanci, chociaż mniéj liczni i bogatsi, chętniej ulegają pokusom spółzawodnictwa pomiędzy sobą; kto pierwszy otworzy fabrykę, może, przy ogólniejszym braku towaru, ściągnąć zyski ogromne; chociaż więc taka zdrada pociąga za sobą kary pieniężne, dochodzące do 50.000 fun. str., chociaż pociąga za sobą potępienie w opinii towarzyskiéj, nie zawsze to jest dostatecznym hamulcem i zdarzały się wypadki podobnéj zdrady.

Stają tedy naprzeciwko siebie dwa obozy zorganizowane. Bywały bezrobocia, które obejmowały dziesiątki tysięcy robotników, a ciągnęły się całe miesiące do pół roku nawet. Gdy postanowiono bezrobocie lub zamknięcie warsztatów, fabrykanci rozsyłają kolegom spisy swoich robotników, żeby ich nie przyjmowali, robotnicy stawią straż przy fabrykach, żeby do nich nie dopuszczać ludzi obcych i tłómaczyć im o co chodzi. Dawniéj w podobnych wypadkach nie cofano się przed gwałtami i zabójstwem nawet, teraz już się to nie zdarza, robotnicy stowarzyszeni uważają za punkt honoru nie dopuszczanie się gwałtów, szczególnie od r. 1875, kiedy zniesiono osobne prawa karne za przestępstwa z bezrobociem związane. Każda ze stron stara się najprzód opinią publiczną usposobić na swoją korzyść, przesyłając do dzienników tłómaczenie sprawy i usprawiedliwienie swych wymagań; na wyczekiwaniu schodzi parę tygodni, tymczasem towar drożeje, stosunki handlowe zaczynają się komplikować, robotnicy obcy związkom, raz wraz tracą robotę i przechodzą na utrzymanie kas ubogich, opinia wśród publiczności zaczyna się poruszać i zajmować żywiéj tą sprawą, dzienniki poważne najczęściéj występują przeciwko robotnikom, ale pomiędzy nimi zawziętość wzrasta, szczególnie kobiety podrażnione podtrzymują energią mężów. Zdarzało się, że fabrykanci wypędzali robotników z wynajmowanych im domów, wynosili się więc oni na pola lub do lasów, dzieci i starcy chorują i umierają, sprzęty domowe, odzież sprzedają się sztuka za sztuką, kredyt się wyczerpuje do ostatka, głód dokucza, pomimo pomocy innych związków, środki wyżywienia urywają się codziennie; fabrykanci czasami bankrutują,

robotnicy często mrą, aż nareszcie wycieńczenie sił doprowadza do układów i zgody. Strona zwyciężająca uważa siebie za obficie wynagrodzoną za wszystkie te straty.

Ekonomiści i publicyści tłómaczą, że zysk, jaki się ze zwycięstwa osięga, nie może powetować strat, zrządzonych przez bezrobocie, ale ani fabrykanci ani robotnicy nie chcą temu wierzyć i twierdzą stale, że jest to środek konieczny, chociaż bolesny i kosztowny, ale niepodobna wyrzec się prawa do jego użycia. Robotnicy chcą widzieć w kosztach bezrobocia kapitał wyłożony na stałe w zarobku podwyższenie renty ze swéj pracy. Zniżenie zarobku o *jeden penny* (5 groszy) na godzinę, przy dziesięciu godzinach pracy wyniesie 25 kop. dziennie na człowieka, przy 10.000 robotników, zagrożonych takim obniżeniem, wyniesie to 15.000 rub. tygodniowo, a 780.000 r. rocznie; jeżeli przyjmiemy tę cyfrę za piąty procent, kapitał odpowiedni równać się będzie 15.600.000 r., żadne bezrobocie tyle kosztować nie może. Fantazyjny to rachunek: w obec głodu i nędzy cyfry te nikogo pocieszyć nie mogą. Ale bezrobocia okazały skutek zbawienny w tém, że obie strony, przebywając tak twarde doświadczenie, nabyte stratami boleśnemi, uczą się wzajemnéj wyrozumiałości; fabrykant raz przez to przeszedłszy, nie projektuje już zmian w widokach zysku chwilowego, doprowadza go do tego chyba ostateczna konieczność, a w takim razie robotnicy rozpoznawszy stan rzeczy, zgadzają się na zmiany; ze swojéj strony podwyższenie opłaty proponują oni tylko w czasach dla przemysłu prawdziwie pomyślnych, w chwilach silniejszego jego rozwoju, a wtedy fabrykanci ustępują bez wielkich trudności. W ten sposób osiąga się podwyższenie zarobków nie nagłe, ale za to trwałe; podobne korzystanie z okoliczności przyjaznych znacznie poprawiło byt robotników, którzy widząc, że mają do czynienia z fabrykantami połączonemi w związki stałe, powstrzymują się od wymagań nieodpowiednich. Kiedy obie strony, nauczone smutném doświadczeniem, przekonały się, że jedna bez drugiéj nie potrafi zmienić warunków umowy na czas dłuższy, zmiękczyło to je i otworzyło drogę do układów polubownych, które się przeprowadzają w izbach pojednawczych.

V.

Jeszcze w starych cechach średniowiecznych, kiedy ulatniać się z nich zaczął ożywiający je początkowo duch patryarchalnego obyczaju, a majstrowie wyróżniali już swe interesa od interesu czeladników, przez czas długi warunki najmu pracy były roztrząsane i ustanawiane przez wyznaczone do tego w cechach osobne, jakby

je dziś nazwano komitety, złożone z równéj liczby majstrów i czeladników. W Anglii prawo Elżbiety wkładało na magistraty i sędziów pokoju obowiązek stanowienia o cenach najmu robotników; po zniesieniu tego prawa robotnicy niejednokrotnie zanosili do parlamentu petycye o wyznaczenie władz, które-by mogły w téj sprawie decydować stanowczo; parlament jednak trzymając się teoretycznéj zasady wolności pracy, nigdy tym prośbom zadość nieuczynił. Kiedy zorganizowane związki robotników groziły już fabrykantom stratami poważnemi, a wśród sporów o wysokość płaty za pracę bezrobocia szerzyły zniszczenie, właściciel fabryki pończoch w okolicach Nottingham, a dzisiejszy członek gabinetu Gladstone'a *Mundella* wpadł na myśl szczęśliwą próbować porozumienia z robotnikami. Przejście to sam on opisuje w ten sposób.

Mniéj więcéj od r. 1810 w kilku hrabstwach środkowéj Anglii w fabrykach pończoszniczych zagnieździły się najgorsze stosunki pomiędzy robotnikami a pracodawcami, zawziętość była tak silna, że rozbijanie machin stało się niemal zwyczajem. Dla zapobieżenia temu karano surowo podobne gwałty, tak, że sądy skazywały na powieszenie po kilku naraz robotników. Gdy w roku 1860, w czasie bezrobocia w wielu fabrykach trwającego już trzy miesiące, fabrykanci zebrali się na naradę, z zamiarem zamknięcia wszystkich warsztatów w trzech hrabstwach sąsiednich; Mundella zaproponował im sprobowanie środka, który-by mógł usunąć raz na zawsze podobne wypadki, mianowicie porozumienia z robotnikami; znalazł kilku stronników i upoważniono ich do próby. „Poszliśmy" — powiada — „do robotników, uniżyliśmy się, jak niektórzy mówili i przekładaliśmy im, że każdy z nich pozbawiony zarobku musi wydawać jednego albo półtora szylinga tygodniowo, żeby z nami wojować, sprobujemy lepiéj rozmówić się i obliczyć jakie ceny być powinny". Trafili na szczęśliwą chwilę, robotnicy okazali się chętni do rozmowy, Mundella miał chociaż niedokładne pojęcie o polubownéj instytucyi francuskiéj *conseil des prudhommes*, zaczął o niéj mówić i rozwijać praktyczne znaczenie ugody polubownéj, umysły się uspokajały i powrócono do roboty. „A chociaż" — powiada — „kilka lat przeszło nimeśmy rzecz całkowicie w należyty sposób urządzili, jednakże okazała się ona o tyle skuteczną, że odtąd w téj gałęzi przemysłu nie było ani jednego bezrobocia, a w okolicy całéj panuje obecnie najlepszy stosunek pomiędzy robotnikami i pracodawcami". Rzecz tak się urządziła:

Corocznie w styczniu związki robotnicze z jednéj a fabrykanci z drugiéj strony wybierają po 9-iu delegowanych, których postanowienia i decyzye uznane są z góry za obowiązujące dla stron obu.

Delegowani składają Izbę pośredniczo - pojednawczą, przed którą wnoszą się wszelkie kwestye, powstające pomiędzy fabryką a robotnikami z powodu ceny i warunków roboty. Procedura której Izba ma się trzymać, opisana jest w ustawie, a zależy na uznaniu zupełnéj równości praw obu stron, tak dalece, że dla uniknienia pozoru zależności robotnicy płacą połowę kosztów na utrzymanie izb pojednawczych. W r. 1865 w innéj okolicy Anglii w Worcesterskire za inicyatywą sędziego *Roberta Kettle* powstała podobna instytucya Izby pośredniczéj w przemyśle budowniczym, na trochę odmiennych zasadach, ale również skutecznie działająca; odtąd inne gałęzie przemysłu zaczęły naśladować te wzory, a w r. 1872 parlament osobną ustawą nadał postanowieniom Izb pojednawczych moc prawnie obowiązującą.

Dotychczas jest to krok ostatni na drodze urzeczywistnienia realnego owéj, dawno już przez prawo uznanéj, równości pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, która jednakże tak trudno przesiąka w obyczaj, że i dzisiaj jeszcze pomimo dwudziestu lat praktyki najpomyślniejszéj izby pojednawcze mają w saméj Anglii wielu przeciwników, a na lądzie europejskim jeszcze nigdzie nie weszły w życie.

Teoretycy zarzucają izbom bezskuteczność ich usiłowań, bo wszakże cena pracy zależy od warunków naturalnych, które nią rządzą, a których zmienić nikt nie jest w stanie. Jakkolwiek wypadnie decyzya izby, na stronę kapitału czy pracy, jedni mogą przytém stracić drudzy zyskać czasowo, ale rzeczy pójdą daléj swoją drogą właściwą, a sztucznie wywołana korzyść jednych odbije się na innych, którzy stratę poniosą niesłusznie. Zbyt szeroko musielibyśmy rozpisywać się tutaj w kwestyach teoretycznych, ażeby zbijać zarzuty, osnute po większéj części na niezupełnie prawdziwych twierdzeniach niektórych ekonomistów: o zapasie funduszu z którego wypłacają się zarobki, o cenach na rozmaite towary, o kosztach produkcyi w obec konkurencyi zagranicznéj, o wydajności i sprawności pracy dłuższéj lub krótszéj, lepiéj lub gorzéj opłaconéj i innych tym podobnych, o które ekonomości jeszcze spierają się między sobą. Dwudziestoletnia pomyślna praktyka, coraz rzadsze bezrobocia, zniknienie ich zupełne w tych gałęziach przemysłu, które zaprowadziły u siebie izby pojednawcze, upoważniają nas do wniosku, że są one krokiem zrobionym naprzód w urządzeniach przemysłowych, krokiem postawionym szczęśliwie, bo zbliżającym stosunki ludzkie ku sprawiedliwości i uspakajającym burze i wojny domowe.

Charakter działania izb pojednawczych nie nosi zgoła cechy namawiania do zgody ludzi poważnionych, nie stają one pomiędzy

zaciętemi przeciwnikami, ażeby ich przekonywać, że zgoda lepsza od kłótni, że każda strona powinna coś ustąpić i zadowolnić się tém co dostaje, a zatém „pogódźcie się i żyjcie w pokoju". Nie, one podjęły zadanie usuwania powodów do kłótni, nie rozsądzaniem sprawy i kwestyi prawnéj, ale wyjaśnieniem okoliczności, w jakich się przemysł i rynek handlowy w danéj chwili znajduje; przeprowadzają zaś to wyjaśnienie starannie i sumiennie, a po takiém roztrząsaniu faktów nawet bardzo rzadko przychodzi do głosowania, najczęściéj wszyscy się godzą na jedno. Mundella opowiada jak-to raz nowowybrany delegat od robotników, zasiadając po raz pierwszy na sesyi izby postawił wniosek: że ponieważ wszyscy żyją w zgodzie i przyjaźni nicby nie zaszkodziło fabrykantom płacić robotnikowi 1 szyling więcéj za tuzin zrobionych pończoch, bo cenę towaru podniesie to nieznacznie, spożywcy ani się obejrzą, a jeżeli wszyscy fabrykanci zrobią to jednocześnie nikt z nich na tém nie straci. Przekonywano go długo że to nie da się zrobić, że zbyt towaru nie jest łatwy, a zwyżka w cenie utrudniając go jeszcze, zmusi do zmniejszenia ilości wyrobu, a zatém do zmniejszenia liczby robotników zajętych, albo do zmniejszenia godzin pracy. On jednak twardo obstawał przy swojém, wskazywano na konkurencyą fabryk francuskich i niemieckich, które korzystając z podwyższonéj ceny w Anglii, przy istniejącym systemie wolnego handlu będą tam przysyłać więcéj swego wyrobu; nie chciał temu wierzyć. Wysłano więc dwóch robotników do Francyi i jednego do Niemiec, żeby mogli na miejscu obejrzéć tameczne fabryki i sprawdzić ceny, dopiero kiedy ci za powrotem złożyli sprawozdanie, delegat odstąpił od swego wniosku a robotnicy uspokoili się zgadzając się czekać lepszych czasów ze swym żądaniem. Procedura to długa i kosztowna, ale jeżeli oszczędza dużo bolesnych ofiar warto ją przeprowadzić. Bez tych wyjaśnień łatwoby mogło przyjść do bezrobocia i wszystkich opłakanych jego skutków.

Związki robotnicze chętniéj aniżeli stowarzyszenia fabrykantów przystają na zaprowadzanie izb pojednawczych. Pomijając już wszelkie argumenta teoretyczne któremi fabrykanci wojować umieją, bodaj że silniéj działa tu po prostu niechęć stawania na stopie zupełnéj równości z robotnikami; wyrobiony tradycyonalnie stosunek pana do sługi i tyloletnie do niego nawyknienie nie daje się łatwo zmienić w umysłach i sercach ludzi, którzy się czują powołanymi do panowania. Ten nastrój moralny więcéj podobno stoi na zawadzie porozumiewaniu się spokojnemu i więcéj sprowadza nieszczęść, aniżeli warunki ekonomiczne spółzawodnictwa i cen zmiennych. Kiedy na żądanie robotników fabrykant odpowie, jak się wyraził jeden

z nich przy składaniu świadectwa swego w komisyi śledczéj królewskiéj w r. 1867 „ja jestem panem a oni sługami, oni muszą słuchać kiedy ja każę,“ robotnicy odpowiadają na to— „myśmy nie niewolnicy“—spór zaogni się od razu, namiętność podrażniona bierze górę nad rozsądkiem, wszyscy zapominają o celu pierwotnym, nikt nie myśli o warunkach produkcyi i sprzedaży towaru, bo tu już chodzi o obronę od tyranii kapitału i każdy gotów wszystko poświęcić byle postawić na swojem.

Robotnicy angielscy, przy zwiększonym dobrobycie i staraniach usilnych całego społeczeństwa około podnoszenia ich godności moralnéj i oświaty, mają już w wysokim stopniu rozwinięte uczucie honoru, nietylko więc podobne narzucanie swéj woli ale i prosta niegrzeczność oburza ich, kiedy sądzą że mają prawo być traktowanemi na stopie równości. R. Kettle opowiada wypadek taki. W kopalniach w Strafordshire w r. 1865 panowało bezrobocie, kiedy już obie strony dużo straciły, zgodzono się na konferencyą delegowanych, którzy mieli się zejść w jednym z hotelów okolicy. Delegowani od robotników stawili się w oznaczonéj godzinie, wprowadzono ich do salonu wspaniałego, w którym znaleźli siedzących za stołem dziesięciu przedsiębiorców, wskazano im miejsca na ławie pod ścianą, usiedli w milczeniu kręcąc w palcach kapelusze, po paru minutach przypatrywania się wzajemnego, prezydujący pomiędzy fabrykantami, człowiek zresztą grzeczny i chcący rzeczy załatwić ugodą, odezwał się do nich: „Cóż tam chłopcy macie do powiedzenia w waszéj sprawie.“ Układy tak rozpoczęte spełzły na niczém, robotnicy przebąkiwali półsłówka żaden z nich niechciał puszczać się w objaśnienia. „Wyrazy te“—powiada Kettle, „były poprostu klęską publiczną, kosztowały one okolicy sumy ogromne, co najmniéj 50000 f. str. robotnicy szli z intencyą zgody, ale nie doszło do tego i bezrobocie ciągnęło się jeszcze kilka tygodni.“ Izby pojednawcze usuwają wszelkie podobne powody do rozdrażnienia, celem i podstawą ich działania jest zapewnienie robotnikom głosu swobodnego i zupełnie równego z pracodawcami, przy debatowaniu warunków umowy i sprzedaży towaru—pracy ich własnéj tj. siły i umiejętności które mają do ofiarowania.

Czy ten cel umowy prawdziwie wolnéj przy tak odmiennéj pozycyi ekonomicznéj stron obu osiągniętym być może? Jeżeliby nam chodziło o absolutną równość, zapewne że nigdy rzeczy do tego doprowadzić się nie dadzą. Ale, że wszelki postęp w sprawach ludzkich może zależéć jedynie na zbliżaniu się do tego co w pojęciach ludzie za dobre i słuszne uznają, więc i na tém polu, skoro nierówności przyrodzone, a chociażby tylko z dawna wytworzone ale żywe

i broniące swego prawa do życia, oddziaływają słabiéj niż uprzednio na stosunki ekonomiczne, skoro sprzeczność interesów nie prowadzi koniecznie do podrażnienia trwałego, a może wyrównywać się czasowo na pewnych stanowiskach i zrównoważeniem sił doprowadzać do pewnego rodzaju harmonij w stosunkach społecznych,—postęp oczywiście się dokonywa.

Filozofowie XVIII wieku twierdzili że wszyscy ludzie obdarzeni są od natury zdolnościami i siłą jednakową, warunki zaś życia społecznego wytwarzają między nimi nierówność sprzyjając rozwijaniu się jednych tłumiąc je u innych; z tego twierdzenia powstało dążenie do równości absolutnéj, które było błędném, bo równości zupełnéj nietylko między wszystkimi, ale nawet między kilku ludźmi nigdzie dopatrzyć nie można; człowiek zaś rodzi się tak słabym i tak nieudolnym że może być tylko tém co z niego zrobią stosunki społeczne. Dzisiejsi filozofowie uniewinniając społeczeństwo robią rozwój człowieka zależnym od warunków otoczenia i od stopnia w jakim organizm jego do tych warunków przystosować się może i potrafi, widząc zaś w organizmach ludzkich nierówne siły, uznają fakt nierówności za prawo przyrodzone i dopatrują w nim pierwszéj przyczyny postępu ludzkości, bez niéj nie mogłaby się ona wznosić na wyższe stopnie rozwoju. Schodząc z tych wyżyn abstrakcyi do stosunków życia praktycznego ujrzymy, że zrodzona pod wpływem filozofii przeszłowiecznéj zasada równości ludzi wobec prawa, w niczém się nie sprzeciwia wywodom filozofów dzisiejszych, bo skoro rozwój człowieka zależy od tego o ile on potrafi przystosować się do warunków otoczenia, wszyscy powinni mieć równe prawo rozwijania swoich usiłowań w tym kierunku. Owszem sama zasada równości przed prawem, w obec rezultatów do jakich dochodzi filozofia ewolucyonistów, musi się jeszcze udoskonalić i rozwinąć szerzéj. Dla tych, którzy twierdzili że ludzie z natury są równi dość było usunięcia sztucznéj budowy przywilejów wytwarzających nierówności, reszta miała się zrobić sama, przeszkody usunięte pozwalały wykwitać harmonii społecznéj; w praktyce okazało się że wolność zapewniona wszystkim przez uznanie ich równości w obliczu prawa, rozwiązała wszystkie siły wyższe, pozwoliła każdéj zdolności niepospolitéj rozwijać się łatwiéj i prędzéj, pobudziła do życia wszystkie pędy silniejsze w organizmie ludzkości, ale na wzrost pędów słabszych oddziałała mniéj korzystnie, dla nich nie wystarcza atmosfera równości i wolności prawnéj, potrzebują one środków odżywczych więcéj skoncentrowanych. Nad obmyśleniem takich środków pracują obecnie wszystkie umysły wyższe we wszystkich krajach cywilizowanych; ale pracują téż i maluczcy na drogach drobniutkich praktyk życia co-

dziennego. Téj to pracy drobnéj podjęli się robotnicy angielscy a powiodło się im, na ich ciasno ograniczonym polu, lepiéj aniżeli filozofom, statystom i socyologom, którzy, dla kombinacyj swych na wielką skalę zamierzonych, nie mogą dotąd znaleść stałego gruntu pod założenie fundamentów.

Wszakże równość w obliczu prawa, jako zasada faktyczna przyjęta w większości prawodawstw europejskich, bynajmniéj nie uznaje równości absolutnéj pomiędzy ludźmi, tylko przyznaje każdemu prawo używania sił własnych wedle własnego rozumienia, że zaś siły te nie są równe, silniejszy więc nie powinien przeszkadzać w tém słabszemu. Dotąd jednak nie ustaliło się pojęcie o owém przeszkadzaniu i tak dalece jest ono chwiejném, że w Anglii, w kraju politycznie najswobodniejszym, pięddziesiąt lat zeszło na walkach najzaciętszych nim uznano w drodze prawodawczéj: że nikt nie może przeszkadzać robotnikom, ani zaprzeczać im prawa stowarzyszania się we własnym interesie i zawiązywania korporacyj czuwających nad wyrównaniem warunków w jakich się pracodawca i robotnik znajdują przy umowie o cenę pracy.

Trwałe zabezpieczenie zarobków wyższych jest głównym warunkiem otworzenia dla robotników dostępu do życia odpowiadającego wymaganiom cywilizacyi; to jedno da im możność żyć porządniéj w mieszkaniu zdrowszém, mieć jedzenie lepsze, odzienie całe i czyste, to jedno pozwoli im nie wybijać się z sił przy pracy ale zażywać niezbędnego wypoczynku, a zatém i myśl zwracać do innych przedmiotów niż sama praca mechaniczna, więc szukać oświaty i wchodzić na drogę moralnego kształcenia się. A chodzi tu nie o to jeszcze, żeby pewna liczba ludzi, korzystając ze swych zdolności i okoliczności wyjątkowo pomyślnych, mogła wznieść się po nad stan robotniczy i przejść na łono klas wyżéj wykształconych, ale o to głównie żeby robotnicy jako tacy, tj. największa pomiędzy nimi liczba mogła podnieść stopę swego życia na stanowisko odpowiednie godności natury ludzkiéj, jak je dzisiaj pojmujemy. Skutki osiągnięte w Anglii przez związki robotnicze dowodzą, że niepotrzeba na to zgoła zmieniać i wywracać dzisiejszego porządku społecznego, dosyć aby wolność była dla wszystkich jednakową wolnością, bo pod jéj panowaniem potrafili robotnicy wytargować i utrwalić zarobki odpowiadające ich potrzebom; klasy zaś wyższe widząc to chętnie i energicznie podjęły pracę mnożenia wszędzie najrozliczniejszych ognisk oświaty, ażeby owe korzyści materyalne o ile można prędzéj ożywić duchem myśli zdrowéj i kierunku moralnego.

Zdawałoby się, że wykryta przez robotników angielskich droga prowadząca do polepszenia stosunków społecznych, powinnaby

wszędzie być skwapliwie rozczyszczaną i prostowaną przed ludem roboczym; ale tak niejest. bo robotnicy francuscy w syndykatach swoich marzą o urządzeniach ogólnych, któreby ich prawa zabezpieczyły a do kroków praktycznych mało okazują skłonności; gewerkschafty niemieckie zawiązywane najczęściéj z czyjejś namowy albo w skutek agitacyi, pędzą życie po większéj części sztuczne; w innych krajach ogół robotników zbyt jeszcze mało wykształcony, żeby umiał samodzielnie nagiąć się do wymagań interesu wspólnego; zresztą i wśród klas oświeconych istnieją inne kierunki myśli, albo raczéj pojęcia fałszywe bardzo jeszcze rozpowszechnione.

Niegdyś szlachta francuska niechciała słuchać nawoływań Turgot'a do reform i odpowiadała że lud jest i zawsze być musi: tailliable et corvéable à merci; i dzisiaj jeszcze wśród klas zamożnych nie braknie ludzi mniéj wykształconych, nie nawykłych do myślenia poważnego, zadawalniających się czczemi frazesami jeżeli one odpowiadają ich usposobieniu, i uznających je ochoczo za zasady poważne kierujące ich czynnościami. Tacy ludzie posługują się chętnie zdaniami wypowiedzianemi przez niektóre powagi naukowe, przekręconemi trochę i przystowanemi do ich użytku przez usłużnych pisarzy. Powiadają więc że ponieważ ludzie równemi być nie mogą przeto wszelkie dążenie do zmniejszania różnic społecznych jest czczą ideologią; że powodzenie przemysłu zależy na tém iżby miał zawsze na zawołanie masę robotnika taniego, że póki człowiek jest wstanie nędznym, łatwiéj nim powodować i lepiéj spełnia każdą robotę; daléj egoizm ich filozofujący tłómaczy jako zawsze masy muszą orać, piłować i heblować, kuć i prząść dla tego, żeby mniejszość swobodna od grubych wysileń mogła myśléć i badać, kierować i rządzić; że nakoniec bogactwo i nędza muszą zawsze istnieć obok siebie na świecie. Takie mięszanie kwestyi robotniczéj z kwestyą ubóstwa i żebractwa wskazuje złą wolę, albo zupełną niewiadomość. Czyż robotnicy są żebrakami? właśnie o to chodzi żeby ich do żebractwa niedopuścić. Każdemu wiadomo, że robota gruba zawsze będzie potrzebna, ale tu chodzi o to jakie warunki życia i jakie wykształcenie mieć mogą rolnicy i stolarze, kowale i tkacze, jakie są sposoby zabezpieczenia im trwale bytu możebnie najlepszego. Nasi egoiści-filozofowie biednych i nędzarzy za cierpienia doczesne odsyłają po nagrodę do życia przyszłego w świat lepszy, chociaż w obec tak szeroko dzisiaj panującego sceptycyzmu wolno wątpić czy do tego przyszłego życia przywiązują wielką wagę. A jednak czy może być stan społeczeństwa groźniejszy jak ten, w którym bogaty i ubogi przestaną rozumieć się nawzajem, kiedy nie mają z sobą nic wspólnego, ani interesu do popierania, ani ciężaru do dźwigania,

kiedy myśli ich i pragnienia rozchodzą się w strony przeciwne, jednocześnie zaś masa dochodzi do świadomości swéj siły; kultura klas wyższych będzie wtedy narażoną na wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli do niéj nie będzie pociągana coraz większa liczba ludzi. Więc nawet egoizm powinien-by wskazywać każdemu, że dzisiaj nie można dążyć do utrzymania mas na stanowisku niższém, że owszem należy usiłować szczerze, zrobić w ich interesie, co do zrobienia możliwe, a dla spokoju społecznego konieczne.

Z drugiéj strony demokracya socyalna domaga się dla mas ludowych udziału w korzyściach kultury nietylko większego niż ten który im dzisiaj przypada w udziale, ale równego dla wszystkich. Dla ogólnego wszystkich rozwoju domaga się ona jednostajnych i równych warunków bytu dla wszystkich; ztąd też chce usunąć prawo własności i dziedzictwo, jako źródło nierówności i ucisku. Wielu jest gotowych do poświęcenia całéj cywilizacyi dzisiejszéj i wszystkiego co ludzkość przez nią nabyła, jeżeli te dobrodziejstwa nie mogą się równo rozdzielać pomiędzy ogół, nad taką ruiną zapanować ma prawo równości bezwzględnéj, które, wedle ich mniemania, wytworzy kulturę nową od dzisiejszéj doskonalszą. Jakkolwiek zdrowy rozsądek musi potępić wiarę w wytworzenie nowego świata szczęśliwości za pomocą czarodziejskiéj różczki proroków socyalizmu, lubo zrozumiéć niepodobna, jak po zniszczeniu wszystkiego, czego ludzkość dobiła się tysiącami lat walk i pracy, z ciemnéj otchłani ruiny i nędzy wyłoni się nagle pomyślność ogólna i zadowolenie wszystkich, jednakże dzisiaj w Europie setki tysięcy ludzi wierzą w to, a niewiadomo, setki czy tysiące rozpoczynają już kroki wojenne gwoli spełnienia pierwszéj części programu, a mianowicie—zniszczenia. Zniszczyć dzieła ludzkie można zapewne, ale żaden dekret nie zrobi ludzi równymi, rozmaitość zdolności, sił i usposobień, a więc nierówność była dotąd przyczyną postępu, nieprzestanie ona istnieć, a więc też nie wyschnie źródło z którego biorą początek wszelkie szlachetne usiłowania podnoszenia się wyżéj, stanowiące sam wątek cywilizacyi, snujący się pomiędzy węzłami stosunków społecznych. Jeżeli ludzie korzystający z pomyślniejszych dla siebie warunków nierówności spełniają swoje zadanie, wywiązując się ze swych względem ogółu obowiązków, prawo ich własności jest zupełnie usprawiedliwione. Nie można wymagać, ażeby wszyscy bez wyjątku byli pod tym względem bez winy i zarzutu; lecz w takiém społeczeństwie, w którém chociaż-by część bogatych rozumie i spełnia swoje powołanie, już podział dóbr tego świata odbywa się słuszniéj i sprawiedliwiéj, aniżeli-by to być mogło pod panowaniem jakiéjkolwiek formułki socyalistycznéj, albo z rozporządzenia najmądrzéj urządzonéj władzy biurokratycznéj.

Trzeci prąd, nieprzychylny kształtowaniu się stosunków społecznych pod wpływem zabezpieczonej robotnikom swobody zawiązywania pomiędzy sobą stowarzyszeń według własnego rozumienia, płynie z obozu zachowawczego, ze sfer, które dzisiaj w Europie nazywają klerykalnemi albo feudalnemi. Tam kwestya socyalna uznawaną jest w całéj swéj rozciągłości, nie mniéj gorzko i ostro od socyalistów powstają zachowawcy na despotyczne rządy kapitału wśród dzisiejszych warunków życia ekonomicznego, a zło główne widząc w tém, że nędza robotników zdzicza, kładą nacisk na zobojętnienie ich przez to dla kościoła, co ich w ostateczności pozbawia nieba i szczęścia w życiu przyszłém. Kościół, szczególniéj katolicki, który niegdyś tak czynnie przyczyniał się do krzewienia cywilizacyi w Europie, nie zrywa ze swemi tradycyami, potępia więc energicznie stosunki utrzymujące klasy robocze w nędzy i zezwierzęceniu, ale w oczach jego pierwszym znamieniem oświaty jest uznanie marności dóbr doczesnych, a rozwijając motywa czerpane w podaniach ascetyzmu, potępia kulturę nowożytną piętnując ją mianem materyalizmu. Liberalizm naszego wieku wybił się z pod kierownictwa kościoła, więc klerykalizm niechce puścić klas roboczych na ścieżki liberalizmu, broni je od wpływów nieprzyjaznéj sobie kultury; zwraca swe usiłowania ku bogatym, nawracając ich pracowicie wymaga od nich fundacyj pobożnych, któreby dały jemu środki pomagania biednym; rozdając wsparcia, karmiąc i odziewając dotkniętych nędzą, ma nadzieję łatwiéj utrzymać masy ludowe pod swym kierunkiem. We Francyi, we Włoszech, w katolickiéj części Niemiec duchowieństwo pracuje usilnie nad zawiązywaniem pomiędzy ludem najrozmaitszych związków i stowarzyszeń, w których biorą udział ludzie z klas oświeconych, a które zawsze pozostają pod kierunkiem księży i noszą nazwę *dzieł pobożnych*. Wpływ moralny tych kółek ma niezaprzeczenie wielką doniosłość, ale ekonomicznie nie oddziałały one dotychczas w niczém na stosunek przedsiębiorców do robotników, chyba tylko łagodzeniem zajść ostrych tam, gdzie fakrykanci sami należąc do kółek, w zetknięciu osobistém z robotnikami, powodują się poczuciem chrześciańskich swych obowiązków wyrozumiałości i życzliwości dla bliźnich.

Od téj miękości patrona, wypływającéj z uczuć zapewne chwalebnych, bardzo daleko jeszcze do niezależnego stanowiska robotnika, do postawienia go w możności debatowania warunków umowy o sprzedaż swéj pracy, ze swobodą, jeżeli nie równą téj z jaką do targu przystępuje kapitalista, to przynajmniéj znacznie większą aniżeli dzisiejsza. Tego zaś właśnie dobijają się i w znacznym stopniu

już dokazały związki rzemieślnicze angielskie. Mogą one służyć za dowód, że liberalizm, pomimo wszelkich zarzutów jakie dzisiaj przeciw niemu są na porządku dziennym w prasie całej Europy, nie przestaje wywierać skutków dobroczynnych na stosunki ludzkie, naturalnie pod warunkiem wierności hasłu, które go powołało do życia, i nie przedzierzgania się w obłudnego stróża interesu bogatych przy pozorach równości praw i wolności. Wolność i równość prawa, to nietylko szumne hasło, ale pojęcia głębokie najpłodniejsze w skutki dla wszystkich pomyślne; ale sama głębokość tych pojęć wskazuje już, o czém i praktyka stuletnia przekonała ludzi, że dla wprowadzenia w życie tych zasad nie dość zapisać je w księdze prawa, ale trzeba wypełnić je treścią, dać im kształt, niby ciało, tj. zabezpieczyć używanie ich rzeczywiste nie tylko tym którzy sami sobie wystarczyć mogą, ale i tym, których ubóstwo i niższy stopień wykształcenia stawią w niemożności przedzierania się o własnych siłach przez twardą sieć powikłanych stosunków społecznych do świątyni prawa, gdzie sprawiedliwość bywa wymierzaną, ani na zgiełkliwym rynku interesów ekonomicznych oryentowania się w porę co i jak o sprawach swoich postanowić należy.

Środkiem, jak dotąd najpraktyczniejszym i najobfitszym w skutki, okazało się zabezpieczenie robotnikom prawa swobodnego stowarzyszania się. Związki rzemieślnicze w Anglii trzymają już w skupieniu więcéj miliona robotników, więc oddziaływują na losy i sposób życia czteromilionowéj ludności, a istnienie ich prawem zabezpieczone trwa dopiero od lat kilkunastu, więc ta forma wynaleziona przez praktycznych anglików, może być uważana za szczęśliwą i odpowiednią celowi. Związki te przyczyniły się w znacznym stopniu do uspokojenia ludności robotniczéj angielskiéj, która nie ulegała zgoła wpływom teoryi Marksa i propagandzie międzynarodówki, widząc pewniejszą i bezpieczniejszą dla siebie drogę w faktyczném załatwieniu na miejscu interesu o swe zarobki, aniżeli w nadziejach na przewrót stosunków ekonomicznych całego świata; tu więc praca wolała wchodzić w kompromis z kapitałem, aniżeli wypowiadać mu wojnę ostateczną.

Stowarzyszenia te w zupełności odpowiednie dla stosunków społecznych angielskich, złożone wyłącznie z samych robotników, wszędzie są tém, czém są robotnicy; działanie ich w ogóle dobroczynne, a co do zasad ogólnych jednostajne, w praktyce zależy od temperamentu, usposobień i stopnia wykształcenia stowarzyszonych i dla tego rozmaicie się przedstawia w różnych okolicach kraju. Nie można więc téj mianowicie formy stowarzyszenia uważać za ogólne lekarstwo na cierpienia społeczne, za środek uspokojenia powszech-

nego, bo i w Anglii nie zapewni ona pokoju trwałego, który zależy nie od pewnych form użytecznych w danym miejscu i czasie, ale od ustawicznéj pracy wszystkich sił społecznych nad doskonaleniem stosunków wzajemnych.

Próby organizowania związków pomiędzy robotnikami rolnemi dotąd mało mają powodzenia, pomiędzy robotnikami fabrycznymi i rzemieślniczymi wszystko co się niedostraja do przeciętnego typu robotnika porządnego pozostaje po za związkami, wśród téj to ludności w Anglii znalazł się materyał gotowy do szerzenia propagandy socyalizmu w nowéj jego odmianie. Hasło do tego wyszło z Ameryki, podała go książka Henryka George. „Postęp i nędza“ od r. 1879 w stu wydaniach rozkupiona w Ameryce, a przedrukowana w Anglii w sześćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Trafił tu autor w czułą strunę—w punkt drażliwy ludności angielskiéj, wśród któréj nie ma małéj własności ziemskiéj, a własność wielka uprzywilejowana podaje obszerne pole do zarzutów przeciwko sobie. George uniewinnia kapitał tak zniesławiony przez socyalistów europejskich, a całą winę nędzy i cierpień biorących w niéj początek składa na prawo własności przyznane ludziom do ziemi, dowodząc, że renta przez właściciela pobierana pochłania cały przyrost bogactwa, wytwarzany ciągle przez mnożącą się ludność i udoskonalenia w przemyśle. Powstałe stąd hasło *znarodowienia ziemi* (*natiolisation of land*) burzy namiętności i znajduje chętny posłuch u ludzi, na których tak mało działało wzywanie do wojny z kapitałem. Cieszyli się publicyści angielscy z praktyczności swego narodu, który nie dawał do siebie przystępu złudnym marzeniom socyalizmu; ale praktyczność broni od ułudy bodaj tylko w sferze bezpośredniego działania człowieka, w tém kole, w którém się on styka z rzeczywistością. Ziemi lud nie posiada na własność, nie wié skąd się bierze renta, ani rozumie jéj znaczenia, dla tego wierzy z łatwością wszystkiemu co na jéj karb składają. Zasady liberalizmu prawdziwego wprowadzone do stosunków fabrycznych, dając robotnikom angielskim możność polepszenia bytu ułatwiły im zrozumienie tych stosunków, uspokoiły ich i uciszyły tak groźną przed laty burzę chartyzmu. Można mieć nadzieję, że całe społeczeństwo angielskie pozostanie wierném zasadom, które się dla niego tak dobroczynnemi okazały, a wprowadzając je w stosunki rolne i ożywiając nimi formy prawne własności ziemskiéj potrafi zapobiedz gromadzeniu się w swém łonie zbyt silnych potęg niszczących.

A. Oskierka.

ADAM FERDYNAND ADAMOWICZ

SZKIC BIOGRAFICZNY.

> Ten jest dobrym obywatelem, kto sobie położył za stale prawidlo: być wedle możności użytecznym społeczeństwu, do którego należy.
>
> *I. Klaczko.*

Uniwersytet Wileński prawie od chwili swego powstania zajaśniał niezwykłym blaskiem na horyzoncie naukowym kraju. Opieka księcia kuratora Czartoryskiego, gorliwe spółdziałanie rektorów Strojnowskiego i Śniadeckiego sprawiły, że ciało nauczające składało się ze wzorowych nauczycieli; a bogate zakłady ciągle wzrastające, odpowiadały ówczesnym wymaganiom nauki,

Znakomici uczeni w Europie zachęceni dostatecznem materyalnem uposażeniem i zabezpieczeni powagą, jaką uniwersytet otoczony został przez cesarza, przybywali do Wilna. Celniejsze katedry jeżeli nie były zajęte przez znakomitych polaków jak np. przez Jędrzeja Śniadeckiego, im były powierzane. Nauki wykładane przez nich, już to nowemi tory były prowadzone, już na szerszą skalę.

Wielu wprawdzie z wezwanych nieodpowiedziało pokładanym w nich nadziejom,—większość jednakże zjednała dla siebie niespożytą sławę; dla społeczeństwa zaś, wśród którego działalność ich rozwijała się, pozostawiła trwałą pamiątkę wychowując młode pokolenie uczonych polaków. Tym ostatnim dostało się w udziale podnieść poziom oświaty na Litwie i święty ogień nauki przechowywać w społeczeństwie przez długie lata.

Nie piszemy historyi Uniwersytetu, dla tego nawiasem tylko wspomnimy o wydziale lekarskim jako najbliżej dotyczącym zajmu-

jącego nas przedmiotu. W nowo uorganizowanym Uniwersytecie, pierwszą potrzebą okazało się założenie kliniki lekarskiéj i zaprowadzenie wykładów weterynaryi. Jak dbałym był Zarząd Uniwersytetu w wyborze profesorów, jak nie szczędził nakładu, dowód w wezwaniu Franków Piotra i Józefa z Wiednia słynnych klinicystów (na koszta podróży wysłano im 6.000 rubli) i Ludwika Bojanusa z Darmsztadu, jednego z najznakomitszych w Europie zoologów i anatomopatologów. Piotr Frank przybywszy do Wilna przystąpił do założenia kliniki chorób wewnętrznych, na wzór pawijskiéj i wiedeńskiéj przez niego również założonych. Był to mąż głośnéj sławy. Wilno przyjęło go w swych murach ostentacyjnie, a otwarcia kliniki dopełniono z wielką uroczystością (1).

Po dziesięcio miesięcznym pobycie opuścił Wilno, a kierunek młodziutkiéj kliniki wziął na siebie nie mniéj sławny syn Józef. Z objęciem kliniki przez Józefa Franka i wykładów przez tegoż Terapii szczegółowéj—wydział lekarski zaczął się najpomyślniéj rozwijać. Frank, zachęcając do samodzielnych badań tak profesorów jak i uczniów, ogłaszał zadania do nagrody, drukując lepsze prace w Dzienniku Wileńskim i Gazecie Literackiéj. Nic dziwnego przeto, że lat 18 zarządzając w ten sposób kliniką, postawił ją w rzędzie pierwszych tego rodzaju zakładów europejskich; co więcéj klinika wileńska przewyższała inne starannością i kosztownością (2). Wykład Franka, jak pisze jego biograf Adamowicz (3) był gruntownym i pociągającym a ten szczególny dar uczenia stawiał Franka między pierwszemi profesorami europejskiemi.

O Franku jako o plikologu wspomnimy poniżéj,—tu dodamy, że współcześni, jak Broussais, Bischoff, zarzucali mu wprowadzenie *dyatezy* do terapii. Tymczasem był to w istocie wybieg naukowy, uwalniający Franka od wykładów teoryi spekulacyjnéj, a prowadzący drogą praktyczną, która będąc dla słuchaczy bardzo dostępną, wzniecała w nich wstręt do wszelkiéj teoryi, lecz wiodła wprost do empirycznych spostrzeżeń.

Nie potępiał Frank jednakże teoryj lekarskich, przeciwnie—dowodził, że jeżeli nie w każdéj może być cokolwiek prawdy, z każdéj korzystać można nie wyłączając i błędów. Jednostronność uwa-

---

(1) Baliński—Dawna Akademia Wileńska str. 398 i n.

(2) Gąsiorowski—Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce tom III, str. 74. Rudomina—Żywot Hieronima Strojnowskiego, a także odpowiedź tegoż na recenzyą w Przyjacielu ludu z r. 1840. N. 32, umieszczoną w wizerunkach i roztrz. nauk. poczet II tom V.

(3) Adamowicz—Rimembranza r. 1843 str. 149, 150.

żał za szkodliwą, a średnią drogę często za najlepszą: *medium tenuere beati*. Obserwacye dawnych klasyków wielce cenił (1). Fryderyka Hoffmanna zalecał uczniom dla studyów, jako najodpowiedniejszego przy obserwacyi chorób na Litwie. Sydenhama zaś polecał ze względu obserwacyi nad chorobami panującemi,—ojca zaś swego Jana Piotra stawiał za wzór klinicysty (2).

Rozpisując się obszerniéj o teoryi Franka, mieliśmy na uwadze tę okoliczność, że teorya powyższa przyjęła się na Litwie i stała się własnością, z niewielkiemi modyfikacyami, wszystkich prawie lekarzy z epoki Uniwersytetu i późniejszéj Akademii Medyko-Chirurgicznéj.

I przybycie Bojanusa (1806 r.) do Wilna poprzedziła głośna sława, lecz w początkach nie sprostał Frankom. Miejscowe okoliczności paraliżowały dobre chęci sławnego lekarza. Weterynarya bowiem za owych czasów mało była znaną na Litwie. Poprzednicy Bojanusa jak np. Gilibert i X. Jundziłł, jakkolwiek oceniali ważność nauk weterynaryjnych dla kraju, jednakże w pracach swoich tylko z lekka dotykali tego przedmiotu. Znalazł przeto Bojanus dla siebie grunt nieprzygotowany. Brak ukształconych pomocników, którzyby oprócz nauki posiadali jeszcze jako warunek konieczny język polski, sprawiły, że na otworzenie szkoły weterynaryjnéj, biorąc rzeczy ściśle, musiał czekać aż do r. 1823. Ci dwaj sławni cudzoziemcy a z Polaków Jędrzej Śniadecki, wpłynęli przeważnie na karyerę naukową Adamowicza; pod ich kierunkiem kształcił się i wreszcie zastępcą ich i przedstawicielem w późniejszéj epoce pozostał (3).

---

(1) Adamowicz, l. c. str. 149.

(2) Adamowicz, l. c. str. 149 i 150.

(3) Dopóki nie będziemy mieli historyi Uniwersytetu Wileńskiego i powstałéj późniéj Akademii Medyko Chirurgicznéj, marzyć nie możemy o dokładnéj biografii męża takiéj niepośledniej zasługi jakim był Adam Ferdynad Adamowicz. Należałoby przedewszystkiém przedstawić dokładny obraz społeczeństwa i napisać dzieje rozwoju nauk na Litwie w pierwszéj połowie bieżącego stulecia. Tymczasem historya Uniwersytetu zaledwie została rozpoczętą, a o Akademii jeżeli wyłączymy sprawozdania urzędowe, panuje najzupełniejsze milczenie. Do historyi téj Akademii znam tylko źródła następne: 1) Collectanea medico-chirurgica. Vilna, 1838. 2) Opisanie statystyczne m. Wilna. Baliński, 1835. 3) Gąsiorowski—zbiór wiadomości itd. tom III.

Mamy wiadomości że z polecenia Zarządu Uniwersytetu mieli się zająć spisywaniem Historyi, Stanisław Jundziłł, Kontrym i Eichwald.

Fragmenta Jundziłła drukowało „*Pismo zbiorowe Wileńskie*" z r. 1859. Kontryma papiery przeglądałem, lecz oprócz planu jak należy przystąpić do pisania historyi Uniwersytetu, spisanego na jednym arkuszu, żadnych materyałów nie znalazłem. O Eichwaldzie nie wiem czy co pisał i drukiem ogłaszał (ob. Estreicher. Bibliografia polska XIX stulecia tom I str. 455 i n.).

Niepowetowana szkoda że wzmiankowani uczeni mając w swém rozporządzeniu materyały dziś niedostępne, nie wywiązali się należycie z zaszczytnego polecenia.

I.

Adam Ferdynand Adamowicz (1) urodził się dnia 6 grudnia 1802 r. Wilnie. Ojciec Józef pochodził z Królewca, matka Zofia Jocherówna z Gdańska (2). Wychowany w niezamożnym domu rodzicielskim, wcześnie się przejął głębokim uczuciem prawdziwego poświęcenia się dla dobra bliźnich; zasada ta zaszczepiona przeważnie przez matkę, towarzyszyła mu w ciągu całego życia aż do grobu. W dzieciństwie już zajmowała go budowa roślin, rysunek szczególniej topograficzny, kaligrafia i muzyka, któremi się i ojciec jego, niegdyś nauczyciel szkół publicznych, zajmował. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pierwszemi przewodnikami w młodociannych latach, oprócz światłych rodziców, byli tacy ludzie jak: Tomasz Zan, Lach Szyrma i Kaczkowski. Umysł dziecka przy zręcznem pokierowaniu szybko się rozwijał; nic dziwnego przeto, że w Gimnazyum wileń-

---

Dopiero Michał Baliński swojemi pamiętnikami o Janie Śniadeckim przyczynił się nie mało do wyświetlenia życia wewnętrznego tej sławnej Instytucyi

O pamiętnikach Onacewicza i odnośnych pracach Lelewela wspomnimy poniżej. Najcenniejszém ze źródeł do historyi Uniwersytetu są bez wątpienia *Pamiętniki Franków* ojca i syna, spisywane przez Józefa przeważnie w Karlsbadzie u doktora Carro i tam pozostawione. Hr. Tyzenhaus kupiwszy je ofiarował Cesarskiemu Towarzystwu lekarskiemu wileńskiemu.

Żałować przychodzi, że tak cenne dzieło spoczywa ukryte. Bodajby nie przyszło do tego, że nim Towarzystwo zdecyduje się zrobić z nich użytek publiczny to i pamiętników nie stanie. Z sześciu tomów własnoręcznie spisywanych przez Józefa Franka, jeden już zaginął bez śladu Strata to niepowetowana bo kopii nie ma. W tym właśnie tomie zapisaną była historya Uniwersytetu za rektoratu Pelikana, odegrywającego tak wybitną rolę w owych czasach.

Gdyby nie dobra wola Dominika Chodźki (Przegląd Europejski 1863 r. NN. 8, 13) i Homolickiego („Na dziś"—1872 r. wydawca Kirkor), o pamiętnikach albo nic, albo nie wielebyśmy wiedzieli. Szczególniej streszczenie pamiętników przez Homolickiego opatrzone notami wydawcy Kirkora, jest cennym przyczynkiem, chociaż nie dającym o całości dokładnego pojęcia.

Towarzystwo lekarskie może jeszcze oddać przysługę społeczeństwu, ogłaszając drukiem pozostałe pięć tomów; a zdarza się jak raz po temu sposobność bo 80-letnia rocznica istnienia Towarzystwa.

Publikacya ta będzie z jednéj strony wyrazem hołdu złożonego pamięci Franka z drugiéj dowodem że Towarzystwo, tak słynne niegdyś w Europie nie wegetuje tylko ale żyje i działa.

(1) Neugebauer Ludw. Adolf dr. Adam Ferdinand Adamowicz nach schriftlichen Mittheilungen des Herrn dr. Hipolit Kozlowski in Wilna und anderweitigen Quellen biographisch dargestellt. (odbitka z Leopldin. XVIII). Dresden Druck von E. Blochmann Sohn 1882. 4 o str. 6.

(2) Tygodnik Illusrtowany, 1863, VIII. 497; 1868. II. 37.—Kłosy 1872. N. 355 — Słownik lekarzów polskich Kośmińskiego str. 3 i następne.

skiém powszechną zwracał uwagę nauczycieli, celując wielkiemi zdolnościami i nadzwyczajną pracowitością. Naukom filologicznym oddawał się z wielkiem zamiłowaniem. Będąc uczniem 5-éj klasy napisał drobną broszurkę: *An Socrates cicuta necatus fuerit* (1817 r.). Był to pierwszy przykład drukowania w Wilnie rozprawek uczniów gimnazyalnych. Rozprawy téj bronił pod kierunkiem St. Czerskiego przeciw zarzutom prof. Grodka słynnego filologa i prof. botaniki Spitznagla. Dowodził w niéj Adamowicz że dla tego Sokrates otruty był cykutą (*cicuta virosis*), że domieszany był do niej makowiec (*opium*).

Podczas pobytu Adamowicza w gimnazyum, niejednokrotnie odwiedzał uczących się i egzaminował rektor Uniwersytetu Jan Śniadecki. Egzamina te przeważnie z geografii i zoologii, prowadzone były w nieznany dotychczas sposób. Kazał np. rektor któremu z uczniów odbywać podróż (po sali) z jednéj części świata do drugiéj, opisywać szczegółowo najdalsze wyspy, ich mieszkańców, zwierzęta itp. Swemi pytaniami i objaśnieniami bardzo zaciekawiał młodzież; starszym uczniom przy tłómaczeniu mów Cycerona, zadawał często oderwane pytania.

Przy takim systemie nauczania, przy ogólnym naówczas rozwoju nauk w Wilnie, Adamowicz świetnie ukończył szkoły. W 1818 r. zapisał się na wydział Fizyko-Matematyczny i po otrzymaniu stopnia kandydata filozofii w r. 1819, przeszedł na wydział lekarski. Epoka ta, o którćj należałoby bardzo dużo mówić aby dokładnie wyjaśnić doniosłość i wpływ jéj na późniejszy lecz niedaleki już okres czasu, przedstawia stadyum najwyższego rozwoju naukowego w Wilnie. Jakkolwiek pomiędzy starszyzną uniwersytecką zdarzały się kwasy i częste nieporozumienia, nie zawsze dobro ogółu, lecz przeważnie prywaty mające na celu;—a między młodzieżą nurtowały prądy dla niektórych podejrzane—jednakże nie dawały one naówczas ujemnego rezultatu. Mam tu na myśli Filomatów i Filaretów (1).

Przewodnikami Adamowicza w okresie jego studyów od 1818 do 1821 r. byli następujący profesorowie: Jędrzej Śniadecki wykładał Chemię, Stanisław Jundziłł Botanikę i Zoologię; Ferdynand Spitznagel wykładał Terapią ogólną i Materyą lekarską; August Becu Patologią i Hygienę—a Józef Frank prowadził klinikę chorób wewnętrznych, wykładając równocześnie patologią i terapią szczegółową. Ludwik Bojanus wykładał weterynaryą i zajmował się młodziutką naówczas Anatomią patologiczną. Mikołaj Mianowski wykładał Aku-

(1) Filareci i Filomaci. List Ignacego Domejki Poznań. 1872.

szeryą i choroby kobiece, był przytém dziekanem wydziału lekarskiego po śmierci Lobenweina 1820 r.

Lobenwein Jan Andrzej, jako pierwszorzędny uczony anatom, wiele wpłynął na wykształcenie anatomiczne Adamowicza swemi wykładami, które prowadził prywatnie we własném mieszkaniu dla niewielkiej liczby wybranych.

Fizyologią wykładał Michał Homolicki, a chirurgią tyle głośny późnićj ostatni rektor Uniwersytetu Wacław Pelikan.

Adamowicz będąc na 3 im kursie medycyny, przetłómaczył z niemieckiego broszurę Bernarda: *O płodności hypospadaryuszów* (1). Na czwartym kursie, nie ustając w gorliwości zajmowania się naukami, był używanym przez Franka, jako tłómacz dla tych chorych, którzy po polsku nie umieli a przy łóżku których prowadził Frank kliniczne wykłady. Liboschütz, jeden z najwięcéj wziętych ówczesnych praktyków (2), polubił bardzo Adamowicza, rad brał go z sobą do swych pacyentów na mieście i wtajemniczał w niektóre osobliwości chorobne, ostatecznie przez ówczesną naukę niezdeterminowane, a tylko przez więcéj utalentowanych lekarzy—praktyków odgadywane.

Otrzymawszy stopień naukowy kandydata medycyny, a wreszcie magistra (1822 r.), w drodze konkursu został pomocnikiem profesora anatomii porównawczéj. Liboschütz i inni wiedząc, że jest niezamożnym, doradzali aby porzucił drogę naukową, do jakiéj się przygotowywał, a zajął się raczéj praktyką. Lecz Adamowicz jakkolwiek wielką miał skłonność i zamiłowanie do praktyki, niepomny na przeróżne trudy, zawody, mimo ciągłéj a usilnéj pracy, za które, przy najlepszych warunkach, może zyskać tylko pamięć u potomnych,—nie chwycił się sposobu łatwego naówczas wzbogacenia się, bo dobrych lekarzy było nie wielu, aby zapewnić tą drogą przyszłość bezpieczną i od wielu trosk wolną;—przeciwnie, z podwójnym odtąd zapałem rzucił się do mozolnych studyów naukowych i z raz obranéj drogi nie zboczył przez cały okres długiego życia.

Gdy w r. 1821 Uniwersytet ogłosił konkursa do różnych katedr wydziału lekarskiego, wówczas książę kurator i prof. Bojanus z in-

---

(1) Pamiętniki Towarzystwa lekarskiego wileńskiego T. II. str. 313. Myśli o możności zapładniania mężczyzn zwanych *hypospadiae*, we względzie lekarsko sądowym przez dokt. Jana Bernarda (tłómaczenie z niemieckiego).

(2) Józef Frank niesłusznie i bardzo stronnie wspomina o Liboschützu w swoich pamiętnikach (Przegląd Europejski 1863. N. 9 str. 510). Że zaś i o innych mężach, skąd inąd znanych i cenionych, jeżeli nie z lekceważeniem, to bardzo stronnie a rzadko korzystnie wyraża się, przeto na te część pamiętników należy się krytycznie zapatrywać.

nymi uznali Adamowicza za godnego do przyszłéj profesury medycyny weterynaryjnéj, nie tylko dla kończących medycynę studentów, lecz i dla weterynarzy. Dotąd bowiem nie było ani szkoły ani instytutu osobnego dla weterynarzy praktycznych, tylko uczony wykład po łacinie dla lekarzy i umiejętne kucie koni dla użytku obywateli miejskich i wiejskich. Od r. 1822 zajął się Bojanus z polecenia Uniwersytetu kształceniem Adamowicza, na przyszłego profesora zootomii i weterynaryi; przewodniczył mu w dysekcyach zootomicznych i weterynaryjnych. Przez lat trzy dni i noce z nim przepędzał, wydoskonalając w rzeczonych przedmiotach.

Wspomnieliśmy powyżéj, że Bojanus na założenie szkoły weterynaryjnéj musiał czekać aż do r. 1823. W dniu 15 września t. r. ujrzał ziszczony dawny swój projekt przy pomocy Adamowicza. W nowo otworzonéj szkole wszystkie gałęzie téj obszernéj i ważnéj nauki zaczęły być wykładane w języku polskim. Ponieważ śladu nie pozostało z tych murów, gdzie mieściła się szkoła weterynaryjna, lub téż to co pozostało ma dziś inne przeznaczenie, a w Pamiętnikach o Janie Śniadeckim (t. I. str. 469, 496) tylko wzmiankę znajdujemy, przeto, z okazyi że tam Adamowicz zaczął stawiać pierwsze kroki jako profesor,—pozwalamy sobie przytoczyć wyjątek z autografu profesora, opisujący ową szkołę w takim stanie, w jakim była w owe czasy.

„Gdy ustawy Uniwersytetu, pisze Adamowicz, wymagały katedry weterynaryi, a ją otrzymał przez konkurs Bojanus i przybywszy w roku 1806 nie mógł być dla kraju użytecznym bez zakładu osobnego, przeto mury Spaskiéj cerkwi w 1805 r. na seminaryum katolickie przeznaczone, a nie stosowne, obrano na ten cel. Czynił trudności biskup unicki Brzeski dowodząc że tylko mury metropolity a nie cerkiew była oddaną przez cesarza Aleksandra I uniwersytetowi. Jednak Śniadecki Jan załatwił tę sprawę. Zasięgnął bowiem zdania Bojanusa i Lobenweina oraz architekta Szulca. Podał projekt 1807 r. aby anatomią ludzką osadzoną w murach Collegii medici niewygodnie i nie zdrowo przenieść z prof. Lobenweinem do Spaskiéj cerkwi i tam razem z anatomią zwierząt założyć na ustroniu. Cesarz zgodził się na ten projekt 1808 r. (ukazem) a klasztor Augustyanów na seminaryum zamienił.“

„Kościół Spaskiéj cerkwi zamknięty był w obwodzie murów metropolitalnych, ale pusty; była wieża przy cerkwi i ruiny dwóch pałaców metropolity unickiego. Szulc, Bojanus i Lobenwein podali taki plan: 1) Przerobić mury cerkwi na dwa zabudowania osobne, oddzielone murem środkowym od fundamentów prowadzonym, a do frontu nie dochodzącym: jedno z tych zabudowań z prawej strony

przeznaczyć na weterynaryą, z drugiéj, lewéj na anatomią ludzką. Od frontu mają być dwie sale na dole oświecone z góry, każda z amfiteatrem, na lekcye i demonstracye publiczne. 2) Za każdą izbą będzie izba do prosekcyj anatomicznych. 3) Dwie izby wielkie na laboratoryum dla uczniów zajmujących się lekcyami. 4) Dwie kuchnie obszerne z pompą i kanałem podziemnym do Wilenki, tuż przy dawnym obwodzie wałów miasta. 5) Składy ziemne na trupy do lekcyj. 6) Mieszkania 2-ch prosektorów i 2-ch stróżów. 7) Trzy sale na piętrze od frontu nad amfiteatrami i nad sienią z paradnemi wschodami. Sala środkowa największa z jedném oknem półkolném nad wejściem od ulicy, była z początku przeznaczoną na posiedzenia publiczne, potém na preparata kostne zwierząt, a nakoniec na gabinet zoologiczny; dwie sale boczne na zbiory anatomiczne, a przy nich dwie mniejsze izby na preparata zootomiczne i na skład szkła. Na przyległym dziedzińcu, w tak zwanym pałacu metropolity większym, wybudowano klinikę weterynaryjną z apteką, składami, mieszkaniami dla uczniów weterynaryi a późniéj adjunktów. W murach pałacu metropolitalnego mniejszego, było mieszkanie profesorów, a na dole kuźnia weterynarska i składy, oraz klatka na kucie koni, obok wozownia. Z tyłu cerkwi rajtszula, z salą do sztuk gimnastycznych, która późniéj zamienioną została na blech do bielenia kości, przytém mieszkanie dla berejtera i stajnie na konie manażowe“.

Połączenie w jedném zabudowaniu anatomii ludzkiéj i zwierzęcéj—miało ten ważny dla uczących i uczących się pożytek, że można było porównywać równocześnie organizm zwierząt i ludzi, wydoskonalając się w historyi naturalnéj, medycynie i weterynaryi. Istotnie nigdzie nie było w Europie takiego zakładu wygodnego i porównawczego jak w Wilnie, co kosztowało 50.000 rs. (Adamowicz), nie licząc dodatków i murów gotowych.

Sprężyną tego był Bojanus, lecz w tém chybił, że nie postarał się wcześnie o dobrych profesorów, a przynajmniéj pomocników polaków; może być, że brak funduszów był główną przyczyną, lecz to najprawdopobniejsze, że brak ochotników. Na to ostatnie składało się wiele momentów, lecz się nie omylę, jeżeli dodam, że pogarda, z jaką w początkach traktowano anatomią i weterynaryą, najwięcéj się przyczyniła po sparaliżowania tego przedsięwięcia.

II.

Adamowicz po obronieniu obszernéj rozprawy o patologii porównawczéj w dniu 30 maja 1824 r., pod skromnym tytułem: *Conspe-*

ctus morborum, otrzymał stopień doktora medycyny. Rozprawa ta zwróciła na siebie uwagę w kraju i zagranicą, torując ostatecznie drogę do katedry po Bojanusie, który będąc już chorym w dniu 24 września 1824 r. opuścił na zawsze Wilno (1).

Rok ten 1824 był klęską dla Wilna i nauk niepowetowaną. Z przyczyn, o których Baliński mówić nie chce (2), pozostawiając wyjaśnienie historykowi uniwersytetu, książe-kurator tyle zasłużony dla oświaty na Litwie, a szczególniéj dla uniwersytetu usunął się (3). Śniadecki Jan otrzymał uwolnienie (4), Frank Józef także nie mogąc pogodzić się z ówczesnemi prądami, nurtującemi w Uniwersytecie w dniu 24 czerwca 1823 opuścił Wilno (5), Bem i Groddeck zmarli. Słowem rok ten zbyt był fatalnym, aby nie zaciążył na dalszém życiu uniwersytetu. Pod smutną tedy wróżbą rozpoczynał swą karyerę naukową Adamowicz. Pragnąc jednakże godnie odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu, zajmując miejsce po takim człowieku jak Bojanus, który pracami swemi szczególniéj dokonanemi w Wilnie, jak np. wypracowaną i ogłoszoną anatomią żółwia (6) szeroko zasłynął w świecie naukowym—postanowił wydoskonalić się w naukach weterynaryjnych, zwiedzając ważniejsze zakłady na początek rosyjskie.

Dnia 15 maja 1825 r. opuścił Wilno i udał się do Dorpatu, Petersburga i Moskwy. Rozprawa inauguralna (7), znana zaszczytnie w Europie i ta okoliczność, że był uczniem Bojanusa, wysoko cenionego przez wszystkich uczonych—były powodem gorącego przyjęcia, jakiego doznał Adamowicz od uczonych profesorów. W Moskwie poznajomił się z prof. Bunge, który podobnie jak i Adamowicz studyował jednocześnie medycynę ludzką i zwierzęcą, kolejno zajmując katedry weterynaryi i kliniki chorób wewnętrznych ludzkich.

Co było wówczas jeszcze rzadkością w Europie, widział już Adamowicz w Wilnie, albowiem i Jan Piotr Frank i późniéj już za

---

(1) Adamowicz: „Ludwik Bojanus". Wizer. i roztrz. nauk. 1836. XI.

(2) Baliński: „Pamiętniki o Janie Śniadeckim", t. I, str. 871 i n.

(3) Lelewel: „Polska, dzieje i rzeczy jéj", t. XII.

(4) Baliński, l. c. Adamowicz: „Wspomnienie o Pelikanie", drukowane po rosyjsku w Protokułach cesarsk. towarz. lekarsk. wileń. rok 1873, str. 131 i n.

(5) Adamowicz: „Józef Frank"—Rimembranza, str. 21.

(6) Anatome testudinis europeae. Vilna 1819, 1821. 31 tabl.—Estreicher: Bibliogr. polska XIX stolecia, t. I, str. 129.

(7) Dissertatio inauguralis medico-veterinaria morborum inter animalia domestica observatorum, indicem et signa exhibens, adnexa synonymia germanica, gallica, russica et polonica. Vilnae 1824, str. 132.

czasów jego Bojanus uprawiali z jednakową gorliwoślą oba te działy nauk lekarskich.

W Moskwie wybranym został na członka *Towarzystwa badaczów przyrody*. W Dorpacie i Petersburgu starannie zwiedzał zakłady i skrzętnie notował to wszystko, co w dalszéj naukowéj karyerze, a szczególniéj profesorskiéj ważnem by się okazać mogło.

Powróciwszy do Wilna, rozpoczął lekcye anatomii i patologii porównawczéj dla studentów medycyny i posiłkując się doświadczonemi radami znakomitego Jędrzeja Śniadeckiego, rozpoczął szereg licznych poszukiwań i doświadczeń w klinice weterynaryjnéj. Gdyby jednak na nich poprzestał, byłby w połowie zadania; Adamowicz poszedł daléj: doświadczenia te zaczął zastosowywać do medycyny ludzkiéj. Lekarze jednozgodnie muszą przyznać, że podobnego rodzaju poszukiwania są doniosłéj wagi. Dzieło wydane w Wilnie w 1838 r. pod tytułem: *Collectanea medico - chirurgica*, jest pracą zbiorową, lecz przeważnie owocem studyów przedsiębranych w wyżéj oznaczonym kierunku przez Adamowicza.

W tymże roku 1825 dnia 15 listopada wybrany został na członka *Towarzystwa Wileńskiego lekarskiego*. Młodemu profesorowi nie przychodziły z łatwością wykłady w języku polskim. Wypadło mu tworzyć terminologią. Wiadomą jest rzeczą, że wykłady w Uniwersytecie Wileńskim prowadzone były z początku po łacinie. Poczobut języka polskiego nie lubił jako upośledzającego godność nauk (1); Frank go nie znał w początkach, a do końca pobytu w Wilnie odzywał się, że tylko w języku łacińskim winny być wykładane nauki lekarskie, chociaż-by dla tego, aby uniknąć zamieszania z różnego mianowania chorób i indywidualnego zapatrywania się na symptomata chorobowe - wypływajacego. Lecz Jędrzej Śniadecki a póżniéj Jan, zasadzając się już to na ustawie uniwersyteckiéj, już z głębokiego przekonania, że język polski w zupełności może zastąpić łacinę—dzielnymi byli pionierami na téj drodze. Adamowicz władał językiem polskim jako polak bez zarzutu, dowodem czego są dzieła, które się pojawiły w druku przed r. 1830, lecz terminologią weterynaryjną stwarzać musiał. Dbały przez całe życie o czystość języka strzegł się neologizmów, aby nie wprowadzać wyrazów napstroszonych, dziwacznych, sprzecznych z duchem języka, a sekretem tego było zatrzymanie wyrażeń łacińskich w tych wypadkach, gdy takowe nie dawały się spolszczyć.

Dzieła Adamowicza przed 50-u laty pisane nie wiele się różnią pod względem terminologii od dzisiejszych,—najlepszy to dowód, że

(1) Adamowicz.— z Autografów.

zrobił dużo w tym kierunku; pod względem jasności nic nie tracą i z wielką korzyścią dla studyujących te umiejętności mogą być używane.

Ażeby faktami poprzéć powyższe dowodzenie, dość będzie zacytować dzieło *O kuciu koni i chorobach kopyt*, 8-o, część 1-a, 1827 r., część 2-a 1828, z sześciu tablicami rysunków, podług preparatów zootomicznych Laupmana, w druk. Zawadzkiego. Niektóre egzemplarze z r. 1827 przez omyłkę drukarską wyszły pod tytułem Laupmana zamiast Adamowicza. W tymże czasie wydał: *Nazwania wewnętrznych części ciała końskiego.* 1829. Glücksberg, 1 tabl. rycin.

W 1828 r., dnia 5 stycznia został pomocnikiem prefekta „Instytutu lekarskiego". O początku i rozwoju téj tak pożytecznéj instytucyi, jaką był bezwątpienia Instytut lekarski, znajdujemy wzmiankę w cytowanéj powyżéj biografii Franka.

Niedostatek lekarzy cywilnych, pisze Adamowicz, i wojskowych, oraz usilna chęć wywdzięczenia się i wynagrodzenia choć w części krajowi wielkich kosztów łożonych na uniwersytet, pobudziły Franka do chwalebnéj myśli ukształcenia lekarzy kosztem skarbu. W tym celu podczas powtórnéj bytności w Petersburgu (latem 1806 r.), zasięgnąwszy tamże rady doświadczonych mężów, wyjednał u tronu założenie Instytutu lekarskiego i wybrany został tegoż Instytutu prefektem dnia 23 marca 1807 r. Nowe te obowiązki spełniał z największą gorliwością, nawet bezpłatnie. Przy pierwszém rozwinięciu tak użytecznego zakładu, na niezliczone natrafiał trudności: musiał albowiem pierwotną w krajowcach odrazę do medycyny przełamywać; rozmaitemi sposobami zachęcać (1); niedostateczną nawet w początkach wypłatę na utrzymanie 20-u zrazu uczniów z własnych funduszów zastępować. Tak więc za staraniem Franka znajdowało się coraz więcéj ochotników, iż zamierzona 50 skarbowych uczniów liczba po kilku leciach uzupełnioną, a nareszcie do 100 pomnożoną została. Gorliwie się przykładał do zaopatrzenia uczniów w książki i narzędzia dysekcyjne, a nawet za jego radą doskonałego majstra narzędzi chirurgicznych Malliard'a z Wiednia sprowadzono.

W dniu 4 grudnia 1828 r. zatwierdzony został Adamowicz adjunktem uniwersytetu, które to obowiązki pełnił dotychczas zastępczo. Na kilka miesięcy przedtém wstąpił w związki małżeńskie z Eweliną Zborowską, córką skarbnika nadwornego litewskiego. Była to osoba bardzo wykształcona i pod tym względem dorówny-

---

(1) Discours à l'ouverture de l'Institut des éleves en médecine entretenus aux frais de la Couronne auprès l'Univ. Imp. de Vilna. 1809. Sept. 16.

wała mężowi. Wspominaliśmy powyżéj, że Adamowicz pragnął zawsze zwiedzić zakłady naukowe zagraniczne w celu bliższego zapoznania się z postępem umiejętności, którym się poświęcał; otóż w d. 3 sierpnia 1829 otrzymawszy uwolnienie od obowiązków pomocnika prefekta instytutu lekarskiego, puścił się w trzyletnią podróż po Europie wraz z małżonką. Dla tak przygotowanego pod względem naukowym, jakim był Adamowicz, przy takim wrodzonym zmyśle obserwacyjnym, podróż ta była wysoce pouczającą; zważywszy prócz tego, że nic nie uszło jego uwagi, a co było godném pamięci skrzętnie zapisywał,—żałować przychodzi, że praca ta pozostała dotąd w rękopiśmie. Z notatek Adamowicza dowiadujemy się, że między innemi rękopismami, o których poniżéj wspomnimy, przesłany został ś. p. Girsztowtowi: *Dziennik podróży naukowéj i noty podróżne Adamowicza od r. 1829—1832 z planami, kopiami rycin, itd.*

Z Wilna udał się do Galicyi, gdzie dłuższy czas przebywał, obserwując panujący tam podówczas księgosusz. We Lwowie bawił krótko, zwiedził tylko Uniwersytet i niezwłocznie wyjechał do Węgier. W Peszcie zwiedzał bibloteki, czyniąc w nich naukowe poszukiwania.

W Wiedniu, gdzie na dłuższy czas przybył, z całém zapałem poświęcił się badaniom naukowym, a przewodnikami jego byli sławni lekarze specyaliści jak Jäger okulista, Czermak fiziolog. Na lekcye znakomitego Bischoffa, wykładającego w Iosephinum, pilnie uczęszczał. Nad anatomią praktyczną pracował wspólnie ze słynnym Rombergiem w *Allgemeines Krankenhaus.* Przy Instytucie weterynarskim wiedeńskim zamieszkał czas niejakiś i tu oddał się mozolnym studyom, pragnąc stanąć na wysokości zadania i największą korzyść z téj podróży osiągnąć. Opuściwszy Wiedeń przeniósł się do Salzburga, a ztąd pośpieszył do Monachium, aby uczęszczać na wykłady anatomii porównawczéj słynnego Ockena. Nazwisko to nie było obcem Adamowiczowi, albowiem pracując wspólnie z Bojanusem nad preparatami anatomicznemi: *o tworzeniu się błony doczesnéj* (1) spotkali w Ockenie zaciętego przeciwnika téj teoryi. Ocken przyjął Adamowicza serdecznie, jakby dawnego znajomego, wprowadził w koło ówczesnych powag naukowych i zapoznał między innemi z słynnym naturalistą Agassizem. Prócz nauk lekarskich, uprawiał jeszcze Adamowicz filozofią, słuchając takowéj na wykładach Schellinga.

---

(1) Isis. 1821, tom VIII.—Neugebauer L. A. Akuszerya t. I. p. 523. Dzisiejsze pojęcia *o błonie doczesnéj*, z uwzględnieniem dawniejszéj literatury tego przedmiotu, bardzo przystępnie są wyjaśnione.

Przez Carlsruhe i Stuttgard przybył do Paryża, a będąc zaopatrzonym w listy rekomendacyjne do Cuvier'a, zapoznał się z nim i pod jego kierunkiem studyował muzea w Jardin des Plantes. W wolnych chwilach korzystał ze znajomości z Cuvier'em i na sobotnich zebraniach u tego nieśmiertelnego badacza bywał, spotykając się tam i zaznajamiając ze wszystkiemi znakomitościami naukowemi i literackiemi. Studya nad naukami przyrodniczemi nie przeszkadzały uczonemu polakowi zajmować się rozmaitemi naukami medycyny praktycznéj. Kliniki i szpitale były dla niego otwarte. Na wykłady Chomela, Dupuytrena, Broussais'go i innych pilnie uczęszczał, notując rzeczy co ważniejsze. Bywając na wykładach Cuvier'a w College de France, skorzystał późniéj z nich, uzupełniając licznemi dodatkami przekład polski dzieła Cuvier'a: *Historya nauk przyrodniczych*,—a dopełnienia te, rzeczy krajowe głównie miały na celu.

O analogii w budowie organów zwierzęcych, a zatém o przedmiocie, któremu lat już tyle oddawał się Adamowicz, miał sposobność słyszéć w Instytucie francuskim. Humboldt bowiem zdawał sprawę ze swych wypraw naukowyeh, a Cuvier z Geofroi de St.-Hilaire przedmiotowi temu specyalne rozprawy poświęcali.

Ażeby żadnego dnia bez korzyści nie spędzić, zwiedzał Adamowicz zakłady obłąkanych w Charenton i słuchał wykładów Esquirol'a o chorebach umysłowych.

Pobyt jego w Paryżu miał jeszcze donioślejsze znaczenie ze względu na teoryą kołtuna, w którą wierzył jako Litwin i jako uczeń Franka. Gdy na posiedzaniu Towarzystwa lekarskiego pod przewodnictwem znakomitego Larreya odbywającém się, przedstawil kołtun przywieziony z sobą, a zebrani członkowie, po pilném zbadaniu zawyrokowali, że to nie żadna swojska choroba, a tylko przypadkowe zlepienie się włosów, Adamowicz zachwiał się w dotychczasowych poglądach i za powrotem do kraju, przeważnie w tym kierunku rozpoczął badanie, aby dojść prawdy.

Przed wyjazdem z Francyi dłuższy czas przepędzał w Alfort, i tam całkowicie poświęcił się zbadaniu Szkoły weterynaryjnéj.

W Niemczech zwiedzał rozmaite uniwersytety, słuchając wykładów najznakomitszych ówczesnych profesorów i wchodząc zarazem w stosunki naukowe i przyjazne z takiemi powagami jak Blumenbach w Getyndze, Rudolphi w Berlinie, Carus w Dreznie, wreszcie, jak to już wzmiankowaliśmy, Ocken w Monachium.

Podczas swego pobytu w Berlinie, wybrany został na członka *Towarzystwa do podniesienia nauk przyrodzonych* w 1831 r.

Po wydrukowaniu rozprawy: *Ueber den Gebrauch des Brechweinsteins* w Busch'a: „Zeitschrift für die Thierheilkunde“ 1831, Marburg, i *Notizen zur Veterinärlitteratur*, wybrany został na członka rzeczywistego *Hesseńskiego Towarzystwa przyrody* d. 31 stycznia 1831 roku.

W Dreznie pracował nad anatomią porównawczą, studyując zbiory Carusa. W tym czasie (5 listopada 1831 r.) wybrany został na członka: *Towarzystwa nauk przyrodzonych i lekarskich*. Wydrukowawszy u Barthold'a „Beyträge zur Physiologie“, Götingen 1832, rozprawy: *Etwas ueber den Weichelzopf*, na początku 1832 roku przez Królewiec powrócił do Wilna.

III.

Bolesne nad wyraz zmiany czekały Adamowicza za powrotem do Wilna, dokąd przybył w styczniu 1832 r. Uniwersytet zamknięty, dawni jego profesorowie albo byli rozproszeni, albo legli w grobie, a znajomych i przyjaciół, również się nie doliczył. W pół roku potém wyszedł ukaz cesarski z dnia 31 lipca 1832 roku (1), mocą którego dawniejszy wydział lekarski zamieniony został na cesarską akademią medyko-chirurgiczną. Między wykładającymi okazał się tylko jeden, który używał europejskiéj sławy, a tym jedynym był Jędrzej Śniadecki. Podczas podróży po Europie Adamowicz główną uwagę zwracał na szkoły weterynaryjne, a szkoła w Altorf najwięcéj odpowiadała duchowi czasu i postępowi nauk, przeto przygotował plan na jéj wzór, z zamiarem wprowadzenia go w życie. Lecz postać Wilna zbyt była zmienioną, aby możebném było jakiekolwiek reformy zaprowadzać, przeto pochowawszy w głębi serca wiele projektów i planów, zajął się leczeniem chorych w szpitalu wojskowym, dokąd był naznaczony natychmiast po przybyciu do Wilna.

Dnia 1 września zaliczony został do składu ciała nauczającego w akademii i rozpoczął wykłady z epizoocyologii i anatomii porównawczéj dla studentów medycyny; dla uczniów zaś weterynaryi wykładał patologią, terapią i prowadził klinikę terapeutyczną zwierzęcą.

W skutek rozporządzenia konferencyi akademii z 7 sierpnia 1833 roku, wykładał nadetatowo fiziologią, hygienę i naukę o zewnętrznych częściach zwierząt.

---

(1) Baliński: Opisanie statystyczne miasta Wilna, 1835 r., str. 68.

Dnia 18 czerwca 1834 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a 6 października 1835 r. zwyczajnym. W zimowém półroczu 1837/8 prowadził klinikę chorób wewnętrznych w zastępstwie chorego Śniadeckiego.

W tym okresie czasu, tj. od objęcia katedry w akademii, aż do czasowego prowadzenia kliniki terapeutycznéj, Adamowicz dużo pisał i drukiem ogłaszał (1). Należał on podówczas do najcelniejszych przedstawicieli ruchu umysłowego w Wilnie. Żadne przedsięwzięcie literackie, zdaje się, nie mogło się obejść bez udziału Adamowicza: Wizerunki i roztrz. naukowe, Encyklopedya powszechna przez Glücksberga wydawana, Tygodnik Petersburski i przeróżne pisma zbiorowe wymównym są tego dowodem. Jako lekarz - praktyk, anatomo - patolog, weterynarz wreszcie nie wielu miał sobie równych, winniśmy tylko wyłączyć od porównania Jędrzeja Śniadeckiego. Lecz sędziwy ten patryarcha lekarzy wileńskich usuwał się z pola działania—złożony był bowiem ciężką niemocą, z któréj nie miał się już podźwignąć. Śniadecki rozumiejąc swój stan, nie mało się troskał nad losem swego dziecięcia—kliniki; komu-by ją powierzyć—wahał się. Nie zapominajmy, że stosunek Śniadeckiego do kliniki był innym aniżeli dzisiaj, stosunek ten jest niezrozumiałym w obec dzisiejszych pojęć, chociaż tradycya w nielicznych przy życiu pozostałych uczniach Śniadeckiego przechowywana, zdaje się, że dokładnie o nim poucza.

Otóż powiadają, że otaczającym sędziwego mistrza wskazywał Śniadecki Adamowicza jako jedynego, któremu by powierzył następstwo po sobie. Lecz gdy dnia 12 maja 1838 r., wielka ta gwiazda wszechnicy wileńskiéj zagasła — nie stało się zadosyć woli genialnego człowieka—klinika Adamowiczowi przeznaczona, przeszła pod zarząd Rymkiewicza. Czyż współcześni koledzy nie chcieli, czy nie mogli pojąć, że profesor kliniki zwierzęcéj może z korzyścią prowadzić klinikę ludzką? czy też prywata wypłynęła na wierzch, niewiadomo.

W dniu 18 października t. r. polecono Adamowiczowi niezależnie od nauk weterynaryjnych prowadzić wykłady historyi medycyny i literatury lekarskiej. Na tém ostatniém stanowisku pozostał aż do zamknięcia akademii.

Widzieliśmy już powyżéj jak Adamowicz pojmował powołanie nauczyciela, z jakiém przygotowaniem przystępował do wykładów; a nie zapominajmy, że będąc od natury wysoce uposażony, przy ciągłéj pracy, był tak wykształconym, że nie wielu miał naówczas

(1) Bibliografia czasopism wileńskich (1805—1860).

równych sobie na Litwie. Bez względu na to, nowa katedra, nowe wkładała na niego obowiązki. Rozpoczął tedy poszukiwania do historyi medycyny, a przedewszystkiém polskiéj. Między papierami znajdujemy luźne noty, już to Mikołaja Malinowskiego, już ks. biskupa Krasińskiego, Sobieszczańskiego i innych, wyjaśniające nie jedną wątpliwość w umyśle sumiennego badacza powstałą.

Poszukiwania Adamowicza po bibliotekach krajowych i zagranicznych i zamiłowanie do bibliografii, było niejednokrotnie uwieńczone pomyślnym rezultatem i prowadziło do odkryć szczególnie od noszących się do polskich zielników i greckich hippiatrów. Przeziérał pilnie biblioteki w Peszcie, gdzie znalazł kronikę Bielskiego po węgiersku w Krakowie drukowaną (1). W Getyndze znalazł rękopisma Piotra Campera, w Paryżu—dzieło Michała o Litwinach; w Berlinie pisma Förstera; w Petersburgu—rękopisma tyczące się medycyny polskiéj; w Królewcu — dzieła weterynarskie; w Wiedniu—rękopisma greckie i wiadomość o hippiatrze Hipokratesie. W Medyolanie—monety litewskie.

Nie mało mu téż dostarczyły wiadomości biblioteki w Pradze, Kijowie, Poporciach (w powiecie trockim), w Wenecyi itd. Oprócz bibliotek wertował archiwa kościołów ewangielickich w Wilnie, Kownie, Kiejdanach itd.

W tym okresie czasu wydał oddzielnie: *Nauka utrzymania i ulepszania zwierząt domowych*, z *dodaniem wiadomości o poznawaniu wieku. Wilno 1836. Glücksberg.* Dzieło to było owocem podróży pierwszéj za granicę, oparte na osobistych studyach autora, z uwzględnieniem teoryj najznakomitszych ówczesnych weterynarzy. Akademia przedstawiony sobie rękopism przychylnie oceniła i wydrukowała go własnym kosztem na korzyść autora. W Tygodniku Petersburskim wydrukował w tymże roku obszerny życiorys swego nauczyciela Bojanusa, a skrócony w Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych.

Wykłady terapii zwierząt opierały się przeważnie na rozprawie inauguralnéj, o któréj wyżéj mówiliśmy. W dwanaście lat późniéj tęż samą rozprawę uzupełniając odpowiednio do postępów nauki, wydrukował w „Magazin f. d. gesammte Thierheilkunde“, Berlin 1836, pod tytułem: *Synopsis nosologiae veterinariae comparatae.*

Nie mając gotowych podręczników wykładał podług własnych nonat, prawie wszystkie gałęzie nauk weterynaryjnych. Chcąc swoim następcom trwalszą zostawić pamiątkę, zamierzył ogłosić dru-

(1) Sobieszczański: Album (warszawskie) literackie, wydawca Wójcicki 1849 r. t. 2.

kiem zoopatologią i terapią, w całkowitym zakresie; lecz nad akademią zawisły już groźne chmury (1), które, czy-to pozbawiły energii energicznego dotąd profesora, czy też przeczuwając, że nie będzie wkrótce możności czytania publicznie specyalnych prac weterynaryjnych—nie wiadomo; to tylko pewna, że zamierzonego dzieła nie wykończył, a tylko część I-a pod tytułem ogólnym: *O poznawaniu i leczeniu chorób zwierząt domowych dla użytku gospodarzy. Część I-a, o chorobach koni z tablicą rycin*, Wilno, 1838, wydał u Glücksberga.

Będąc współpracownikiem Encyklopedyi powszechnéj, wydawanéj w Wilnie przez Glücksberga, zamieścił następujące artykuły: Bisio, Bojanus, Briotet, Broussais, Broussonet, Burserius, Buxbaum; Cardano, Carus, Carro, Cullen, Cuvier; Brzuchomówca, Bydło, Chirurgia w ogólności, a w szczególności w Polsce i Rosyi, Cholera, Choroba, Człowiek pod względem fizycznym, Człowiek skamieniały, Czas.

W Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych ogłaszał rozbiory krytyczne pism lekarskich i z dziedziny nauk przyrodzonych, biografie z poglądami krytycznemi i wreszcie rozprawki różnéj treści. Między innemi ogłosił: wspomnianą już biografią Bojanusa (XI. 1836); rozbiór krytyczny Zoologii Kunulskiego i S. B. Gorskiego (1836); rozbiór Historyi medycyny w Polsce Gąsiorowskiego (XI. 1839). Tu razem umieścił krytyczną wiadomość o zielniku polskim, jakoby 1423 r. pisanym, na co Adamowicz nie zgadza się, uważając go za zielnik czeski, albo raczéj za Falimierza, tłómaczonego na język ruski, kosztem Stanisława Gasztolda, wojewody trockiego 1588 r.

W r. 1840 pomieścił uwagę *o kichaniu*.

W „Magazin f. d. Gesammte Thierheilkunde" wydrukował: *Biographische Skizze von Bojanus* (1839 V. Jahrg.), i *Einige zoopathologische Bemerkungen* (1840). W ostatniéj rozprawie zawarł najciekawsze obserwacye swoje nad wścieklizną u zwierząt, wraz z opisem odnośnych preparatów patologicznych. Wspominaliśmy powyżéj, że Adamowicz poszedł w ślady najznakomitszych ówczesnych lekarzy, jak Bojanus, Bunge, Jan Piotr Frank i inni, którzy robili równoczesne obserwacye nad ludźmi i zwierzętami, kładąc podwaliny anatomii porównawczéj i fiziologii (1). Otóż jedną część odnośnych spostrzeżeń drukował Adamowicz w r. 1838 w „Collectanea medico-chirurgica", pod tytułem *Adnotationes practicae in Clinica Zoother. viln.*; drugą zaś część, traktującą przeważnie o porównawczéj

---

(1) Russkaja Starina. 1878, Nr. 7, str. 382 i n.

(2) Cuvier: Historya nauk przyrodzonych. Wilno 1854. Zawadzki. T. III, str. 151 i n.

fiziologii, wydał pod tytułem: *Zoonomia weterynarna, czyli nauka o życiu zwierząt gospodarskich, dla użytku badaczów przyrodzenia, medyków, weterynarzy, z tablicą objaśniającą treść dzieła.* Wilno 1841.

Na posiedzeniu cesarskiego towarzystwa lekarskiego wileńskiego w dniu 12 października, wybrany został prezesem tegoż towarzystwa.

Tymczasem smutne nastały chwile dla wileńskiéj akademii. Wskutek rozporządzenia ministra oświaty, utworzony został komitet, który miał się zająć przygotowaniem zbiorów naukowych akademii, do wysłania ich do innych zakładów naukowych w Rosyi.

Był to grom, acz spodziewany, okropne jednakże czyniący wrażenie. Adamowicz wybrany członkiem tego komitetu dnia 26 lutego 1841 roku, miał przed sobą zadanie i przykre i trudne. Postanowił połączyć je z gorliwą chęcią utrzymania jakichkolwiek przynajmniéj pamiątek dawnych, do których od młodości był szczerze przywiązanym. Aby tego dopiąć zajął się: opisaniem zbiorów anatomicznych dawnego uniwersytetu i obecnéj akademii w dziele: *Museum anatomicum Vilnense*, a powtóre utrzymaniem bytu cesarskiego towarzystwa lekarskiego, do którego od młodości z zapałem przylgnął. Zachować przeto ile możności niektóre pamiątki wydziału lekarskiego, niektóre zbiory i duplikaty dla zbiorów towarzystwa uważał za obowiązek obywatelski.

W „Museum anatomicum Vilnense“, skreślił wstęp, zawierający historyą tych zakładów; w części pierwszéj, traktującéj dział patologiczny, opisał wszystkie preparata podług własnego układu.

Dzieło to było już ostatnią pracą czynnego profesora w akademii wileńskiéj, — w dniu bowiem 1 sierpnia 1842 r., w skutek zamknięcia akademii, uwolniony został od obowiązków.

Aby oddać ostatni już hołd instytucyi, dla sławy któréj przez lat dziesięć usilnie pracował,—przyjął udział w komitecie, utworzonym z najwyższego rozkazu, dla dokończenia spraw byłéj akademii i w takowym przebywał aż do jego zwinięcia, tj. do d. 1 stycznia 1843 roku.

IV.

W dniu 12 grudnia 1805 roku, Józef Frank podał myśl założenia towarzystwa naukowego z grona profesorów medycyny i farmacyi. Myśl ta żywo się przyjęła i 15 członków stało się założycielami.

Głośne to imiona—wielu z nich miało sławę europejską; mniéj sławni są jednakże drogiemi, bo na naszéj ziemi światło boże ujrzeli

Imiona założycieli dla pamiątki wypisujemy z statutu (1): August Becu, Jan Chrzciciel Braun, Eliasz Eincholm, Józef Frank, Jerzy Gutt, Herz Heiman, Jakób Liboschütz, Jan Lobemoein, Andrzej Matusewicz, Jan Schlegel, Andrzej Śniadecki, Ferdynand Spitznagel, Jakób Szymkiewicz, Karol Wagner, Jan Wolffgang.

Towarzystwo to, któremu w 1819 roku przydany był tytuł *cesarskiego*, pierwszém było towarzystwem w Polsce i Rosyi. Śniadecki był pierwszym prezesem, a sekretarzem Frank.

Znaczenie towarzystwa lekarskiego dla Litwy, było wielkiéj doniosłości; ostatnia to instancya w kwestyach naukowych, a na rozwój nauki dzielnie wpływało; nad ogólném zdrowiem miasta i okolic czuwało, a w chwilach wielkich klęsk, jakiemi są epidemie, z wielkiém poświęceniem ratowało ofiary epidemii, wynajdując środki, już to łagodzenia gwałtownych objawów, już tamując rozwój choroby, lub nie dopuszczając dalszego szerzenia się epidemii.

Były to zajęcia towarzystwa zewnętrzne. Na posiedzeniach miesięcznych zajmowało się nauką, a że to był okres największéj świetności medycyny na Litwie, przeto i każde posiedzenie, jako bardzo pouczające licznie było odwiedzane, nietylko przez członków, ale i przez najznakomitszych lekarzy i uczonych różnych stron Europy. Towarzystwo miało swój organ naukowy: z początku pod tytułem *Pamiętnika*, późniéj *Dziennika medycyny, chirurgii i farmacyi*, które-to wydawnictwo przerwane w owym pamiętnym 1824 roku, wznowiono w 1830 r. Lecz z przyczyn niezależnych od towarzystwa na pierwszym tomie przerwane zostało. Dopiero w 1838 r. pod tytułem *Collectanea medico-chirurgica* wyszły prace członków towarzystwa, lecz nie miały już one charakteru specyalnego wydawnictwa towarzystwa lekarskiego.

Po takich głośnych mężach jak Frank i Śniadecki, zajął ich prezesowskie krzesło Adamowicz, za miejsce katedry uniwersyteckiéj.

Wielkim szacunkiem otoczone było towarzystwo, najznakomitsi ludzie uważali za zaszczyt dla siebie być jego członkami. Wprawdzie w skutek ogólnego naprężenia sytuacyi, ogólnéj apatyi moralnego przygnębienia, jakie ostatniemi czasy wszędzie czuć się dawało, — i stan towarzystwa znacznie podupadł. Należało tedy umiejętnie wziąć się do pracy, aby do dawnego blasku, do dawnéj

---

(1) Statuts de la Société de Médecine de Vilna fondée le 12 Décembre 1805 par les soussignés et approuvée par Sa Majesté l'Empereur Alexandre I Autocrate de Toutes es Russies. Vilna 1806 4-o, Zawadzki.—Pamiętniki Towarz. lekarsk. wileńsk. t. II. str. od III—XLIV..

wziętości przywrócić tyle zasłużoną dla oświaty instytucyą. Kto inny uląkł-by się ciężaru nad siły, lecz Adamowicz, jakkolwiek głęboko przygnębiony, jakkolwiek nie tajném mu było, że z rozproszeniem się profesorów akademii po świecie, owych filarów, podtrzymujących budowę—budowa sama może się zachwiać i runąć, dla braku sił i ogólnego poparcia (1)—przyjął na swe barki cały ciężar i dzięki niezwykłéj energii, zapewnił byt towarzystwa. Na tém stanowisku położył największe zasługi Adamowicz.

Nie zamknął się prezes w ciasném kole dyskusyi, interes tylko miejscowy i przechodni mających, lecz przyzwyczajony do działania na zewnątrz i dbały o sławę towarzystwa, po kilka razy w pewnych odstępach czasu ogłaszał drukiem prace członków, pod ogólnym tytułem: *Praktyczne najnowsze postrzeżenia niektórych lekarzy.* Wilno 1846, 2 tomy; Warszawa 1852, 2 tomy; Wilno 1862, tom I.

Na posiedzeniach czytywał żywoty uczonych lekarzy i drukiem je ogłaszał, jak np. Franka, Bojanusa, Gorskiego, Schönleina, Försterów, Larreya i wielu innych.

Starał się pobudzić członków do samodzielnych badań naukowych, do obserwacyi chorób nagminnych, słowem wszystko robił, aby wskrzesić lepsze czasy pod względem naukowym, jakie były udziałem towarzystwa w pierwszém dwudziestopięcioleciu jego egzystencyi. Własnym przykładem wskazywał drogę do naukowych poszukiwań i studyów. Od r. 1845 nieustannie zalecał lekarzom staranie o podniesienie farmacyi.

W „Kuryerze Wileńskim“, późniejszym organie towarzystwa, drukował wiele prac i spostrzeżeń naukowych. Ważniejsze między niemi są następujące: *O wodach druskienickich* (1840); *o zębie mamutowym, znalezionym blisko Wilna i o zwierzętach zaginionych w ogólności* (1846 Nr. 97—99); *o wykonaniu operacyj chirurgicznych bez bólu, przez wdychanie eteru siarczanego* (1847, Nr. 14 i 15); *o wrzodach na nogach atonicznych i skorbutycznych, zwanych niesłusznie kołtunowcmi* (1860); *o tasiemcach i trychinach*, które własnym kosztem sprowadził z zagranicy dla zbiorów towarzystwa; *o przyczynie potworności głowy owczéj, wziętéj mylnie za dziecię*; *o szkodliwości tytoniu* (1860); *o odradzaniu się części żywych* (1860); *Listy z podróży* (1861, Nr. 60, 62); *o liczbie i cenie pijawek* (1862. Nr. 29) i wiele innych.

W trzydziestoletnim okresie życia i działalności uczonéj i obywatelskiéj Adamowicza obecnie rozpatrywanym, mianowicie od 1842 do 1872 r., kilka razy podróżował on po Europie, już to dla poratowania zdrowia, już też żądny nauki, dla odświeżenia własnych wiadomości

(1) Archiwum towarzystwa Nr. 235, 237, 239, 243 i 248.

i przyswojenia nowych zdobyczy naukowych. Szczególniéj go interesowały zjazdy lekarzów i oftalmologów. Na każdym takim zjeździe był obecnym, i wszystko to co mogło być użytecznem dla kraju notował i drukiem ogłaszał przeważnie w Pamiętnikach towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Między innemi godne zanotowania prace: 1) *Krótka wiadomość o wypadku najnowszych zjazdów lekarskich w Belgii i Niemczech* w r. 1857. (1858 t. XV); 2) *Związek dla badań mikroskopijnych* (ibidem); 3) *Kongres oftalmologów w Brukselli* (ibidem); 4) *Zgromadzenie pracujących dla podniesienia naukowéj medycyny w Bonn* (ibid.); 5) *Wydział lekarski 3-o statystycznego kongresu narodowego w Wiedniu* (ibid.); 6) *Wiadomość o chorobach postrzeganych dawniéj w Litwie w ogólności a w szczególności w Wilnie i jego okolicach odr. 1826* (ibid. t. XXV—XXVI).

Ta ostatnia praca niezmiernéj jest doniosłości i nadzwyczaj praktycznego kierunku. Pomimo tego mało jest ona znaną i nie jest tyle cenioną, ile na to zasługuje.

Ażeby nie zrywać naukowéj nici, jaka łączyła lekarzy wileńskich z zagranicznymi, ogłaszał od czasu do czasu w pismach zagranicznych własne rozprawy naukowe i przyrodnicze. „W Amtlicher Bericht der Königsberger Versammlung der Aertzte und Naturforscher“ z r. 1860 wydrukował: *Exotrophia vesicae urinariae cum tabula tilhochr.*

W „Medizinische Zeitung Russlands. St. Petersburg 1855“ i następnych latach drukował: 1) *Ueber die Rinderpest* (1855 N. 1); 2) *Ueber Kondyloma bey Thieren* (ibid. N. 14); 3) *Ueber die Classification der Krankheiten* (ibid N. 4); 4) *Ueber Miasmen* (ibid); 5) d. *Impfung der Lungenseuche* (N. 4 str. 30); 6) *Obliteratio arteriae cruralis equi* (ibid); 7) *Die Hautkrankheit Wastza und Ugger der Russen* (ib. N. 40); 8) *Beytrag zur Statistik von Wilna* (1856 N. 11); 9) *Geschichte d. Kays. Med. Gesellsch. zu Wilna* (ibid N. 14); 10) *Ueber Dysenterie und die Larven von Bombyx* (ib. N. 17); 11) *Cortex China gegen die Watle* (ib. N. 27); 12) *Ueber pharmacopea* (ib. N. 28) i w. in.

W „Bulletin de la Societé botanique de France“: *Notice historique sur le jardin botanique de Vilna.* Paris 1862 N. 1.

W „Bulletin de sciences naturelles de Moscou“ 1853, N. 4: *Notice sur le C-te Constantin Tyzenhaus*; a wspomnienie pośmiertne tego zasłużonego ornitologa pomieścił w „Revue et Magasin de Zoologie“ Paris 1857: *Notice necrologique sur le C-te Tyzenhaus.*

W autografach znajdujemy następującą notatkę: *„Dissertation sur les teigner de la chevelure avec un dessein sur la teigne du corps d'une fille avec une Tinea capitis. Manuscrip. envoyé par le Depar. Méd. de St. Petersb. a Paris en 1863.“*

Czy powyższa rozprawa doszła swego przeznaczenia i co się z nią stało—nie jest mi wiadomo.

Prócz prac o kołtunie, o których poniżéj jeszcze mówić będziemy—w rozpatrywanéj przez nas epoce, drukowane są między innemi, rozprawy Adamowicza godne wspomnienia:

W Ondynie, piśmie zbiorowém wydawaném w Grodnie w 1845 i następnych latach ogłosił: *O lekarstwach tajemnych*; w Tece wileńskiéj N. 4: *O metalu Glin* (aluminium); w Gazecie lekarskiéj (warszawskiéj): *Porównanie teoryi Józefa Franka i Jędrzeja Śniadeckiego* (1869); w Tygodniku lekarskim (warszawskim): *O kąpielach morskich w Croisie* (1851. VIII); w Tygodniku ilustrowanym: *Jan i Jerzy Försterowie* 1865 NN. 290, 291.

Wiele innych życiorysów znakomitszych profesorów wileńskich, znajduje się w rozporządzeniu prof. Bądzkiewicza w Warszawie (1).

Przy pomocy ludzi dobréj woli hr. Eustachy Tyszkiewicz założył w Wilnie Muzeum starożytności objaśnione zbiorami historycznym, teologicznym i przyrodniczym. Okruchy jakie się pozostały po zakładach naukowych wileńskich i prywatna ofiarność złożyły się na instytucyą, która od pierwszéj chwili swéj egzystencyi chorowała, nie mając ani wytkniętego planu, ani dobréj metody organizacyjnéj. Ogołocenie tedy prywatnych zbiorów *pro publico bono*, przynajmniéj w danym wypadku było chybione (2).

Oddziałem historycznym zarządzał Kirkor, a przyrodniczym Adamowicz. Na posiedzeniach komisyi archeologicznéj Adamowicz czytywał rozprawy, które w streszczeniu podawał następnie Kuryer Wileński w 1862 i 1863 roku. Ważniejsze między niemi były: *O dawności bursztynu*; *o dawnych czaszkach pruskich*; *o chemicznym składzie monet starożytnych*; *o owadach lasom szkodliwych* itd.

Wspomnieliśmy powyżéj, że dla podtrzymania towarzystwa, Adamowicz ogłaszał od czasu do czasu praktyczne postrzeżenia członków towarzystwa.

W 5° tomowym zbiorze prace Adamowicza były następujące:

1. *O zapaleniu błony pęcherzyków płucnych u dzieci*, I. 1.
2. *O krupie prawdziwym i fałszywym*, I. 4
3. *O wyjściu robaków przez ścianę brzuchową*, I. 56.

---

(1) Adamowicz—Autografy.

(2) Pamiętniki komisyi Archeologicznéj wileńskiéj. Część 1, Wiln. 1856).—Wilna i okrestnosti. Putjewoditel. 1883, str. 261.—Katalog predmetow muzea drewnosti itd. 1879, str. VI i VII.

4. *O przypadkowém skrzywieniu się i niezupełném złamaniu kości u dzieci* I. 82.
5. *O śledzeniu plam pod względem lekarsko-sądowym*, I. 85.
6. *O sińcach pod względem lekarsko-sądowym*, I. 99.
7. *O wpływie miejscowości na niektóre choroby* II. 14.
8. *Postrzeżenia o chorobach w Pińszczyźnie, mianowicie około Kożangródka zdarzających się*, II. 17.
9. *Uwagi o kołtunie, mianowicie w Pińszczyźnie*, II. 26.
10. *O grzybkach na ciele ludzkiém (de Epiphitis)*, II. 33.
11. *Leczenie zwane arabskie, choroby syfilitycznéj trzeciowéj*, II. 58.
12. *Krótkie uwagi o herbacie*, II. 60.
13. *O używaniu okularów*, II. 66, IV, 146.
14. *Kilka uwag o teoryi i pigułkach Morrysona*, II. 70.
15. *Wspomnienie o Larreyu*, II. 92.
16. *O wodach morskich*, III. 105.
17. *O kąpielach morskich*, III. 110.
18. *Teorya wód mineralnych* III, IV. 113.
19. *O wodach mineralnych gubernii kowieńskiéj*, III, IV, 119.
20. *O wodach lekarskich sztucznych*. III. 126.
21. *O wodach w Stokliszkach*, III. 129.
22. *O wodach mineralnych u Kemmern w Inflantach*, III. 139.
23. *Ocenienie homeopatyi dawniejszéj i nowszéj*, V. 1.
24. *O zapobieżeniu grzebania żywych* itd. V. 112.
25. *Przypadek niewyrabiania się moczu w nerkach*, V. 112.
26. *Wzmianka o obchodzie jubileuszowym pięćdziesięcioletnim w cesarskiém towarzystwie lekarskiém wileńskiém* V. 118.
27. *Myśli o cholerze przez Onufrego Żorgo w Paryżu*, V. 261,

Zbliżył się rok 1855 a 50-y istnienia towarzystwa lekarskiego wileńskiego. Adamowicz poczynił starania, aby uroczyście urządzić obchód jubileuszu.

Znalazłszy ogólne poparcie w dniu 12 grudnia, po nabożeństwie u św. Jana zagaił posiedzenie publiczną mową wypowiedzianą po francuzku, w której objaśnił początek towarzystwa, cel i wpływ na medycynę krajową.

Obchód ten arcyważny godziłoby się dla pamięci opisać na tém miejscu, z uwagi jednakże, że Adamowicz w kilkunastu artykułach własnego pióra, wydrukowanych równocześnie w przeróżnych pismach czasowych, odnowił pamięć téj znakomitéj instytucyi i o jéj jubileuszu zawiadomił—wolę interesujących się towarzystwem lekarskiem wileńskiém, odesłać do sprawozdania o obchodzie jubileuszu, znakomicie napisanego i ogłoszonego w 5-ym tomie praktycznych postrzeżeń od str, 118—142.

Mówiąc o jubileuszu towarzystwa należy dodać, że Adamowiczowi danem było nie jeden urządzać jubileusz jak np. dr. Kowalskiego i 300 letnią rocznicę istnienia kościola ewangelicko-luterskiego w Wilnie. Za każdym razem starał się o wybicie pamiątkowego medalu, i o wydrukowanie rozprawy odpowiedniéj uroczystości. I tak np. na pamiątkę jubileuszu towarzystwa wydał: *Początki i postęp anatomii w Polsce i Litwie*; a na pamiątkę jubileuszu kościoła: *Kościół Augsburgski w Wilnie. Kronika.*

Jako dopełnienie uroczystości jubileuszowych ogłosił konkurs w imieniu towarzystwa, wierzącego w bytność kołtuna, a sam siebie wyłączył od nagrody, za rozprawę, nad którą od 10-u lat pracował, walcząc ciągle z wrodzonym przesądem ludu. W swoim czasie wskazaliśmy, że sam wierzył w kołtun, lecz w r. 1830 zachwiał się w swoich wierzeniach będąc w Paryżu i odtąd nie odrywając się od zajęć głównych, cały czas swobodny poświęcił dochodzeniu prawdy. Przez zastanawianie się ciągłe nad znaczeniem cierpień, powszechnie zwanych kołtunowemi u ludzi i zwierząt, nad istotą i związkiem tych cierpień między sobą, doszedł do wypadku logicznego nieistnienia osobnéj choroby kołtunowéj.

Licznemi rozprawami dopiął tego, że cała plicologia tak upadła, jak niegdyś alchemia i astrologia.

Jeszcze za czasów Franka był ogłoszony konkurs (w czerwcu 1805 r.) lecz ten upadł po kilku latach bez żadnego rezultatu. Zasada konkursu była wówczas inną. Frank bowiem jakkolwiek nie umiał stanowczo wypowiedzieć ostatniego słowa, co właściwie rozumiał pod tém nazwiskiem kołtun (1), wierzył w niego sam, zaciągnął pod ten sztandar nie tylko uczniów swoich, lecz i kolegów, a szczególniéj Niszkowskiego i Malinowskiego. Z późniejszych w myśl téj nauki Franka pisali o kołtunie zasłużeni na innych polach, sławni nawet lekarze jak Karol Kaczkowski, Rymkiewicz, Abicht i w. innych.

W konkursie 1855 roku zastrzegło się towarzystwo między innemi, że ono nie wierzy w istnienie osobnego płynu we krwi służyć mającego do wyrabiania materyi rogowéj chorowitéj (*lues cornificativa*) o jakim wspominał Jędrzéj Śniadecki (2) na wykładach klinicznych.

Jakkolwiek Adamowicz w rozprawie swéj dowodzi że Śniadecki dla tego o jadzie kołtunowym we krwi (*virus*) wykładał, aby od-

(1) Adamowicz: Kilka słów do historyi kołtuna i teoryi o nim Józefa Franka Pamięt. Tow. Lek. warsz. czerwiec i lipiec, 1870 r.

(2) Adamowicz—l. c. lipiec str. 19.

wrócić uwagę uczniów od włosów i paznogci, jednakże jest przekonanym, że Śniadecki w kołtun nie wierzył. W innèm miejscu znajdujemy wzmiankę (1) o Śniadeckim i jego stanowisku w obec kołtuna: kto się trzymał dedukcyi filozoficznéj, mówi Adamowicz, i ją publicznie chwalił w mowie swéj 1799 r. jak Śniadecki, i w Teoryi jestestw organicznych, gdzie chwali teoryą Browna opartą na dedukcyi, ten nigdy nie mógł wierzyć w prawdziwą chorobę kołtunową, lecz uważał ją za zdanie fałszywe w medycynie, oparte na przesądzie; za błądzenie, a nie za fakta na czystym rozumie oparte. Pomimo przedłużenia terminu konkursowego, dzieł kwalifikujących się do nagrody 500 rs. powstałéj z daru hr. Rajnolda Tyzenhausa nie nadesłano. Adamowicz już to aby zachęcić lekarzy do badań nad tym przedmiotem, już téż aby ostatecznie przekonać wahających się, że kołtun jako choroba nie istnieje,—drukował krytyczne rozprawy i sprawozdania z dzieł plicologów w Protokułach towarzystwa lekar. wileńskiego w 1866 r.; w Protokułach lekarzy mińskich (1869); w Wileńskich gubernskich wjedomostiach 1866—po rosyjsku;—po polsku zaś w Gazecie lekarskiéj z 1868 NN. 5 i 9.

Rozprawa w Mińsku drukowana najobszerniejsza, a w rękopiśmie z rysunkami włosów i grzybków włosowych, oraz z 70-u opisami klinicznemi mniemanego kołtuna,—zaległa w redakcyi Departamentu lekarskiego petersburskiego, nieogłoszona z powodu kosztowności rycin i sprzeczności z ustawą o przyjmowaniu rekrutów.

Dopiero w 1875 roku nadesłano na konkurs, kilka razy wznawiany, dwie monografie, z tych jedną z dewizą: „*Salva meliori*“ po dokładnèm sprawozdaniu osobnéj komisyi z łona członków towarzystwa naznaczonéj. przyznano jako odpowiadającą warunkom konkursu. Autor, dr. Dobrzycki dowiódł, że kołtun ani z punktu anatomii, ani fizyologii, ani wreszcie klinicznéj obserwacyi, nie może być zaliczony do patologii. Po wysłuchaniu obszernego referatu komisyi, obecni członkowie większością głosów przyznali autorowi premjum. Mniejszość z 5-ciu członków złożona (2) podzieliła się na dwa obozy: jedni utrzymywali, że kołtun jest chorobą ogólną organizmu; drudzy, w liczbie dwóch, że jest chorobą miejscową.

W taki sposób słynna niegdyś sprawa o pochodzeniu kołtuna i jego znaczeniu—zdaje się, że ostatecznie już załatwioną została.

Historya szkół i szpitali jest wyrazem cywilizacyi danego kraju, dla tego też uczeni ludzie starannie notują to wszystko, co do wyjaśnienia powyższych dwóch kwestyj posłużyć by mogło. Zrozumiał to

(1) Adamowicz—autografy.

(2) Protokuły towarzystwa lek. wileń. 1876 str. 116.

zasłużony obywatel Girsztowt i w swojem wydawnictwie „*Historya szpitali i drugich zakładów dobroczynnych w królestwie polskiém*“ wskazywał i torował drogę przyszłym badaczom; przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu dokończyć zaczętego dzieła. O szpitalach i zakładach dobroczynnych wileńskich nie wiele wiemy: Kraszewski wprawdzie wskazywał (1) gdzie należy szukać źródeł do wyjaśnienia pierwotnych dziejów tych instytucyj i nakreślił pokrótce dzieje szpitali do 1750 roku; po nim, o ile mi wiadomo, nikt nie podjął organicznéj pracy, a tylko z fragmentami możemy się czasami spotykać jako z dowodem pojedyńczych usiłowań (2).

Między papierami Adamowicza znajdujemy notatki z dziejów szpitali i zakładów dobroczynnych. Notatki te noszą ślady, że już były użyte, ale gdzie jest praca, czy była ona wykończoną i jakich była rozmiarów dojść niepodobna z pojedyńczych świstków poprzekreślanych i zaopatrzonych tylko w odnośniki.

Zapewne Adamowicz zajął się tą robotą już po zamknięciu akademii, gdy został starszym lekarzem w szpitalu żydowskim (5 sierpnia 1842 r.). Niezawodnie miał zamiar opisać dokładnie zakład, którego reformę przeprowadzał i do takiego stopnia doskonałości doprowadził że to zwróciło na siebie uwagę władz rządzących i uznanie; za reformę bowiem z gruntu szpitala jak również za usługi jakie niósł społeczeństwu podczas trzykrotnéj epidemii cholery został radcą stanu (26 lutego 1844 r.).

Ciągła praca, ciągłe usługi dla wszystkich, a przytém służbowe obowiązki—było to zawiele dla organizmu wycieńczonego nadmierną pracą;—potrzebował wytchnienia, dla tego prosił o uwolnienie od obowiązków starszego lekarza, co nastąpiło 20 czerwca 1845 roku. To jednakże, nie uwolniło Adamowicza od obywatelskich posług. Jako doświadczony lekarz bywał wzywany do narad lekarskich w szpitalach cywilnych i wojskowych jak również w zarządzie lekarskim. Urządził bezpłatne ambulatoryum przy towarzystwie lekarskiem dla przychodzących chorych, własne narzędzia i książki dla użytku tegoż ambulatoryum ofiarował. Ludową szkołę weterynaryi na wzór Alfortskiéj urządził. Do pierwszych patologów porównawczych w Europie był przez uczonych zagranicznych zaliczany. Niepodobna jest wyliczać wszystkich towarzystw naukowych, których był członkiem. Pamiętano o tém, że dostarczał najlepszych

---

(1) Kraszewski: „Wilno“, t. III.

(2) Dzieje dobroczynności, Wilno 1820—1824. Rogalski, Chlebowski, Marcinkowski.—Zestawienie przedmiotów zawartych w „Dziejach Dobroczynności“ przez dr. Szelige, (Bibliogr. czasopism wileńskich od 1805—1860).

uczniów i profesorów dla kraju, dla tego był wzywanym na profesora do Petersburga, Charkowa, Kazania, Berlina i Warszawy—lecz przeniósł pobyt w Wilnie nad wszystkie zaszczyty. Albożto mały był dla niego zaszczyt, gdy zastępował Śniadeckiego w klinice, Józefa Franka w towarzystwie lekarskiem a Bojanusa na katedrze?

W dniu 1 kwietnia 1872 roku odbyła się w murach towarzystwa lekarskiego uroczystość bardzo rzadka, mówimy tu o jubileuszu piędziesięcioletniéj działalności lekarskiéj Adamowicza. Wszystkie warstwy społeczne wileńskie pośpieszyły uczcić mistrza, który tyle dziesiątków lat przodował w dziele cywilizacyi i oświaty. Dzień ten jak dla każdego jubilata był nader uroczystym dla Adamowicza. Towarzystwo lekarskie uczciło długoletniego prezesa honorowém prezesostwem; uniwersytet Jagieloński—dyplomem honorowym doktora medycyny; rząd—rangą rzeczywistego radcy stanu.

Adamowicz był znanym w kraju najpierw pod imieniem *Weterana*, a późniéj *Jubilata*; za granicą zaś pod imieniem *Bojanusa drugiego.*

V.

Mało kto z żyjących doczekał się takiego uznania u swoich i cudzoziemców jak Adamowicz. Wszystkiego dosięgnął, czego osobistą zasługą dosięgnąć można. Nie urodzenie, nie pieniądze, lecz ciężka praca, ustawiczna, wytrwała torowała mu drogę do coraz większych dostojeństw, do sławy.

Zdawałoby się że w takich będąc warunkach, należał do ludzi bardzo szczęśliwych. Bynajmniéj. Zajmowaliśmy się dotąd Adamowiczem jako uczonym, lekarzem, znakomitym prezesem towarzystwa lekarskiego, jedném słowem, przodownikiem we wszystkiém, co wielkie, dobre i zacne; ale nie przedstawiliśmy go w kółku nabliższém, częstokroć najdroższém dla człowieka, w kółku rodzinném. Otóż z góry zapisujemy, że przy domowém ognisku nie był szczęśliwym. Z małżeństwa zawartego w r. 1828 miał jedynego syna Władysława. W nim złożył wszystkie swe marzenia, nadzieje; dobijał się sławy dla niego, a nawet program swego życia, przyszłości na nim oparł. Jedyném, niepodzielném pragnieniem ojca było wychowanie tego dziecka na zacnego obywatela kraju. Będąc sam głęboko religijnym, czego dał dowody w życiu uczciwém, w czynnościach swoich i pracach literackich (napisał np. i ogłosił drukiem *Pierwsze początki pisma św. dla dzieci.* Wilno 1858 r.), tylko na religijném wychowaniu, jako na fundamencie pragnął oprzéć przyszłość dziecka. Ojciec protestant, wskutek wzajemnéj umowy z żoną katoliczką, po-

wierzył swego jedynaka dwom bardzo zasłużonym pedagogom: ks. Stanisławowi Krasińskiemu późniejszemu biskupowi wileńskiemu i ks. Łunkiewiczowi ex pijarowi, ludziom znanym z głębokiéj nauki i niewzruszonych przekonań, aby ci w zasadach religii katolickiéj ugruntowali go i do uniwersyteckich studyów przygotowywali. Dziecko odpowiadało najzupełniéj pokładanym w nim nadziejom; zdolności miało wielkie, pojęcie nad wiek rozwinięte;—tymczasem w 15 roku życia przyszła śmierć, a ojciec swe nadzieje złożył do grobu. Był to cios straszny. Religia tylko podtrzymywała go i praca, któréj się oddał z nadmiernem wytężeniem, aby niepowetowaną stratę zapomnieć. Niestety, nie zapomniał jéj do śmierci! Nigdy przed nikim nie skarżyl się, ani wspominał nawet, lecz w głębi swego serca ukrył ranę, jaką mu zadała nieubłagana konieczność. Żona, osoba wysoce wykształcona, wielkiéj zacności, dobroci i słodyczy charakteru, ostatnie lat ośmnaście przepędziła w łóżku. Cierpienia tyloletnie natury nerwowéj wyrobiły w niéj niecierpliwość, cierpkość. Rozumiał dobrze mąż powody zmiany łagodnego niegdyś charakteru; był przeto bardzo wyrozumiałym, a z miłości dla nieszczęśliwéj, będąc z natury już łagodnego charakteru—nigdy nie dał poczuć małżonce, jak niekorzystnie zmieniła ją choroba. Przeciwnie, większą jeszcze czułością, pieczołowitością i dobrocią otaczał męczennicę. Po jubileuszu wkrótce umarła.

Niezmiernie czuł się pokrzywdzonym od losu Adamowicz, gdy towarzyszkę długoletniego pożycia utracił. Wyjechał za granicę, lecz tam długo nie przybywał, pokrzepienia bowiem na siłach nie znalazł. Odtąd życie jego ciągnęło się daléj w zupełnem osamotnieniu. Pracując całe życie i teraz nie wypuszczał pióra z ręki, chociaż sędziwy wiek domagał się odpoczynku. Nie mogąc przedsiębrać większéj pracy, zbierał noty tyczące się Wilna i uniwersytetu. Mamy wskazówki że nad dziejami Wilna pracował poprzednio z Homolickim, Balińskim i Malinowskim,—musiał przeto posiadać i materyały, lecz te albo porozpożyczał, albo może być, że są ukryte między rękopismami, których pozostało się dużo; lecz te nie są obecnie dostępnemi, chociaż pani Zofia Adamowiczowa zapewniła piszącego, że dla użytku publicznego udzielić je chętnie się zgadza. W swojem rozporządzeniu miałem tylko dorywcze noty. Samotność, brak opieki w podeszłym wieku koniecznéj, zniewoliły sędziwego jubilata do powtórnego małżeństwa. Po ślubie wyjechał z żoną Zofią z Karnickich do Krynicy. Ostatnia to już była podróż za granicę. Uznanie wielkich zasług naukowych i obywatelskich jubilata towarzyszyło mu w ciągu podróży, przeplatanéj owacyami. Najpierw Warszawa, późniéj Kraków, gdzie zamiast zamierzonych trzech dni, cztery tygodnie prze-

pędził—starały się okazać Adamowiczowi, jak społeczeństwo, kraj cały ocenia prace jego dla dobra i sławy kraju przedsiębrane.

Za powrotem do domu zaczął do sił przychodzić, wydobrzał; powoli w rozmowach z przyjaciołmi przerwane od dawna marzenia zaczął snuć na nowo. W Wilnie oczekiwali wszyscy zmiany sądownictwa, gdyż szeroko o tém rozpisywały się gazety, Adamowicz zaś oczekiwał wskrzeszenia uniwersytetu. Widział siebie jak niegdyś na katedrze, otoczonego młodzieżą, którą tak kochał, dla dobra któréj napisał w ciągu życia około *dziewiędziesięciu* dzieł, broszur i rozprawek, nie licząc rękopismów nie uporządkowanych i nieogłoszonych drukiem. Marzenia te były już ostatnim odbłyskiem dawniejszéj energii jubilata. Przenosiły go one w ubiegłe dni, z których czerpał obficie i w rozmowach licznie go odwiedzających przyjaciół i wielbicieli, starał się wskrzesić czasy Franka, Śniadeckich i wreszcie czasy swéj działalności. Trzeba było słyszéć z jakiém uczuciem prawdziwego synowskiego przywiązania wspominał o swych mistrzach; jak zachęcał do pracy naukowéj, w któréj zawsze znalazł osłodę, ilekroć razy życiowe warunki gorzko mu się uczuć dawały. Był on prawdziwym Mentorem dzisiejszego pokolenia, szczerym, otwartym, chętnym do posług nawet wówczas, gdy już przyciśnięty wiekiem prócz wielkiego serca nic już społeczeństwu nie mógł ofiarować.

Zasłużony ten mąż syt lat i chwały zasnął w Panu dnia 30 kwietnia (v. s.) 1881 roku.

Znajomość języków europejskich nadzwyczaj ułatwiała Adamowiczowi studyowanie nauk. Poprawnie pisał po łacinie, po polsku, francuzku, po rosyjsku i po niemiecku; znał prócz tego język grecki, włoski i angielski.

Był bardzo przenikliwy i rozważny w sądzeniu o rzeczach naukowych. W zdaniach swoich chwiejnym nie był, ale i nie upartym. Do studyów przystępował z pewną metodą i krytyką. Nim napisał jakie dzieło, przygotował się należycie; przedmiot rozprawy zgłębił wszechstronnie, zapanował nad nim w zupełności. Układ dzieła kunsztowny—język bez zarzutu.

Będąc głębokim erudytą, nie cytuje dzieł z których korzystał, tylko dla wykazania bogactwa literatury danego przedmiotu, lecz każde z nich krytycznie rozbiera, wykazuje zalety ich i wady; tym spospobem niezmiernie ułatwia studyowanie nauk czytającym jego dzieła; gdyż im oszczędza czas przedewszystkiém a prócz tego czy-

tający jego dzieła przychodzą już do gotowego, nie potrzebują bowiem wertować nie zawsze dostępne źródła.

Za postępem nauki szedł ciągle aż do ostatnich lat swego życia, dla tego anachronizmów naukowych nie spotykamy u niego. Miał swoje idee naukowe, których się nie pozbywał przez całe życie, lecz te nigdy nie raziły najbardziéj postępowego lekarza. Zresztą przy ciągłych zmianach i efemerycznêm trwaniu niektórych teoryj lekarskich, które jak mówi poeta: *błysną kometą a potém znikną bez śladu*, kto wié, czy Adamowicz nie miał racyi, będąc konserwatystą. Nie ulega wątpliwości, że będąc ostatnim przedstawicielem sławnéj szkoły lekarskiéj wileńskiéj,—godnie wywiązał się ze swego posłannictwa. Praktyczny duch obserwacyjny, jak go wówczas nazywano: *hippokratesowy*—niepodzielnie panuje we wszystkich jego dziełach lekarskich.

Jako pisarz rozgłośnéj sławy, nauczyciel kilkunastu pokoleń lekarzy polskich, twórca u nas anatomii porównawczéj, staje się własnością nie już Litwy, ale całego społeczeństwa.

Nie możemy lepiéj zakończyć niniejszego szkicu, jak przytoczeniem głęboko odczutych słów niezapomnianéj pamięci naszego profesora ś. p. Girsztowta: „Wzorowy i sumienny profesor, poprawny pisarz, pełen taktu i godności prezes towarzystwa, lekarz niepospolity, rzadkiéj prawości człowiek, Adamowicz zawsze będzie chlubą i ozdobą naszego społeczeństwa, a w dziejach naszéj nauki lekarskiéj zajmie miejsce obok Śniadeckich, Franków, Bojanusów, Czerwiakowskich, Gałęzowskich“ (1),—a my od siebie dodamy: Girsztowtów i wielu innych.

— Oby ta ziemia, są słowa Girsztowta, więcéj podobnych Adamowiczów rodziła i młodsze pokolenie lekarzy więcéj podobnych wzorów do naśladowania miało!

Dr. Szeliga.

---

(1) Girsztowt: Wspomnienie jubileuszowe, (Kłosy 1872).

POCZĄTEK
SĄDÓW KAPTUROWYCH. (1).

Rozpatrując dzieje sądownictwa polskiego, wykazać możemy w organizacyi jego instytucyą na wskróś oryginalnie pomyślaną, jakiéj szukalibyśmy napróżno gdziekolwiek indziéj w Europie. Są to sądy kapturowe. Wprowadzone po raz pierwszy we właściwéj swéj formie po zgonie Zygmunta Augusta, przetrwały one całe dwa wieki, jako instytucya żywotna, spoczywająca za życia każdorazowego króla, powoływana do działania z chwilą jego śmierci, przez ciąg całego bezkrólewia; a kiedy wreszcie w r. 1768 wyszła ustawa, znosząca te sądy, zdarzyło się, że ustawa ta nigdy już nie miała wejść w zastosowanie, bo ją wydano po ukończeniu ostatniego *interregnum*. Jedynym tedy wyrazem sądownictwa polskiego podczas bezkrólewi przez ciąg całego t. z. okresu królów elekcyjnych, są sądy kapturowe. Jeżeli jednak sięgniemy wzrokiem daléj wstecz, w czasy jagiellońskie, nie mówiąc już o piastowskich, szukać będziemy napróżno jakiegokolwiek rzeczywistego śladu téj instytucyi. Tak zaś mając przed sobą dwa te okresy: jeden z przed roku 1572, w którym sądów kapturowych nie ma wcale, i drugi po roku 1572, w którym sądy te istnieją, pytamy mimowoli, czém się to stało, że instytucya dawniéj nie istniejąca, stała się naraz konieczną; wśród jakich okoliczności i dla jakich powodów znalazła nagle warunki do życia,

(1) Rzecz niniejszą, wypowiedzianą w formie wykładu publicznego, musieliśmy ze względu na krótkość czasu, jaki nam stał do dyspozycyi, ująć w granice jak najściślejsze, skąd téż niejeden szczegół, zasługujący na bliższą uwagę, musiał pozostać bez należytego wycieniowania. Oddając pracę w téj samej formie do druku, uzupełniliśmy ją tylko, celem rozjaśnienia rzeczy, kilku uwagami i przypiskami.

i wreszcie, dla czego nie pojawiła się ani prędzéj ani późniéj, lecz właśnie w czasie pierwszego po wygaśnięciu dynastyi jagiellońskiéj bezkrólewia?

Odpowiedź na te pytania, a raczéj na jedno, sumujące je wszystkie, pytanie: jaki jest początek sądów kapturowych,—oto rzecz, którą się bliżéj zajmiemy.

Jeżeli sięgniemy głębiéj w istotę średniowiecznego sądownictwa polskiego, znajdziemy tam jednę myśl przewodnią, jeden rys charakterystyczny, przenikający całą organizacyą tegoż sądownictwa, a dający się streścić w zdaniu, że według pojęć ówczesnych, król jest przedstawicielem i orędownikiem prawa, źródłem wszelkiéj sprawiedliwości, najwyższym zwierzchnikiem sądownictwa krajowego. Sądownictwa tego nie wykonywa on oczywiście sam, bezpośrednio we wszystkich wypadkach, bo byłoby to rzeczą fizycznie niemożliwą; wyręczają go po części inne subsellia niższe, jak: sądy ziemskie, podkomorskie, wiecowe i komisarskie, ale wyręczają go w zastępstwie. To pojęcie zastępstwa znajduje zaś swój wyraz w dwojakim kierunku. A naprzód w kierunku formalnym, bo wszystkie pozwy, nietylko przed sąd królewski, ale i przed jakikolwiek sąd niższy, wychodzą stale pod tytułem i imieniem królewskiém; jedyny wyjątek stanowią tu tylko pozwy przed sąd grodzki, które noszą nazwisko i tytuł starosty, ale tylko dla tego, że już sam urząd starosty, według znaczenia, jakie doń przywiązywano podówczas, był władzą, działającą wprost i bezpośrednio z ramienia i w zastępstwie króla. A daléj, i we względzie materyalnym widoczną jest ta zależność instancyj niższych w obec króla, przysługuje mu bowiem prawo czynnéj i wszechstronnéj ingerencyi w działalność tych sądów. Może on wydać inhibicyą, mocą któréj zakazuje sądowi niższemu pociągać pewne osoby przed swoje *forum*, może rozpoczęte już postępowanie sądowe znieść lub zawiesić w drodze abolicyi, może skazańca albo zupełnie ułaskawić, albo wydać mu glejt, czyli list bezpieczeństwa, którym na pewien czas uchyla skutki wyroku karnego, może nawet wywołać proces z przed sądu niższego przed sąd swój własny, albo też, osobnym przywilejem wyjąć raz na zawsze pewne osoby z pod jurysdykcyi sądów zwyczajnych, a poddać je tylko sądowi królewskiemu, czyli, jak się podówczas wyrażano, nadać im t. z. prawa nieodpowiedne; wreszcie zaś, z przybyciem króla do pewnéj ziemi następuje zawieszenie zwyczajnego sądownictwa ziemskiego; sędzia i podsędek ziemscy jawić się mają na jego dworze, i tutaj, w sądzie nadwornym, uczestniczyć w rozstrzyganiu tych spraw, które wśród zwykłych okoliczności należą do zakresu własnéj ich kompetencyi. Jedynym sędzią najwyższym nie jest wprawdzie król w wiekach

średnich; ostatnią instancyą, obok sądów jego nadwornych, są także sądy starościńskie, wiecowe i delegowane przezeń od wypadku do wypadku sądy komisarskie; ale wszystkie one kończą bieg instancyj procesowych, jedynie tylko za zasadzie idei reprezentacyi, na zasadzie teoretycznego przedstawienia, że działają w zastępstwie panującego.

Takie pojęcia o sądownictwie królewskiém przekazały w Polsce wieki średnie nowszym; co większa, pod wpływem czynników, jakie się pod koniec tego okresu, w drugiéj połowie XV stulecia objawiły, pod wpływem dążności do wzmocnienia i skonsolidowania władzy królewskiéj, zaostrzono te pojęcia i spotęgowano je bardziéj niż kiedykolwiek indziéj; postawiono zasadę, że prócz jedynego sądu królewskiego nie ma w Polsce żadnéj innéj instancyi najwyższéj dla spraw sądzących się prawem ziemskiém; sądy grodzkie, wiecowe, komisarskie spadają do rzędu bądź-to instancyj najniższych, bądź téż średnich; jedyną władzą, powołaną do wydawania wyroków, których w drodze dalszych środków prawnych zaczepić nie wolno, staje się sąd królewski, bądź-to nadworny, bądź téż sejmowy. Nowsza era rozwoju państwowego Polski, wprowadzając w tylu innych kierunkach rozliczne ograniczenia powagi królewskiéj, zarówno w administracyi, jak i ustawodawstwie, nie zmieniła jednak niczego w tém pojęciu szerokiéj władzy sądowniczéj królewskiéj; na tym samym punkcie rozwoju, na jakim rzecz cała zatrzymała się w drugiéj połowéj wieku XV, stoi ona także przez cały ciąg panowania Aleksandra, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, i sięga nawet, po za oba pierwsze bezkrólewia, w początek panowania Stefana Batorego, dopóki organizacya trybunału koronnego z roku 1578 zasady téj częściowo nie obaliła. „Król jest sędzią najwyższym, i *panem wszystkich sądów swojego królestwa* (*rex iudiciorum omnium regni sui dominus et iudex supremus*) — oto krótka, ale dobitna, wszechstronna i najtrafniejsza charakterystyka całéj téj myśli przewodniéj, tkwiącéj w urządzeniu sądownictwa ówczesnego, jaką nam przekazała jedna z prób kodyfikacyjnych z pierwszéj połowy XVI stulecia (1).

Łatwo zrozumiéć, że z tych wygórowanych pojęć o sądowniczéj władzy panującego, z idei, jakoby król był reprezentantem prawa, panem władz, powołanych do jego wymiaru, mocodawcą wreszcie bezpośrednim wszystkich niższych instancyj, płynęła bardzo nie-

---

(1) T. z Korrektura Taszyckiego, art. 344 (Starodawne prawa polskiego pomniki, tom III). Cały poprzedzający wywód o istocie sądownictwa królewskiego uzasadniłem i rozprowadziłem szczegółowo w mojéj Genezie Trybunału Koronnego.

bezpieczna konsekwencya: iż ze śmiercią króla, aż do koronacyi jego następcy, tj. aktu, który prawnie przelewa na elekta władzę królewską, prawo zostaje niejako zawieszoném, i gaśnie władza, nietylko właściwego sądu królewskiego, ale zarazem także i wszelkich innych sądów krajowych. Wniosku tego nie wyprowadzano u nas jednak zawsze z ścisłą bezwzględnością; całe prawie wieki średnie, lubo się w nich zrodziła teorya, która dała podstawę do tych wniosków, nie posunęły jednak sprawy aż do jéj ostatecznych konsekwencyj. *Zaprzestawał* wprawdzie działalności swéj, z zejściem króla, sąd jego nadworny, bo to wynikało z saméj natury rzeczy, ale działały nadal, mimo bezkrólewia, inne sądy, w których król bezpośrednio nie miał udziału, i wykonywały, nietylko akta jurysdykcyi niespornéj, ale przeprowadzały nawet, zupełnie niekrępowane, postępowanie w sprawach procesowych. Pozytywnie stwierdzają to dowody jeszcze z czasów bezkrólewia po śmierci Władysława Jagiełły, przed koronacyą Władysława III (1), tudzież z czasów bezkrólewia po zgonie tego ostatniego, i to nawet już wtedy, kiedy się przestano łudzić nadzieją powrotu jego z wyprawy tureckiéj i miano już następcę w osobie obranego, lubo niekoronowanego jeszcze Kazimierza Jagiellończyka (2).

Odmiennie już przedstawia się nam cała ta sprawa, jeżeli rzucimy na nią światło stosunków z końca XV stulecia. Ów większy jeszcze niż poprzednio wzrost sądowniczéj władzy królewskiéj, który właśnie przypada na te czasy, owo silniejsze zaakcentowanie pojęć i wyobrażeń, które istniały wprawdzie już dawniéj, których jednak nie sformułowano poprzednio z wszelką ścisłością i precyzyą, z których nie wyciągnięto wszelkich możliwych wniosków,—wywołały teraz skutek, który można było przewidzieć: wyrobiło się przekonanie, że sądownictwo w kraju ustaje z chwilą skonu monarchy. W roku 1492, z zejściem Kazimierza Jagiellończyka, ustają nagle wszelkie zapiski jurysdykcyi spornéj, w licznych już zresztą podówczas księgach naszych sądowych, i nie pojawiają się napowrót, dopóki na tronie nie zasiadł Jan Albert. Po śmierci tego ostatniego wyraźnie już zaznaczają akta, że działalność sądów zawieszoną zo-

(1) I tak przytoczyć możemy przykłady jurysdycyi niespornéj, wykonywanéj podówczas przez sądy, u Liskego, „Akta grodzkie i ziemskie" V. 59; u Helcla, Starodawne prawa pol. pomniki II, Nr. 2549, 2553, 2554; przykłady aktów jurysdykcyi spornéj, Helcel II. Nr. 2550, z 25 czerwca 1434, o główszczyznę; Nr. 2551, z téjże saméj daty, w sprawie bliżéj nieznanéj (pro contentis in libro); Nr. 2552, z tejże saméj daty, o „przekazane rzeczy"; Nr. 2555, z 26 czerwca 1434, o gwałty i szkody.

(2) Dowodów mnóstwo u Helcla II, pod rokiem 1445—1447.

staje z powodu bezkrólewia (1), dodając jednak ten nader ważny dodatek, że nowe, tj. podczas bezkrólewia popełnione gwałty, mimo to wszystko sądzić się będą przed starostą (2). Był to, jak widzimy, wyjątek od uznanéj już powszechnie zasady, wyjątek podyktowany względem na potrzebę utrzymania bezpieczeństwa i spokoju publicznego, które wśród tego ogólnego zastanowienia sądownictwa najłatwiéj mogły być narażone na niebezpieczeństwo. Niebawem jednak, i to jeszcze za czasów jagiellońskich, przy dalszém, coraz ściślejszém określaniu rzeczy, zatracił się i ten wyjątek; nie spotykamy już bowiem później żadnych śladów jakiéjkolwiek jurysdykcyi spornéj, chociażby nawet w sprawach świéżo popełnionych gwałtów, a jedyną czynnością, jaką sądy w tych czasach wykonywują, to tylko jurysdykcya niesporna, przyjmowanie wpisów i zeznań do ksiąg sądowych, tudzież wydawanie ekstraktów, które w grodach praktykuje się w sposób zwyczajny, w ziemstwach zaś na t. z. leżeniu ksiąg ziemskich (*positio actorum terrestrium*), odbywaném zamiast przypadających na czas bezkrólewia roków ziemskich (3).

W chwili skonu Zygmunta Augusta (dnia 7 lipca 1572) rzecz cała nie przedstawiała już dla nikogo najmniejszéj wątpliwości. Bez wyraźnéj ustawy, bez jakiegokolwiek zresztą rozporządzenia ze strony tymczasowego rządu, jedynie tylko na podstawie wyrobionego zwyczaju, wszystkie sądy polskie, na pierwszą wieść o śmierci królewskiéj, jak gdyby na dane hasło, zawiesiły wszelkie swoje czynności procesowe (4). „Ze śmiercią króla wszystkie prawa ustają,

(1) Stanislaus de Chodecz, capitaneus Leopoliensis, transtulit terminos... occasione mortis Serenissimi Principis Johannis Alberti. Zapiska z r. 1501 w Castr. Leopol. t. VII str. 30 (w archiwum lwowskiém).

(2) Omnes termini et causae quarumcunque personarum, in diem hordiernum et in dies sequentes cadentes, una cum interrogationibus earumdem, iuramentis et documentis, de potestate capitaneali propter obitum Serenissimi domini Regis (Johannis Alberti) dantur et transponuntur.... et cum causis, quae sunt ad litteras datas ex officio ad querelam. *Novis tamen violentiis exceptis, quae interim poterint iudicari.* Zapiska z 23 czerwca 1501 u Helcla. II, 4533.

(3) Positio actorum praesentium ob mortem Serenissimi Principis domini domini Sigismundi, Dei gratia Regis Poloniae... interveniente, loco terminorum terrestrium celebrata est. Zapiska z 18 czerwca 1548 w aktach ziemskich czchowskich XIII. 153, obecnie w archiwum krakowskiém. Konfederacya, zawarta po śmierci Stefana Batorego r. 1586, powołuje się wyraźnie na to, iż podczas bezkrólewi zwykło się odbywać tylko leżenie ksiąg ziemskich: Ksiąg ziemskich, *obyczajem zwykłym*, leżenie ma być. Vol. leg. II. 1051.

(4) Przytaczamy tu kilka przykładów. W aktach grodz. belskich, t. 442, str. 879, 880 (archiwum lwowskie), czytamy pod 7 lipca 1572: Limitatio iudiciorum. Termini iudiciorum capitaneales castrenses Belzenses in diem hodiernam incidentes, ex certa ratione, videlicet propter mortem Serenissimi Sigismundi Augusti Regis Poloniae, ob cuius mor-

milczą; z śmiercią króla wszystkie sądy stanąć muszą; *ex morte regis iudicia omnia cessant*; *mortuo rege mortua est vis legum et iustitiae*; *mortuo rege tribunalia et iudicia, quae nomine regis vigorem obtinent, cessant et silent*,“—oto zapatrywania (1) któremi fakt ten uzasadniano, różne w słowach, jedne w treści, wyraz owych skrajnych konsekwencyj, do których prowadziło pojęcie o bezpośredniéj niejako emanacyi prawa i sprawiedliwości z osoby królewskiéj. Ów zleceny, pełnomocniczy charakter polskich władz sądowych wystąpił tu z całą jaskrawością na jaw, a zasada, iż wszelka władza pełnomocnika gaśnie ze śmiercią mocodawcy, została urzeczywistnioną z wszelką bezwzględnością, i to w sposób oryginalny i samodzielny, bo przecież i gdzieindziéj w Europie pojęcie zleconéj władzy sądów niższych nie było zupełnie obcém urządzeniom prawa publicznego, a przecież nigdzie indziéj nie wydobyto zeń tak daleko sięgających wyników. Polska znalazła się nagle bez wszelkich organów do wymiaru sprawiedliwości.

Taki stan rzeczy przedstawiał w bezkrólewiu z r. 1572 więcéj niebezpieczeństw, niż kiedykolwiek indziéj. Widzieliśmy, że jeszcze na samym początku wieku XVI, sądy zwyczajne, mimo zawieszenia

---

tem iura silerunt, ad futurum regem libere electum non sunt celebrati et... in toto suo vigore limitati, ad hoc usque tempus, quando erunt de mandato iudicii capitanealis castrensis Belzensis per certum ministerialem obclamati et praefixi.—W aktach gr. przemys. (t. 765 str. 846, arch. lwow.), pod datą nieoznaczoną szczegółowo, pochodzącą jednak w każdym razie z lipca 1572: Finiunt acta praesentia omnium generaliter causarum... ob decessum SS. Regis Sigismundi Augusti... Postquam notitia (de morte regis) ad officium praesens castrense Premisliense venit, officium praesens a disiudicatione omnium generaliter causarum officio capitaneali disiudicationi pertinentium desiit.—W aktach gr. oświęcimskich, pod 14 lip. 1572 (t. 45 str. 673, arch. lwow): Roki sądowe grodzkie starościńskie, na dzień dzisiejszy przypadłe, przez starostę zasiedziane, odłożone.—W aktach gr. sanoc. pod 14 lipca 1572 (t. 31 str. 164, arch. lwow.): Hic cessavit administratio omnium et singularum causarum et actionum tam iudicii quam officii castrensis capitanealis Sanocensis propter discessum ex hac luce Serenissimi Principis olim Regis Poloniae, ut quam primum ad notitiam officio ipso castrensi capitaneali Sanocensi de obitu ipsius Serenissimi Principis Sigismundi Augusti Regis Poloniae devenit, acta castrensia capitanealia Sanocensia clausa sunt, et causae omnes iudicii et officii eiusdem cessaverunt.—W aktach gr. krakows. pod d. 17 lip. (t. 1 rel str. 43 arch. krak.): Omnes termini et causae officii castrensis capitanealis Cracoviensis quaerelarum... per officium castr. capitaneale Crac. sunt transpositi. . propter obitum regium. Zaznaczyć zresztą winniśmy, że nie we wszystkich powyżéj przytoczonych lub im podobnych limitacyach odkładano sądy aż do koronacyi przyszłego króla; czasami odkładano je tylko na kilka tygodni; w tym wypadku jednak, po upływie tego terminu następowały dalsze limitacye, przez ciąg całego bezkrólewia.

(1) Powyższe zdania zebrane zostały ze współczesnych aktów sądowych. Kilka im podobnych zawierają cytaty przytoczone w poprzedzającéj uwadze.

swéj działalności, mogły przecież wyjątkowo sądzić przynajmniéj świeżo popełnione gwałty, i utrzymywać jako tako bezpieczeństwo publiczne w kraju; w r. 1572 nikomu nie przyszło na myśl dopuścić takiego wyjątku. A daléj potęgowała niebezpieczeństwo następująca okoliczność. Lubo za poprzedników Zygmunta A-gusta przez cały ciąg panowania dynastyi jagiellońskiéj istniała w Polsce w teoryi zasada elekcyjności tronu, to jednak faktycznie zasadę tę stosowano raczéj w jéj formie, niż w treści; mimo pojawiającéj się od czasu do czasu kandydatury innych książąt, wybór padał zawsze na Jagiellona; w chwili śmierci poprzednika, już sam stopień pokrewieństwa wskazywał niejako jego następcę, nie było prawie wątpliwości co do kandydata; nie mówiąc już o wypadku, który się zdarzył w pierwszéj połowie XVI wieku, gdzie jeszcze za życia ojca, syna jego obrano następcą. Stąd téż i bezkrólewia były spokojniejsze, i, co najważniejsza, krótsze. Począwszy od r. 1492, kiedy to, jak zaznaczyliśmy, po raz pierwszy śmierć królewska wpływa na zawieszenie funkcyj władz sądowych, czas między skonem poprzednika a koronacyą następcy wynosi zawsze kilka zaledwie miesięcy; najdłuższe z tego okresu bezkrólewie między Olbrachtem a Aleksandrem nie dochodzi nawet pół roku. W czasie stosunkowo tak krótkim można było snadniéj obyć się bez sądów. Obecnie jednak, z wygaśnięciem linii mezkiéj Jagiellonów, wobec pojawiających się z najrozmaitszych stron kandydatur, wobec tylu stronnictw przeciwnych, z których każde miało upatrzonego adepta do korony, groziły daleko większe niż poprzednio zamięszania, a. co już najbardziéj można było przewidywać, groziło dłuższe, nie kilka miesięcy, ale kilka może lat trwać mające bezkrólewie. Stąd téż i ów poniewolny spoczynek sądów przedstawiał obecnie większe niż kiedykolwiek niebezpieczeństwo. Dodajmy do tego jeszcze jeden wzgląd ważny, a zrozumiemy całą grozę położenia, w jakiém się podówczas kraj znalazł. Wspomnieliśmy już, że w drugiéj połowie wieku XV, w miejsce wszystkich dawniejszych sądów najwyższych, stanął sąd królewski jako jedyna instancya ostatnia. Przez pewien czas mógł on jeszcze podołać swojemu zadaniu; ale niebawem, od drugiéj zwłaszcza połowy rządów Zygmunta I, nastąpił w sądownictwie królewskiem, skutkiem zbytniego nawału spraw, niesłychany zastój; dziesiątki tysięcy procesów zalegały przez długie lata niezałatwione, a każdy nowy rok przynosił z sobą coraz większą ilość zaległości, którym król, jako jedyny sędzia najwyższy, mimo energicznéj i wytężonéj pracy, nie mógł żadną miarą podołać. To rozluźnienie stosunków w dziedzinie najwyższéj sprawiedliwości pociągnęło za sobą, jeszcze za życia obu ostatnich Jagiellonów, skutek całkiem naturalny; wzmogła się w kra-

ju swawola, nieposłuszeństwo i lekceważenie prawa, gwałty i rozboje przeszły na porządek dzienny, morderstwa i zabójstwa wzrosły w sposób zastraszający (1). Takie opłakane stosunki przekazywało panowanie Zygmunta Augusta potomności; o ileż groźniejszą postać przybierał cały stan rzeczy w bezkrólewiu po jego śmierci, kiedy nie tylko już sam sąd królewski, ale i inne sądy nie mogły stać na straży bezpieczeństwa publicznego, kiedy nieokiełznana swawola, która już dotąd rozrosła się tak bujnie, mogła teraz śmieléj jeszcze podnieść głowę, w czasie, kiedy, jak się wyrażano, milczą wszystkie prawa. Posłuchajmy głosu współczesnych, z jaką obawą spoglądali z tego powodu w otwierające się bezkrólewie: „Za życia Zygmunta Augusta—powiada Heidenstein—biegały po kraju dziwne przepowiednie, jakoby po śmierci jego państwo całe razem z nim zaginąć miało. Umysły wielu przejmowały strach i obawa. Niebezpodstawną była ta obawa, w ostatnich bowiem czasach Zygmunt August z powodu słabości sądów odprawiać nie mógł, a swawola wielu ogromnie rosła. Gdyby tedy razem ze śmiercią króla bojaźń prawa ustała, wszystko rzuciłoby się na rozboje i mordy“ (2). Takie były obawy; jakąż okazała się rzeczywistość? Zaledwie w dwa tygodnie po śmierci króla, wyraża się zjazd łowicki w publicznym akcie urzędowym: „Gwałty, najazdy, mordy i rapiny już się na wielu miejscach wszczynają“ (3).

Znalazła się Polska nagle i niespodziewanie w nader przykréj i drażliwéj kolizyi. Owe skrajne wnioski, jakie wyprowadzano z pojęcia o zleconéj władzy sądów, kazały jéj w bezkrólewiu zawiesić ich działalność; wzgląd na zapobieżenie największemu rozstrojowi stosunków wewnętrznych, domagał się koniecznie utrzymania téj działalności. Obie rzeczy wykluczały się nawzajem; przeprowadzenie jednéj musiałoby obalić drugą; że zaś żadną miarą nie chciano, czy też nie umiano się zdecydować na porzucenie całéj owéj skrajnéj teoryi, przeto nie pozostawało nic innego, jak tylko szukać jakiegoś pośredniego punktu wyjścia, który, nie ubliżając teoryi, potrafiłby przecież powołać w jakiś sposób zawieszone sądownictwo do życia, a tém samém usunąć groźne ze wszech miar niebezpie-

---

(1) O tym upadku sądownictwa królewskiego i skutkach, jakie stąd wynikły zob. dokładniéj w Genezie trybunału koronnego, cz. I.

(2) Heidenstein, Rerum ab excessu Sigismundi Augusti, ks. I.

(3) Teki Naruszewicza w Bibl. ks. Czartoryskich w Krakowie. t. 80, N. 41: Poselstwo od Rad koronnych, które się były do Łowicza zgromadziły, do Rad W. Księstwa Litewskiego. Por. też pismo u Noailla (Henri de Valois III. 89): cum multi de rapinis homicidiis, oppressionibus expostularent.

czeństwo. Tym pośrednim punktem wyjścia stała się dla Polski—konfederacya.

Nie ma może rzeczy, uzasadnionéj bardziéj ustrojem dawnego, zwłaszcza zaś średniowiecznego państwa, zarówno w Polsce, jak i gdzieindziéj na Zachodzie, jak właśnie konfederacya. Państwo średniowieczne, z organizacyą swoją na wskróś odśrodkową, z słabą władzą centralną, z niedostatecznemi siłami i środkami, nie było w stanie przeprowadzić wszystkich celów państwowych: wiele z nich trzeba było albo zaniechać zupełnie, albo, jeżeli miały być koniecznie urzeczywistnione, pozostawić je inicyatywie prywatnéj. Jakoż w istocie, inicyatywa ta prywatna występuje podówczas częstokroć na jaw, ale że siły jednostek, a nawet korporacyj, nie starczą do spełnienia tych obszernych zazwyczaj i trudnych zadań, przeto budzi się i rozwija w wiekach średnich duch assocyacyi, łączący pewną, zazwyczaj większą ilość tychże jednostek czy korporacyj, związanych jednemi widokami i jednym interesem, dążących wspólnemi środkami do osiągnięcia wspólnych celów. Tak działając, jako mniéj lub więcéj silna potęga, obok państwa, a czasem nawet przeciw państwu, tworzą się związki o najrozmaitszych częściach składowych, dążące do najrozmaitszych celów, przybierające najrozmaitsze formy zewnętrzne i nazwy, jak: fraternitety, bundy, hanzy, konspiracye, kolligacye, a już najczęściéj konfederacye. I w Polsce konfederacye oddawna już były znane. Wprowadzają je naprzód miasta w pierwszéj połowie wieku XIV, idąc za wzorami niemieckimi; w r. 1352 pojawia się pierwsza konfederacya rycerstwa i powtarza odtąd kilkakrotnie przez ciąg wieków średnich (1). Sięgając, w bezkrólewiu po wygaśnięciu Jagiellonów, do tego środka, nie wprowadzano wtedy żadnéj innowacyi, opierano się na instytucyi, która nabyła już obywatelstwa w publiczném prawie polskiém. Był to zaś jedyny środek, za pomocą którego ominąć było można niebezpieczeństwo, grożące podówczas Rzeczypospolitéj; gdy bowiem konfederacya już z istoty i pojęcia swego służyła do przeprowadzenia nadzwyczajnych, wyjątkowych celów, do których osiągnięcia nie wystarczały ani zwyczajne środki, ani normalne stosunki państwa, przeto można było, stosując tę zasadę do sądownictwa, postawić tezę, że z chwilą, gdzie kończy się prawidłowa działalność sądów zwyczajnych, konfederacya powołać może do życia sądy nadzwyczajne, których władza opierać się będzie nie na teoretycznéj idei o pełnomocnictwie królewskiém, ale na zleceniu saméj konfederacyi, które zatém dzia-

---

(1) Dokładniéj o początku konfederacyi w Polsce traktuje Szujski w szkicu: Maćko Borkowicz i pierwsza konfederacya rycerstwa.

łać mogą mimo śmierci królewskiéj, owszem, które działać mogą tylko w bezkrólewiu, skoro konfederacya, źródło i podstawa ich władzy, na ten tylko czas anormalnych stosunków zawartą została. Oto myśl zasadnicza, na której oparto istotę i władzę sądów kapturowych.

Stało się to zaś, w roku 1572, po raz pierwszy dopiero. Jeżeli bowiem przywiążemy do pojęcia sądów kapturowych znaczenie ścisłe i właściwe, jeżeli pod nazwą tą rozumiéć będziemy sądy nadzwyczajne, oparte na konfederacyi, wykonywujące sprawiedliwość tylko podczas bezkrólewia, i co najważniejsza, z zawieszeniem działalności innych sądów zwyczajnych, to spostrzeżemy, że wszelkie konfederacye, jakiekolwiek zawierano poprzednio, zdążały zawsze do odmiennych celów, że żadna z nich nie wprowadziła właściwych sądów kapturowych. I tak, jedne z nich, jak np. konfederacye z r. 1352 i 1439 (1) powstają za życia królów, nie wprowadzają zatém żadnych sądów z powodu bezkrólewia; inne, jak mianowicie konfederacya radomska z r. 1382 (2), lubo się zawiązała po zgonie Ludwika przed koronacyą Jadwigi, zobowiazywała wprawdzie uczestników, pod wiarą i poczciwością, ruszyć przeciw gwałtownikom, ale nie ustanowiła żadnych nowych sądów, określiła tylko formę egzekucyi, zupełnie w ten sam sposób, jak ją określały konfederacye, zawierane za życia królów. Jedyny wyjątek zdawała-by się tu stanowić druga konfederacya radomska z r. 1384, która ustanawiając tymczasowy rząd w bezkrólewiu po śmierci Ludwika, przyznała temuż rządowi prawo wykonywania sądownictwa nad wszystkimi, którzy się sprzeciwią jego rozporządzeniom (3). Wyjątek to jednak tylko pozorny, nie wprowadza on jeszcze właściwych sądów kapturowych. Jurysdykcya bowiem sądu tego konfederacyjnego zawarunkowaną była uprzedniém wydaniem rozporządzenia przez rząd i nie usłuchaniem go przez winnego, uprawniła zatém tylko do karania występków przeciw powadze i działalności administracyjnéj krajowéj; o uchy-

---

(1) Pierwsza w Raczyńskiego „Cod. dipl. Maioris Pol.“, str. 108, przedrukowana także w nowym kodeksie dypl. wielkopolskim; druga w Vol. leg. I. 141.

(2) Vol. leg. I. 58.

(3) Item in conventione celebrata nuper in Radomske domini concluserunt, quod in qualibet terra adiuncti sunt sex domini et duo cives ipsius terrae capitaneo eiusdem terrae, qui recipiant promissiones et iuramenta a communitate, quod ipsi omnes coniunctim et divisim praedictis dominis tenentur in omnibus obedire. Si quis ausu temerario memoratis dominis vellet contraire et ipsis non obedire, extunc ipsi domini praefatos rebelles debent incaptivare, incarcerare de bonis ipsorum se intromittere, aut ipsa destruere et cremare, nec unquam ista ab aliquo iure repetere, pro quibus tunc perpetuum silentium imposuerunt. Rozpr. i sprawozd. wydz. hist. fil. Akad. Umiej., t. I, str. 163—173 „Codex epistolaris saeculi XV“, str. 1.

leniu władzy sądów zwyczajnych, zarówno w sprawach cywilnych, jako też zwykłych sprawach karnych, nie ma tu jeszcze mowy, jak jéj nie było aż do połowy wieku XV.

Mając to wszystko na uwadze, możemy teraz przystąpić do wyjaśnienia kwestyi, skąd się wzięła nazwa sądów kapturowych. Kwestya ta jest sporną w nauce prawa polskiego, a to głównie dla tego, że celem wyjaśnienia jéj stawiano hipotezy więcéj oryginalne, niż naukowe. Argumentowano na przykład, że sądy kapturowe stąd się tak nazywają, iż mają prawo pojmać (*capere*) winowajców, albo znowu dla tego, że naród po śmierci króla zawdziewa niejako kaptur na siebie, czy-to dla okazania żałoby, jak mówili jedni, czy też dla zaznaczenia jedności swéj, tak potrzebnéj w czasie bezkrólewia, jak twierdzili drudzy, i pod osłoną tego kaptura ustanawia sądy, kapturowemi stąd zwane, na czas tegoż bezkrólewia. Wszystkie te wykładnie, jak widoczna, dzielą się na dwie grupy: jedna z nich wyprowadza nazwę od funkcyj sądu kapturowego, nie troszcząc się bynajmniéj o podstawę, na któréj się władza jego opierała, o konfederacyą; druga bierze za punkt wyjścia samę konfederacyą, twierdzi, że pojęcia konfederacya a kaptur, to rzeczy identyczne, ale tylko o tyle, o ile konfederacya powstała w czasie bezkrólewia. Obie interpretacye są błędne, lubo druga więcéj już niż pierwsza zbliża się do prawdy.

Bezstronne rozpatrzenie źródeł przekonywa nas, że według pojęć, jakie istniały u nas jeszcze w czasie bezkrólewia z r. 1572, każda konfederacya nazywała się kapturem, i to bez względu na to, czy ją zawiązano za życia króla, czy też po jego śmierci. W licznych pismach z czasów tegoż bezkrólewia spotykamy się co chwila ze zwrotem: *confoederatio alias kaptur*, przyczém powołując się na wzory dawniejsze, pisma te nazywają wyraźnie kapturami nietylko konfederacyą radomską z r. 1382, ale i nowokorczyńską z r. 1439; gdy zaś ostatnia zawiązaną została za życia Władysława III, przeto odpada wszelki powód do przypuszczenia, jakoby tylko konfederacye z czasów bezkrólewia nosić mogły nazwę kapturów, a wraz z tém rozwiewa się samo z siebie twierdzenie, jakoby w pojęciu kaptur tkwił jakiś objaw żałoby z powodu zgonu panującego. Jeszcze dobitniéj wyjaśniają całą tę sprawę słowa instrukcyi, wydanéj na sejmiku województwa sandomierskiego w r. 1563, a więc na dziewięć zaledwie lat przed bezkrólewiem. Opierając się podatkom nałożonym przez sejm, wyraża się szlachta w téjże instrukcyi (1): „Aby żadna angaria przez urzędy wkładana być nie mogła, aż wszystkim

(1) Rpls Bibl. ks. Czartoryskich w Krakowie, Nr. 1604.

ku wiadomości ustawa ta przyjdzie, która, gdyby była przeciw wolnościom, aby ich na sobie rozciągać nie dopuścili; stądże urosły te spiski, które my kaptury zowiemy, w których stoi, jako się przysięgą przodkowie nasi sprzysięgli, nietylko duszę przed Bogiem krzywoprzysięstwem obowiązując, ale téż i ciało przed ludźmi poczciwością. aby każdy bronić był powinien praw tych" itd. Widoczna tu ze słów tych, że grożono zawarciem konfederacyi. ale nie z powodu bezkrólewia, co większa, nie celem wprowadzenia jakichkolwiek sądów; chodziło jedynie o związek, mający się sprzeciwiać nałożonym podatkom, a jednak związek ten nazwano kapturem. Tak zaś wykazawszy identyczność obu tych nazw, możemy już z całą łatwością wyjaśnić pytanie, skąd się wzięła nazwa sądów kapturowych. Zwano je tak dla tego, ponieważ się opierały na konfederacyi, czyli kapturze; sądy kapturowe nie znaczą tedy nic innego, jak tylko sądy konfederacyjne, i gdyby np. konfederacya jaka zawiązana za życia króla była ustanowiła sądy, sądy te, według współczesnéj terminologii były-by się mogły zwać z równém prawem sądami kapturowemi, choć by nie miały przeznaczenia działać podczas bezkrólewia. Z tego punktu widzenia sądem kapturowym był także ów sąd z r. 1384, o którym wspomnieliśmy poprzednio, dla tego że się opierał na postanowieniach konfederacyi. Jaki był powód, że konfederacyą samę nazywano kapturem, to rzecz, któréj rozbiór nie do nas należy; rozwiązanie jéj ostateczne i stanowcze, da nam przyszła historya konfederacyj w Polsce, jak również i rozwiązanie drugiego pytania, które się z poprzedniém łączy bezpośrednio, dla czego póżniéj nazwa kaptur przybrała znaczenie ścislejsze, dla czego z czasem nie wszystkie już konfederacye znaczono jéj mianem, ale tylko te, które w czasie bezkrólewia powoływały sądy kapturowe do życia.

Nie było naszym zamiarem wdawać się w niniejszym artykule w kwestyą organizacyi sądów kapturowych z r. 1572. Mimo to jednak, dla uniknięcia nieporozumień, zaznaczyć musimy, że cała ta instytucya, właśnie dla tego, że znajdowała się podówczas dopiero w stadyum tworzenia, nie przybrała odrazu form jasno i stanowczo określonych, lecz przechodziła powoli przez rozmaite stopnie rozwoju. Były mianowicie dwie główne fazy w tym rozwoju. W pierwszéj z nich nie ma jeszcze mowy o właściwych sądach kapturowych. I tak mianowicie kaptur krakowski z 19 lipca 1572 roku (Vol. leg. II. 839) nakłada na skonfederowanych obowiązek, pod wiarą i poczciwością, powstać przeciw każdemu, który-by się dopuścił gwałtów, najazdów, łupiestw lub innych zbrodni i wykonać

na nim karę śmierci, infamii i konfiskaty majątku. Było to znowu, jak widzimy, dosłowne powtórzenie zasad, wyrażonych w dawniejszych konfederacyach, była tylka określona forma egzekucyi; w jaki jednak sposób winny miał być przekonany o swéj zbrodni, a przedewszystkiém, jaki sąd przeprowadzić miał proces przeciw niemu, konfederacya nie orzekła. Nieco odmiennie załatwiła tę sprawę konfederacya ziemi chełmskiéj, zawiązana 17 lipca (Noailles, Henri de Valois, III. 157). Zobowiązano się tu również zapobiegać wszelkim naruszeniom pokoju pospolitego, ale winnych postanowiono odesłać do najbliższego zjazdu koronnego, tj. sejmu konwokacyjnego. Téj saméj treści uchwały wydał także zjazd łowicki z 23 lipca (Noailles III. 85). Wszystkie te postanowienia miały jednak zasadnicze błędy: jedne chciały karać winowajców, a nie ustanawiały sądów, inne odsyłały ich do najniewłaściwszego forum, do sejmu, który leżał dopiero w dalszéj przyszłości, kiedy wzgląd na dobro publiczne wymagał jak najśpieszniejszego działania przeciw gwałtownikom, i który zresztą, zajęty innemi ważnemi a nagłemi sprawami, nie byłby znalazł dosyć czasu do wymiaru sprawiedliwości karnéj dla całego państwa. Przekonawszy się o niedostatkach wszystkich dotychczasowych postanowień, chwycono się niebawem innéj drogi, celem załatwienia sprawy, poczęto wprowadzać w poszczególnych ziemiach właściwe sądy kapturowe. Ze znanych nam postanowień, które wprowadziły te sądy, przytaczamy tu: konfederacyą gliniańską województw ruskiego i podolskiego z 31 lipca (Noailles III, 160), przyjętą późniéj dosłownie przez województwo sandomierskie, we wrześniu (Noailles III. 162, uw.); konfederacyą województw wielkopolskich z 15 października (Noailles III. 166); konfederacyą województwa mazowieckiego z 25 listopada (Teki Naruszewicza, t. 80, Nr. 150); konfederacyą województw krakowskiego i sandomierskiego z 16 grudnia (Noailles III. 163); ponowną konfederacyą województwa ruskiego z 2 marca 1573 (Noailles III. 274 i Plater, Zbiór pam. III. 35). Prócz tego wspomnieć należy jeszcze urywek kaptura bełskiego z 21 lipca 1572 (Noailles III. 159), którego treści bliżéj nie znamy.

Dr. Oswald Balzer.

Znoszenie jaj przez zwierzęta ssące.

Dziobaka i kolczatkę poznano w końcu zeszłego stulecia. Dr. Shaw 1799 roku opisał dziobaka pod nazwą *Platypus anatinus*, która to nazwa do pewnego stopnia dotychczas utrzymuje się w jego ojczyznie, tj. w Anglii. W następnym roku dziobak otrzymał od dr. Blumenbacha powszechnie używane do dziś dnia miano *Ornithorhynchus paradoxus*.

Dr. Shaw 1792 r. opisał kolczatkę czyli dziebielatkę nazywając ją *Myrmecophaga aculeata*, tj. mrówkojadem kolczatym, albowiem mniemał, że należy zaliczyć ją do mrówkojadów, jako posiadającą maleńki, bezzębny otwór gęby, długą rurkowatą mordę i długi język. W roku 1797 Jerzy Cuvier dał poznać inny gatunek kolczatki pod nazwą *Echidna setosa*. Ponieważ wcześniéj bo 1778 r. Forsterowie (1), ojciec i syn, tem samém mianem mieli oznaczyć pewien rodzaj ryby, przeto Illiger 1811 r. nadał kolczatkom rodzajową nazwę *Tachyglossus*. Obecnie obie nazwy: *Echidna* i *Tachyglossus*, bywają stosowane, co staje się powodem pewnego zamięszania. W 100 lat blisko po odkryciu wymienionych gatunków kolczatki Peters i Doria 1877 r. opisali trzeci gatunek, a w następnym roku Ramsay dał poznać czwarty jéj gatunek. Gatunek opisany przez Petersa i Dorię przedstawia pewne różnice w budowie nóg i języka, które posłużyły Pawłowi Gervais do utworzenia nowego rodzaju *Acanthoglossus* z jedynym gatunkiem *A. Bruynii*. Tak więc znamy obecnie pięć gatunków dziobaka i kolczatek, mieszczących się w trzech rodzajach, których znamiona są pokrótce następujące.

---

(1) Jan Jerzy Adam Forster od r. 1784 do r. 1787 był profesorem w Wilnie, gdzie i jego ojciec poszukiwał katedry.

Ornithorhynchus. Szczęki tworzą spłaszczony dziób pokryty miękką skórą. Zamiast zębów z każdéj strony u góry i u dołu po parze blaszek rogowych. Nogi krótkie, pięciopalcowe, palce spięte błoną. Ogon płaski. Skóra pokryta włosem. Pięta samca uzbrojona szponem przedziurawionym do którego otwiera się przewód gruczoła położonego w dolnéj części uda. Jedyny znany gatunek *O. paradoxus* mieszka w Australli i Tasmanii. Przebywa w rzekach i stojących wodach; na wybrzeżach kopie nory z dwoma wyjściami, jedne nad drugiem pod powierzchnią wody. Karmi się drobnemi zwierzętami wodnemi.

Echidna (*Tachyglossus*). Szczęki tworzą wydłużoną, nagą i cienką rurkę z maleńkim otworem gęby na końcu. Zupełny brak zębów, nawet rogowych. Język robakowaty, na końcu gładki, tylna część języka i podniebienie pokryte w tył podanemi rogowemi brodawkami. Nogi krótkie, pięciopalcowe, palce wolne, każdy z pazurem. Ogon krótki, gruby. Na grzbiecie i bokach ciała pomiędzy włosami długie kolce. Samiec podobnie jak w poprzednim rodzaju uzbrojony, lecz szpon znacznie mniejszy. Kolczatki są nocne, zamieszkują wilgotne lasy, karmią się owadami, zwłaszcza mrówkami. Kopią podziemne nory. Mogą się podobnie jak jeż zwijać. *E. hystrix*, mieszka w Australii; *E. setosa*, w Tasmanii; *E. Lawesii*, w południowéj części Nowéj Gwinei.

Acanthoglossus. Podobny do poprzedniego rodzaju, od którego różni się następującemi szczegółami: pysk znacznie dłuższy i mocniéj łukowaty. Nogi pięciopalcowe, ale tak z przodu jak z tyłu zewnętrzny i wewnętrzny palec szczątkowe tylko trzy pozostałe z pazurami. Przednia część języka z rogowemi brodawkami ustawionemi w trzy podłużne szeregi: Brodawki na podstawie języka ustawione w odmienny nieco sposób. Jedyny znany gatunek: *Acanthoglossus Bruynii* mieszkający na północy Nowéj Gwinei.

* * *

Stanowisko dziobaka i kolczatki w układzie zwierząt było powodem niemałéj rozmaitości zdań. Blumenbach pomieścił dziobaka w grupie ssących płetwonogich (*Palmata*) swego układu, wyznaczając mu miejsce pomiędzy wydrą i morżem. Dr. Shaw trafniéj postąpił mieszcząc i dziobaka i kolczatkę w linneuszowskim rzędzie szczerbatych (*Bruta*), lecz ograniczając się z konieczności samą tylko zewnętrzną formą zwierząt, dostrzegł on jedynie ich podobieństwo do mrówkojada, polegające na zupełnym braku zębów. Ważne prace Sir Everarda Home (1802) nad anatomią w mowie będą-

cych zwierząt wykazały ich wzajemne podobieństwo i wielostronne powinowactwa, ukryte pod znacznemi napozór różnicami zewnętrznego wyglądu. Opierając się na tém podobieństwie E. Home połączył dziobaka i kolczatkę w jeden rodzaj, któremu nadał blumenbachowską nazwę *Ornithorhynchus*. Nadto zwrócił on uwagę na okoliczność, że prawdopodobnie dziobak i kolczatka znacznie różnią się od innych ssących swém płodzeniem, albowiem posiadają odmiennie zbudowane przyrządy płciowe, oraz w obu płciach nie mają brodawek sutkowych.

Prof. Geoffroy St. Hilaire uznając słuszność poglądu E. Home utworzył dla zajmujących nas zwierząt odrębny rząd, któremu nadał nazwę jednootwornych (1) (*Monotremata*), albowiem badania anatomiczne przekonały go, że kał, mocz i produkta płciowe wydostają się na zewnątrz przez jedyny otwór, podobnie jak u ptaków, gadów i ziemnowodnych, gdy tymczasem u innych ssących dla kału istnieje oddzielny otwór odbytu i oddzielny dla moczu i produktów płciowych. Później, mniemając że jednootworne nie mają ani brodawek ani gruczołów mlecznych, oraz umocniwszy się w przekonaniu o ich jajorodności, stanowczo oddzielił je od gromady zwierząt ssących i uznał za gromadę pośrednią pomiędzy temi ostatniemi a ptakami i gadami.

Taki pogląd na stanowisko jednootwornych nie znalazł jednak powszechnego przyjęcia. Cuvier, który, jak widzieliśmy, oddzielił kolczatkę od prawdziwych mrówkojadów i nadał jéj nazwę *Echidna*, znakomicie przyczynił się do zbadania budowy anatomicznéj tak kolczatki, jako téż dziobaka. Przyjął on zbiorową nazwę jednootwornych, lecz pomieścił je w swoim układzie jako grupę zwierząt szczerbatych.

Przeciwko zdaniu Geoffroy St. Hilaire powstali także inni zoologowie, pomiędzy innemi de Blainville, znakomity anatom francuski, który 1816 r. wykazał, że gromada zwierząt ssących daje się podzielić na trzy grupy: *ornithodelphes* (jednootworne), *didelphes* (workowate), *monodelphes* (łożyskowe). Późniejsze badania stanowczo potwierdziły słuszność poglądów wielkiego anatoma i zaproponowany przez niego podział zw. ssących powszechnie jest przyjęty z tą tylko różnicą, że niektórzy za przykładem Ryszarda Owena łączą jednootworne i workowate jako skupienie zwierząt bezłożyskowych. W takim razie gromada ssących rozpada się na dwie główne grupy: łożyskowych i bezłożyskowych, a ostatnia składa się z dwóch rzędów: workowatych i jednootwornych.

---

(1) Jednootworne otrzymały także polską nazwę stekowców.

Anatomiczne badania doprowadziły tedy do oznaczenia stanowiska jednootwornych w układzie zwierząt. Dla ostatecznego rozstrzygnięcia rozmaitych pod tym względem zagadnień pozostawało jednak wyjaśnić sposób ich rozmnażania się, do czego obecnie przejść by nam wypadło, lecz z uwagi że wielu czytelnikom niezawodnie brak wiadomości koniecznych do należytego zrozumienia faktów, nad któremi wypada się nam zastanowić, konieczną jest rzeczą przedewszystkiém poznać niektóre szczegóły dotyczące płodzenia wogóle i płodzenia zwierząt ssących w szczególności.

* * *

Bezpośrednie spostrzeżenia dają nam poznać jeden tylko sposób powstawania nowych organizmów jako potomstwo innych podobnych organizmów rodzicielskich. Wprawdzie nie należy ztąd wyprowadzać wniosku aby powstawanie istot ożywionych bez wpływu rodziców było rzeczą niemożebną; nawet jest ono bardzo prawdopodobném, pomimo to jednak nie znamy ani jednego faktu któryby niezbicie dowodził istnienia *samorództwa*, tj. powstawania organizmów bez udziału rodziców, czy to obecnie czyli téż w dawniejszych czasach. Zatém płodzenie rodzicielskie pozostaje jedynym znanym obecnie sposobem powstawania organizmów.

Smiało można powiedziéć, że każda istota żyjąca posiada zdolność wydawania potomstwa; indywidualne wyjątki są stosunkowo tak nieliczne że na bliższą wzmiankę nie zasługują. Wogóle rozróżniamy dwojakiego rodzaju płodzenie: *bezpłciowe i płciowe*.

Bezpłciowe płodzenie polega na oddzieleniu od ciała macierzystego pewnéj części, która przybiera postać nowego osobnika. *Podziałem* nazywamy rozmnażanie się polegające na podziale macierzystego organizmu na dwie lub więcéj części, z których każda uzupełnia się i zamienia na nowy organizm.

Jako *pączkowanie* odróżniamy formę płodzenia bezpłciowego, w któréj na organizmie macierzystym powstaje nabrzmienie powoli powiększające się i tym sposobem dające początek nowemu osobnikowi. Ponieważ przy podziale powstające połówki mogą być rozmaitéj wielkości i różnica może być bardzo nawet znaczna, przeto ostatecznie podział przechodzi w pączkowanie i pomiędzy temi sposobami płodzenia ścisłéj granicy przeprowadzić nie można.

Pączki powstają albo na zewnętrznéj powierzchni rodzica albo wewnątrz jego organizmu. W pierwszym razie nazywamy je *zewnętrznemi*, w drugim zaś *wewnętrznemi*. Niekiedy wewnętrzne pącz-

ki są bardzo małe i bardzo wcześnie oddzielają się od organizmu rodzicielskiego; nazywamy je *zarodnikami*.

Płodzenie płciowe na tém polega, że dla utworzenia nowego osobnika potrzeba współudziału dwóch pierwiastków, czyli dokładniéj mówiąc dwóch komórek, które zlewają się z sobą i tym sposobem dają początek nowemu utworowi posiadającemu zdolność wytwarzania nowego osobnika. Jedną z tych komórek, dostarczającą materyału na budowę nowego organizmu nazywamy *jajkiem*, drugą, która daje popęd do przeobrażeń jajka, nazywamy *ciałkiem* albo *nitką nasienną*. Znaczenie nitek nie jest jeszcze należycie wyjaśnione.

Aby niepozostawiać czytelnika w niepewności dodaję, że pod nazwą komórki pojmujemy bryłkę substancyi przejrzystéj, mniéj lub więcéj ziarnistéj, zwanéj *protoplasmą* (*zarodzią*), w któréj mieści się bardziéj zbite ciało czyli *jądro*. W jądrze bardzo często znajduje się błyszczące ciałko lub ciałka, zwane *jąderkami*. Z komórek rozmaitego kształtu i rozmaicie przeobrażonych, oraz z wytworzonych przez nie produktów składa się cały organizm czy to roślinny czyli téż zwierzęcy. Objawy życiowe organizmu, chociażby najbardziéj złożonego, są zbiorowym objawem życia składających go pojedyńczych komórek.

Pierwotnie jajko nie różni się od innych otaczających je komórek, stopniowo jednak wyróżnia się od nich przybierając znacznie większe wymiary i w wielu razach charakterystyczne położenie względem otoczenia.

* * *

Jajko posiada taką samę budowę jak komórka, lecz rozmaite jego części składowe odmiennie bywają nazywane: protoplasmę jajka odróżniamy jako *żółtko*, jądro jako *pęcherzyk zarodkowy*, a jąderka jako *plamki zarodkowe*, które rozmaicie bywają liczne.

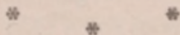
Na żółtku powstają powłoki, które mogą być wytworem albo jego samego, albo otaczających je komórek.

W drobnoziarnistéj protoplasmie żółtka powstają znacznie grubsze, błyszczące ciałka zwane *żółtkiem odżywczem*, gdy tymczasem samę protoplasmę jajka odróżniamy jako *żółtko twórcze*. W jednych jajkach żółtko odżywcze jest jednostajnie rozproszone w twórczem, w innych zaś skupia się przeważnie na jednym biegunie jajka, gdy tymczasem na drugim zbiera się przeważnie żółtko twórcze otaczające pęcherzyk zarodkowy. U niektórych zwierząt, np. u ptaków, koło pęcherzyka zarodkowego skupia się prawie czyste żółtko twór-

cze tworzące małą tarczkę białawą, gdy tymczasem cała żółta masa składa się prawie wyłącznie z żółtka odżywczego, którego części składowe są połączone bardzo małą ilością protoplasmy. Budowę żółtka ptasiego najłatwiéj rozpatrzéć na gotowaném jajku kurzem, gdzie żółtko twórcze tworzy tak zwaną bliznę, a odżywcze wyraźnie odznacza się swym żółtym kolorem i tworzy to, co w życiu powszedniem właśnie dla tego zabarwienia nazywamy żółtkiem.

U wielu bardzo zwierząt, a pomiędzy niemi u zwierząt kręgowych, jajka powstają we właściwych przyrządach zwanych jajnikami. Z wyjątkiem niektórych ryb, jajko oddzieliwszy od jajnika przechodzi do właściwych przewodów czyli *jajowodów*, któremi wydostaje się na zewnątrz. Jajowody razem z przewodami moczowemi, albo się wprost na zewnątrz otwierają, jak np. u człowieka i wogóle u ssących, albo téż wraz z kiszką grubą otwierają się do wspólnéj komory zwanéj *stekiem* (*cloaca*). W pierwszym razie znajdują się dwa zewnętrzne otwory, jeden dla kału, drugi dla moczu i produktów płciowych, w drugim zaś razie istnieje jedyny otwór steku, jak u ptaków, gadów, ziemnowodnych, niektórych ryb, oraz, jak widzieliśmy, u jednootwornych (1).

Jajko może się pokrywać w jajowodzie nowemi utworami, będącemi wydzieliną ścian tego ostatniego. Tym to sposobem na powierzchni jajka ptasiego osiada warstwa bezbarwnego białka, a na niéj wapienna, dziurkowata skorupa. U gadów jajko także otacza się w jajowodach rozmaicie grubą warstwą białka oraz skorupą, która u jajorodnych pokrywa się grubszą lub cieńszą powłoką wapienną.



Najwybitniejszą właściwością jajka jest jego zdolność do wytwarzania nowego osobnika, co się w następujący sposób odbywa.

Żółtko twórcze ulega podziałowi, czyli tak zwanemu *przeważaniu*, albo *segmentacyi*, a mianowicie stopniowo dzieli się ono na coraz liczniejsze części czyli kulki przewężne. Ostatecznie, tym sposobem otrzymujemy wielką ilość drobnych stosunkowo kulek czyli komórek zarodkowych, które grupują się według pewnych, dla każdego zwierzęcia stałych prawideł i tym sposobem dają początek nowemu osobnikowi. We wszystkich znanych wypadkach ko-

(1) Stosunek przewodów nasiennych i moczowych względem kiszki lub steku jest aki sam jak jajowodów i przew. moczowych.

mórki zarodkowe układają się najprzód w dwie, następnie w trzy warstwy, czyli listki zarodkowe: górny, dolny i środkowy, które dają początek pewnym, ściśle oznaczonym organom i do tego w całem państwie zwierzęcém pod tym względem te same panują prawa.

Ciało nowego zwierzęcia buduje się z żółtka twórczego, czyli z protoplasmy jajka, gdy tymczasem żółtko odżywcze dostarcza pokarmu téj protoplasmie, która skutkiem tego powiększa swoją objętość, tj. zarodek rośnie.

Przewężanie żółtka odbywa się w rozmaity sposób, odpowiednio do nagromadzonego w niém żółtka odżywczego i do sposobu rozłożenia jego cząstek. Jeżeli ilość tego żółtka jest stosunkowo mała, a jego cząstki jednostajnie rozłożone, wówczas całe jajko dzieli się z jednakową szybkością, a powstające przytém kulki przewężne są prawie jednakowéj wielkości. Przewężanie tego rodzaju odróżniamy jako *regularne*, a ulegające mu jajka odróżniamy jako *holoblastyczne*. Pomiędzy innemi, zwierzęta ssące posiadają jajka holoblastyczne. W innych razach, gdy żółtko odżywcze znacznie jest rozwinięte i prawie samo jedno tworzy pewną część jajka z zupełném niemal wyłączeniem żółtka twórczego, skupionego na przeciwnym biegunie koło pęcherzyka zarodkowego, przewężaniu ulega tylko nagromadzenie tego ostatniego, tworzące tak zwaną bliznę. Częściowe to przewężanie jest znamieniem jajek *meroblastycznych*, właściwych ptakom, gadom, rybom ościstym itd.

Pomiędzy temi krańcowemi formami jajek istnieją rozmaite formy przejściowe, nad któremi jednak zastanawiać się nie będziemy, albowiem ich znajomość nie jest potrzebna do zrozumienia zajmującego nas przedmiotu.

* * *

W stosunku do przychodzącego na świat płodu jajko zawiera rozmaitą ilość materyału i pokarmu. przeznaczonego do wytworzenia tego płodu. W wielu bardzo razach w jajku mieści się cały zapas materyału płodowego i matka po wytworzeniu jajka niczego więcéj nie udziela rozwijającemu się potomkowi. W innych wypadkach w jajku znajduje się bardzo mało materyału, a rozwijający się zarodek głównie czerpie pokarm z krwi swojéj matki.

Jajka, zawierające cały zasób materyału, potrzebnego do rozwinięcia się nowéj istoty, są stosunkowo duże, gdy tymczasem jajka z materyałem niewystarczającym są nadzwyczaj małe; jako przykład jaj pierwszego rodzaju może nam służyć jajko kurze i w ogóle

ptasie (uważane bez białka), a jako przykład jaj drugiego rodzaju przytoczę jajko człowieka i w ogóle zwierząt ssących, mające średnio 0,2 milimetra średnicy.

Wprawdzie samice wszystkich zwierząt rozmnażających się drogą płciową, a zatém wszystkich zwierząt ssących, wraz z człowiekiem, właściwie w pewnych odstępach czasu tak dobrze znoszą jajka, jak np. kura lub gołąb, ze względu jednak na to, czy w jajku znajduje się nagromadzony cały materyał embryologiczny lub nie, odróżniamy *zwierzęta jajorodne* i *żyworodne*. Pomiędzy pierwszemi zachodzi ta różnica, że u niektórych jajko bardzo wcześnie wydostaje się na zewnątrz i wyjąwszy najpierwsze jego zmiany cały rozwój odbywa się na zewnątrz matki, jak np. u kury i wszystkich ptaków, albo téż jajko dopóty pozostaje wewnątrz matki, tj. w jajowodzie, dopóki się z niego nowy osobnik nie rozwinie. W pierwszym razie odróżniamy zwierzęta jako *jajorodne* w ścisłém znaczeniu, w drugim zaś jako *jajo-żyworodne*, np. żmija, salamandra. Jajo-żyworodność tém się odznacza, że jajko podczas pobytu wewnątrz organizmu matki nie otrzymuje od niéj żadnego pokarmu. Niekiedy jajo-żyworodność do tego posuwa się stopnia, że w jajowodach matki potomstwo nietylko się wylęga, ale nadto odbywa w nich przeobrażenia, np. u salamandry i niektórych much.

U zwierząt w ścisłém znaczeniu *żyworodnych* rozwijający się zarodek otrzymuje pokarm od matki za pośrednictwem układu krwionośnego. Wymiana pomiędzy krwią matki i płodu następuje w tak zwaném *łożysku*, gdzie naczynia krwionośne pierwszéj i drugiego w ścisłym pozostają związku, a to w sposób następujący.

Płód zwierząt kręgowych, nie mówiąc o innych, posiada pewne właściwe sobie utwory, zwane *błonami płodowemi*, które albo zupełnie, albo w znakomitéj części zostają zrzucone podczas przyjścia i wkrótce po przyjściu na świat zwierzęcia. Żółtko, które nie zostaje od razu spożytkowane do budowania powstającego zarodka, mieści się w *pęcherzyku żółtkowym*, którego ścianki, będące przedłużeniem ścianek przewodu pokarmowego, są opatrzone siecią naczyniową, połączoną z naczyniami krwionośnemi zarodka. Drugą błoną płodową, której nie mają ani ryby, ani ziemnowodne (z wyjątkiem może bezogonowych), jest *omoczna*, będąca wypukliną końcowéj części kiszki, czyli steku, który pierwiastkowo zarówno istnieje u człowieka i zwierząt ssących, jak u ptaków, gadów itd. W dalszym jednak przebiegu rozwojowym u człowieka i ssących stek rozdziela się podłużną przegrodą na dwa kanały: na przedłużenie kiszki i na przewód moczo-płciowy, do którego otwierają się przewody moczowe

i płciowe. Naczynia krwionośne zarodka rozgałęziają się w ściankach omocznéj (1).

Dla utworzenia łożyska znacznie grubieje wysłanie odpowiedniéj części jajowodu, zwanéj macicą, w któréj się rozwój zarodka odbywa, oraz na jéj powierzchni wewnętrznéj powstają nierówności, tj. zagłębienia pooddzielane wzniesieniami, a naczynia krwionośne silnie się w tych miejscach rozwijają. Z drugiéj strony omoczna rośnie coraz bardziéj i ostatecznie rozpościera się na wewnętrznéj powierzchni tak zwanéj kosmówki, tj. błony otaczającéj zarodka, wraz ze wszystkiemi jego błonami. Na powierzchni kosmówki powstają nierówności, czyli *kosmki*, do których wchodzą gałąski naczyń omocznéj. Kosmki wchodzą w zagłębienia na wewnętrznéj powierzchni macicy i tym sposobem naczynia krwionośne płodu prawie bezpośrednio stykają się z takiemiż naczyniami macicy. Tym sposobem zarodek otrzymuje pokarm ze krwi matki, która za niego oddycha. W ten sposób powstaje łożysko (*placenta*) u zwierząt ssących, którego jednak zwierzęta workowate (*Marsupialia*) wcale nie mają z powodu mało rozwiniętéj omocznéj. To dało powód Owenowi do rozdzielenia gromady ssących na dwie grupy: *łożyskowych* i *bezłożyskowych*. Pierwsza z tych grup jest daleko liczniejsza i obejmuje zwierzęta w ścisłém znaczeniu żyworodne, druga zaś, bez porównania szczuplejsza, składa się ze zwierząt żywo-jajorodnych.

Chociaż to właściwie do traktowanego przedmiotu nie należy, wspomnę jednak, że pomiędzy rybami niektóre żarłacze, czyli rekiny są prawdziwemi żyworodnemi zwierzętami, lecz ich łożysko jest utworzone przez pęcherzyk żółtkowy, a nie przez omoczną, któréj ryby, jak nam wiadomo nie posiadają. Fakt żyworodności żarłaczy, odkryty przez Arystotelesa w IV wieku przed narodzeniem Chrystusa, przeszło 2000 lat był podawany w wątpliwość, bo dopiero w połowie bieżącego stulecia Johannes Müller stanowczo go stwierdził.

* * *

U zwierząt ssących matka nie przestaje udzielać pokarmu swemu potomstu nawet po jego przyjściu na świat, gdyż przez pewien czas karmi je mlekiem, które powstaje w specyalnych gruczołach mlecznych. Karmienie mlekiem i odpowiednie gruczoły spotykamy

(1) Zarodek wielu zwierząt kręgowych (ssących, ptaków i gadów) posiada trzecią jeszcze błonę *owodną*, która w obecném roztrząsaniu nie ma dla nas znaczenia i dla tego pozostawiam ją bez bliższéj wzmianki.

u wszystkich zwierząt ssących i do tego wyłącznie u nich, jest to więc znamię gromady pierwszorzędnego znaczenia.

U zwierząt ssących okolica skóry, gdzie się przewody mleczne otwierają jest wzniesiona jako brodawka sutkowa, pozwalająca na pierwszy rzut oka rozpoznać zwierzę ssące, zwłaszcza, że brodawki zachowują się nawet u samców, które zresztą nie posiadają odpowiednio rozwiniętych gruczołów.

U jednootwornych gruczoły mleczne są bez brodawek; ich przewody otwierają się na powierzchni skóry gładko na brzuchu rozpostartéj. Gruczołom mlecznym przypisywano u tych zwierząt rozmaite inne znaczenia, aż wreszcie Owen znalazł zcięte mleko w żołądku maleńkiego, nagiego dziobaka, a J. Bennett miał sposobność wyciskać mleko z nabrzmiałych gruczołów samicy.

U jednootwornych, podobnie jak u workowatych, gruczoły mleczne są z każdéj strony pokryte włóknami mięsnemi, które kurcząc się wyciskają mleko. Młode nie potrzebują tedy ssać i poprzestają na łykaniu wypływającego pokarmu.

* * *

Sposób płodzenia jednootwornych, aż do ostatnich czasów wątpliwą był rzeczą.

W początkach tego wieku Geoffroy St. Hilaire, opierając się na podaniach o znajdowaniu jajek w gniazdach dziobaka uznał jednootworne za zwierzęta w ścisłém znaczeniu jajorodne, tj. znoszące jajka, które się na zewnątrz matki rozwijają. Zdanie to podzielali niektórzy badacze, lecz przeciw niemu powstał Ryszard Owen, największa powaga pod względem anatomii i fizyologii jednootwornych.

Ryszard Owen, do ostatnich czasów dyrektor zbiorów historyi naturalnéj w British Museum, jeden z najpłodniejszych i najgenialszych anatomów bieżącego stulecia, zwany angielskim Cuvier'em, przeszło 50 lat przy każdéj sposobności pracował nad anatomią i historyą płodzenia dziobaka i kolczatki, w czém dzielnie dopomagał mu dr. Jerzy Bennett, dawny jego współtowarzysz studyów uniwersyteckich, osiadły w Australii. Bennettowi zawdzięczamy wiadomości o zwyczajach dziobaka, ogłoszone 1834 roku, a następnie w znacznéj części sprawdzone przez J. Verreaux 1848.

Owen pierwszą pracę o jednootwornych ogłosił 1832 r., ostatnią zaś w grudniu roku zeszłego. Z uwagi na budowę jajka, która według niego miała odpowiadać budowie jajka w innych ssących; mając na uwadze okoliczność, że błona śluzowa jajowodów podczas obecności w nich jajek znacznie nabrzmiewa; z uwagi na powiększe-

nie objętości jajka w jajowodzie, co przypisywał powiększeniu objętości żółtka, jak to ma miejsce u królika, lecz u ptaków spostrzegać się nie daje; wreszcie opierając się na spostrzeżeniach Bennetta, który znalazł w gnieździe dziobaka maleńkie dzieci, zaledwie nieco więcéj nad 2 cale (angielskie) długie, lecz nie mógł odszukać najmniejszego śladu skorup jajowych, oraz na zasadzie rozmaitych innych względów Owen przyszedł do wniosku, że dziobak, oraz przez analogią i kolczatka, jajek nie znoszą, lecz podobnie jak workowate wydają żywe potomstwo, które jednak nie pozostaje w ściślejszym związku ze ścianami jajowodów. Innemi słowy, Owen stale bronił zdania, że jednootworne, podobnie jak workowate, w stanie płodu są pozbawione łożyska. Tak więc oba wymienione rzędy uważał Owen za zwierzęta ssące jajo-żyworodne, i z tego powodu połączył je w jedną grupę; pierwotnie, odpowiednio do ich rozwoju nazwał je *Implacentatia*, tj. bezłożyskowe, a następnie, według budowy mózgu odróżnił jako *Lyencephala*.

Owen pierwszy zbadał maleńkie i oczywiście bardzo młode okazy jednootwornych: okaz dziobaka nieco więcéj nad 2 cale, i kolczatki nieco więcéj nad 1 cal długi. Te młodziutkie osobniki dostarczyły bardzo ciekawych faktów. Owen wykazał, że budowa ich gęby doskonale odpowiada pochłanianiu ciekłego pokarmu, wypływającego z otworów mlecznych, chociaż u dorosłych osobników byłoby to stanowczo niemożebném. Tym sposobem znikła wszelka wątpliwość co do karmienia mlekiem młodego potomstwa. Następnie Owen u tak młodych okazów dostrzegł mały guziczek pomiędzy nozdrzami położony, oczywiście odpowiadający takiemuż guziczkowi u płodu żmii, żółwi i niektórych ptaków (wodnych i kurowatych), gdzie służy do rozcinania miękkiéj, lub do kruszenia twardéj skorupy jajowéj. Guziczek jest utworem znikomym, albowiem u nieco starszych osobników wcale go nie ma. Obecność guziczka nie sprzeciwia się jajo-żyworodności, bo istnieje on u żmii, która rozmnaża się w ten mianowicie sposób.

Powaga imienia Owena, zdobyta genialnym umysłem i niezmordowaną pracą, rzuciła zupełny cień na innych badaczy, pracujących nad tym samym przedmiotem i mało, może nawet zamało zwracano uwagi na zdania przeciwne. Nawet nie uwzględniano tak stanowczego spostrzeżenia, jak ogłoszone 24 września 1864 r. w „Illustrated Melbourne Post" i następnego roku powtórzone w dzienniku „Zoologist", które w tłómaczeniu brzmi jak następuje:

Jajka dziobaka.

„Mniéj więcéj przed miesiącem schwytano dziobaka (*Ornithorhynchus paradoxus*), który znajduje się w posiadaniu p. Rumley, poborcy złota w Woods Points. Dziobak złożył dwa jajka, które były białe, miękkie i bez skorupy. Wielka szkoda że nie było sposobności bliżéj je rozpatrzéć, albowiem zostały wyrzucone wkrótce po złożeniu. Dotychczas pytanie, czy ta niezwykła istota łącząca ptaki ze ssącemi wydaje żywe potomstwo lub znosi jajka, było przedmiotem sporu pomiędzy naturalistami. Obecnie należy uważać je za rozwiązane:“

To nadzwyczaj ważne zawiadomienie dopiero w styczniu r. b. odgrzebano, gdy świeże spostrzeżenia zwróciły na ten przedmiot szczególną uwagę.

* * *

W końcu roku zeszłego z Australii do Europy przybyła wiadodomość o stanowczém i niewątpliwém sprawdzeniu jajorodności kolczatki i dziobaka; co dziwniejsza, odkrycie zostało dokonane prawie jednocześnie, bo z różnicą kilku zaledwie dni, przez dwóch badaczy, którzy wzajemnie o sobie nie wiedzieli. Dr. Wilhelm Haacke, ówczesny dyrektor południowo-australskiego muzeum w Adelajdzie, odkrył jajko kolczatki d. 25 sierpnia r. z. a w cztery dni późniéj W. H. Caldwell, przebywający w Queensland, zawiadomił o jajorodności i dziobaka i kolczatki.

Dr. Haacke otrzymawszy parę żywych kolczatek po niejakiem ich oswojeniu przedsięwziął oględziny torby sutkowéj samicy, przyczem w torbie znalazł jajko długie koło dwóch centimetrów, pokryte, podobnie jak jajka gadów, pargaminową skorupką. Na nieszczęście zawartość znajdowała się w stanie rozkładu i skorupka pękła pod uciskiem palcy (*Zoologischer Anzeiger*, 1 grudnia 1884 r. N. 182, str. 647).

P. Caldwell, wychowaniec uniwersytetu w Cambridge otrzymał od Towarzystwa Brytańskiego (British Association) stypendyum dla odbycia podróży naukowéj, z poleceniem zbadania historyi rozwoju jednootwornych i dokładniejszego wyjaśnienia historyi zadziwiającéj ryby *Ceratodus*, posiadającéj i skrzela i płuca, która z jednéj wody do drugiéj przechodzi po suchym lądzie. P. Caldwell przybył do Australii 1883 r. Swoje odkrycie streszcza on w liście do wydawcy „Sydney Herald“ z d. 16 września 1884 r.

„Panie, posyłam panu następujące zawiadomienie w przekonaniu, że obudzi ono zajęcie niektórych czytelników pańskiego pisma.

Embryologia jednootwornych: *Ornithorhynchus* i *Echidna*, pospolicie zwanych dziobakiem i kolczatką, dotychczas wcale nie jest znana. Według saméj tylko ich budowy było prawdopodobném że znajomość ich rozwoju dostarczy ważnych rezultatów. Sprawdziło się to w wyższym daleko stopniu aniżeli przewidywałem. Obie formy są jajorodne. Jajka zawierają znaczną ilość żółtka odżywczego, a zatém przewężanie jest tylko częściowém (typ meroblastyczny). Jajka zostają złożone w stanie rozwojowym odpowiadającym stanowi 30 godzinnego płodu kurczęcia; są one okryte tęgą, giętką, białą skorupą; ich dłuższa średnica wynosi koło $^3/_4$ cala, a krótsza $^1/_2$ cala (angielskiego)."

„*Ornithorhynchus* składa na raz dwa takie jajka, gdy tymczasem *Echidna* składa jedno tylko. Pierwszy umieszcza jajka w gnieździe na końcu jednéj z nor, druga nosi jajko w podbrzusznéj torbie sutkowéj. Zebrałem już większą część stanów rozwojowych i spodziewam się otrzymać w ciągu obecnéj pory lęgowéj wystarczającą ich ilość." (*Annals and Magazine of Natural History*. Serya V, tom 14, grudzień 1884 r. str. 375).

Dr. Bennet, zamieszkały w Sydney, przesłał powyższy wyjątek z gazety australskiéj profesorowi Owenowi, który dołączył go do ostatniéj swéj pracy o jednootwornych, a mianowicie o kolczatce. Tak więc dwaj badacze, którzy utrwalili przekonania o wydawaniu przez jednotworne żywego potomstwa, z całą bezstronnością rzeczywistych miłośników prawdy pośpieszyli rozpowszechnić w Europie wiadomość stanowczo zbijającą ich długo pielęgnowane przekonanie, oparte na starannych, lecz, jak się pokazuje, niewystarczających spostrzeżeniach. Prof. Owen bez ogródki wyraża radość z powodu, że mu zostało dozwoloném doczekać rozwiązania zagadnienia biologicznego, które uważał za rozstrzygnięte od czasu gdy 1832 r. ogłosił pierwszą swą pracę o dziobaku (*Philosophical Transactions*).

Płód kurzy w pierwszéj połowie drugiego dnia, któremu mniéj więcéj pod względem rozwoju odpowiada zarodek jednootwornych zawarty w zniesioném jajku, posiada rurkę nerwową w znacznéj części z przodu zamkniętą, oraz w przednim końcu rozszerzoną jako pierwszy pęcherz mózgowy. Rozwijające się kurczę posiada w tym wieku rurkowate serce, oraz główne naczynia krwionośne, jako też zawiązki przewodów Wolffa, czyli przewodów pierwotnych nerek. Głowa jest w tym czasie ogromna, bo zajmuje blisko trzecią część długości całego zarodka.

Gniazdo dziobaka pierwszy opisał Bennet jako nagromadzenie suchéj trawy i chwastów spotykane w czasie wydawania potomstwa.

Torby kolczatki znamy z opisów Owena, według którego z każdéj strony brzucha istnieje u samicy wpuklenie skóry ½ cala głębokie, na dnie którego znajdują się ujścia gruczołów mlecznych. Ze spostrzeżeń Owena wynika, że torby są utworem czasowym, rozwijającym się w epoce płodzenia, gdy się powiększają gruczoły mleczne, co téż późniejsze spostrzeżenia o tyle potwierdziły, że chwilowe istnienie toreb jest rzeczą co najmniéj nader prawdopodobną. Haacke potwierdzając spostrzeżenia Owena w tém jednak pozostaje z nim w sprzeczności, że znalazł u kolczatki jedną tylko, nieparzystą torbę. Owenowi wiadomem było, że młoda, świeżo na świat wyszła kolczatka gnieździ się w torbie matki zanurzywszy w niéj głowę i przyczepiwszy się wcześnie rozwiniętemi pazurami.

* * *

Określenie stanowiska jednootwornych w układzie zwierząt nie przedstawia teraz żadnych trudności. Od innych zwierząt ssących wyróżniają się one następującemi znamionami.

W budowie skieletu przedstawiają właściwości, któremi zbliżają się przedewszystkiém do gadów, w części do ptaków, mianowicie zaś: drugi krąg szyjowy oraz żeberka szyjowe są podobnie jak u gadów zbudowane. Łopatka łączy się z mostkiem dwiema kośćmi: obojczykiem, który istnieje u człowieka i wielu ssących, oraz szeroką kością kruczą, zbudowaną podobnie jak u gadów, która u innych ssących przedstawia się jako bardzo krótki wyrostek tego samego nazwiska. Pomiędzy obojczykami i mostkiem znajduje się kostka w kształcie litery T, któréj inne ssące nie posiadają, ale jest ona w podobny sposób rozwinięta u gadów. Panewki kości biodrowych, służące do pomieszczenia główek kości udowych, są na dnie przedziurawione, podobnie jak u ptaków i krokodylów.

Mózgowie pod tym względem jest podobne do mózgowia gadów, że półkole mózgu wcale móżdżku nie zakrywają, a łączące je spoidło wielkie (*corpus callosum*) nadzwyczaj jest małe.

Ślimak ucha nie jest skręcony, jak to ma miejsce u innych ssących, a strzemię nie jest przedziurawione.

Jak widzieliśmy, jednootworne posiadają stek, podobnie jak ptaki, gady, ziemnowodne i niektóre ryby.

Jajka są duże i wystają na powierzchni jajników, czego nie spostrzegamy u innych ssących, lecz spotykamy u ptaków i gadów.

Wreszcie, jajka są zbudowane podobnie jak u gadów i bardzo wcześnie zostają zniesione, poczem rozwijają się po za organizmem matki.

Z drugiéj znowu strony jednootworne są do innych ssących podobne albowiem mają gruczoły mleczne, są pokryte siercią, ich szczęka dolna bezpośrednio styka się z czaszką (nie ma kości kwadratowéj).

Biorąc pod uwagę wykazane podobieństwa jednootwornych do ssących i do gadów oraz ptaków, najwłaściwiéj uczynimy pozostawiając je w gromadzie ssących jako odrębną podgromadą. stanowiącą przejście do wymienionych dwóch pozostałych gromad. Workowate, jako pozbawione łożyska, a zatém jajo-żyworodne, oraz pod względem budowy mózgu zbliżone do jednootwornych, utworzyć winny drugą podgromadę, a wszystkie inne ssące będą wówczas stanowiły trzecią podgromadę jako w ścisłém znaczeniu żyworodne i pod każdym względem wyższéj organizacyi. Jedném słowem, po 70 blisko latach usilnéj pracy wielu utalentowanych badaczy przychodzimy do wniosku, że de Blainville słusznie podzielił gromadę ssących na trzy wiadome nam podgromady. Cały zasób wiedzy i doświadczenia zebrany przez te 70 lat świetném jest potwierdzeniem idei francuskiego anatoma, który opierając się na bardzo szczupłym zapasie faktów odgadł rzeczywiste pokrewieństwo rozmaitych skupień zwierząt ssących, którego nie mógł należycie dowieść.

August Wrześniowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Biblioteka matematyczno-fizyczna. Serya III. Arytmetyka przez M. A. Baranieckiego, 1884.

W zamierzoném na szeroką skalę wydawnictwie: *Biblioteka matematyczno-fizyczna*—trzy razy spotykamy się z arytmetyką. W seryi pierwszéj, przeznaczonéj dla dzieci, mamy: *początki arytmetyki*, które już wyszły z druku, napisane przez p. Berkmana. Nie wdając się w ocenę téj książki zaznaczymy tu tylko, że jest to przewodnik dla uczącego, obejmujący zakres liczb od 1 do 10.000.

W seryi II-éj spotykamy znowu *arytmetykę*, którą pisać ma tenże sam p. Berkman. Nie można naturalnie przesądzać o książce, która dopiero wyjść ma z druku, ale jeżeli taka książka występuje w całym szeregu jednolitego wydawnictwa, można mniéj więcéj zdać sobie sprawę, co i jak powinno w niéj być traktowane. Otóż rozglądając się w seryi II widzimy, że nie można jéj odnieść do idealnie nawet rozwiniętéj szkoły elementarnéj, ludowéj: jest to zakres wyższych szkół miejskich, zakładów naukowych żeńskich,—arytmetyka więc w téj seryi powinna już objąć całość przedmiotu i być taką, jak arytmetyka dla klas niższych gimnazyalnych. Nadto, jeżeli-by ta arytmetyka była także przewodnikiem dla uczącego, powinny by obok niéj wyjść w oddzielnéj książce zadania arytmetyczne,—jeżeliby zaś zawierała tylko sam wykład, tj. była książką dla ucznia, to w niéj saméj powinny-by się znaleść zadania w dostatecznéj ilości. W każdym razie, w seryi II koniecznie powinniśmy znaleść obszerny zbiór zadań arytmetycznych, a tymczasem występują one jako tom II-gi seryi III-éj, dopełniający tom I téjże seryi: *arytmetykę teoretyczną*.

Obok takiego zupełnego wykładu *arytmetyki*, że tak powiém, *praktycznéj z zadaniami*, jaki z natury rzeczy powinien znaleść się w seryi II, było-by jeszcze miejsce dla arytmetyki *teoretycznéj*, ale już *bez zadań* w seryi III, odpowiadającéj, a właściwie mówiąc, przechodzącéj zakres gimnazyów i szkół realnych,—ale powinna-by to być istotnie arytmetyka teoretyczna, tj. stająca odrazu na ściślejszym gruncie, zajmująca się uogólnieniami i używająca wszędzie, gdzie to jest dogodne, znaków ogólnych. Taka książka może po części dać wskazówki nauczycielowi powtarzającemu arytmetykę w końcu kursu gimnazyalnego, po części przydać się uczniowi kończącemu szkołę, a zamierzającemu obrać sobie zawód z matematyką związany: w każdym razie wykład w niéj powinien być zwięzły i treściwy, bo czytać ją będzie tylko taki, którego umysł przywykł już do ścisłych rozumowań ogólnych. Tymczasem, gdy wyszła arytmetyka seryi III, napisana przez samego redaktora biblioteki, p. Baranieckiego, dostaliśmy ogromny tom, przeszło 400 stronic formatu ósemki, i spostrzegliśmy odrazu, że to kurs bardzo mało teoretyczny, w którym przy końcu każdego prawie § autor odsyła do odpowiedniego § zadań (nie wydanych jeszcze), przesadnie unika znaków ogólnych,—tak, że ze względu na ogólny charakter téj książki wypada ją cofnąć do seryi II. W takim zaś razie, mimowolnie nasuwa się przypuszczenie, czy i arytmetyki seryi II nie wypadnie cofnąć do seryi I, jako uzupełnienie kursu elementarnego, zaczętego w *początkach arytmetyki*.

Z tego już wnosić można, że redakcya nie miała jasno zakreślonego planu, przynajmniéj co się arytmetyki tyczy, a jeszcze wyraźniéj ujrzymy to, zająwszy się szczegółowym rozbiorem arytmetyki p. Baranieckiego.

Opiszemy najpierw zewnętrzną stronę téj książki. Dzieli się ona na *rozdziały*, to znowuż na obszerne *paragrafy*, składające się z *ustępów*. Drukowaną jest dwojakiemi czcionkami: większemi i mniejszemi i zawiera dwojakiego rodzaju odsyłacze: gwiazdkowe, odnoszące się do miejsc drukowanych większemi czcionkami i liczbowe, odnoszące się do miejsc drukowanych mniejszemi, albo też zawierające przypiski dydaktyczne.

Z przedmów do téj książki (bo jest ich dwie,—jedna ogólna od redakcyi, druga już osobiście od autora) dowiadujemy się, że to co jest w niéj drukowane większemi czcionkami, wraz z odsyłaczami gwiazdkowemi ma służyć za wzór dla nauczyciela w prowadzeniu wykładu, a zarazem jako książka do czytania dla ucznia przy pierwszém powtarzaniu kursu, ku czemu proponuje nawet autor drugie wydanie, zawierające tylko te miejsca. Nie bez pewnego przycisku

musimy się tu zapytać, czy dwa tak różne cele dają się z sobą połączyć? Nauczyciel w wykładzie trzymając się metody indukcyjnéj (jak tego zresztą chce sam autor), przez odpowiednio dobrane przykłady wyrabia i ugruntowuje w uczniach nowe pojęcia,—uczeń powtarzając kurs, ma już pojęcia gotowe, i nie podobna go zmuszać, aby szczegółowo sobie przypominał, jaką drogą do nich dochodził.

Miejsca drukowane czcionkami mniejszemi „częściowo powinny, a częściowo mogą być uwzględniane przy powtarzaniu kursu arytmetyki przed egzaminem dojrzałości, jako téż przy przygotowaniach do egzaminów nauczycielskich“ (przedmowa I). Gdyby więc było to drugie wydanie, wypadło-by, że uczeń powinien-by oba nabywać.

W obecném wydaniu miejsca drukowane małemi czcionkami nie tworzą oddzielnych choć-by §§, ale są tak rozrzucone, że nawet w ciągu jednego ustępu, zaczętego większemi czcionkami, występuje kilka wierszy mniejszemi, a potém znów daléj większemi. Podobnie mozajkowe drukowanie ujdzie w jakiéjś geografii, ale w książce matematycznéj, gdzie chodzi o ciąg rozumowania, pierwszy to chyba raz zostało przeprowadzone,—miejmy nadzieję, że i raz ostatni.

Przystępując do rozbioru téj książki pod względem treści i mając na uwadze podwójny cel tego nawet, co jest drukowane większemi czcionkami, zawahać się można z jakiego stanowiska na nią się zapatrywać, czy jako na przewodnik dla uczącego, czy jako na książkę dla ucznia? Ze względu jednak, że autor nie opowiada w niéj jak postępować z uczniami, ale traktuje sam przedmiot, a tylko w kilku miejscach w odsyłaczach robi dydaktyczne uwagi, wypadnie zapatrywać się na nią, jako na kurs, który uczeń *przy pierwszém powtarzaniu* odczytywać powinien. Otóż tu przedewszystkiém powiedzieć musimy, że książki téj takiemu uczniowi w żaden sposób do ręki dać nie można: zgubił-by się on w jéj ogromie, pojedyńczych ustępów nie zrozumiał-by z powodu rozwlekłego, wodnistego, a czasami oszołomiającego wykładu, z powodu obszernych, a dziwnie ciężko ukutych definicyj. Takie są bowiem charakterystyczne cechy książki p. Baranieckiego: im to zawdzięczać możemy, że obdarzył on literaturę naszą, *tak obszerną* arytmetyką, jaką się żadna inna literatura pochlubić nie może, szczególniéj jeżeli uwzględnimy szczupły stosunkowo zakres co do treści (1). Dziwną ironią losu do niego zwrócić trzeba własne jego zdanie, pomieszczone w XII

---

(1) Autor zupełnie nie mówi o podnoszeniu do potęg, o wyciąganiu pierwiastków, nawet rzecz o działaniach skróconych traktuje nie wyczerpująco.

tomie pamiętnika towarzystwa nauk ścisłych, w ocenie algiebry Niewęgłowskiego: „Jakby było się z czego chlubić: z wielkich rozmiarów! Owszém, wprost przeciwnie: w niewielkich stosunkowo rozmiarach zdołać jasno wyłożyć dobrze uporządkowaną treść—oto założenie piszącego podręcznik elementarny. Już sam wielki rozmiar chybia założeniu takiego podręcznika. A gdy się jeszcze w tych rozmiarach mieści wielce ciemny wykład, co wtedy?“

Zarzuty postawione książce p. Baranieckiego najłatwiéj byłoby udowodnić zacytowaniem jakichś kilku obszerniejszych ustępów; ze względu jednak, że zajęło-by to zbyt wiele miejsca, musimy tu poprzestać tylko na ogólnych wskazówkach w opowiadaniu treści, ale każdego odesłać możemy do saméj książki, radząc mu odczytać którykolwiek z paragrafów na pierwszych trzystu stonicach, pod koniec bowiem książki autor był już mniéj rozwlekłym. Przystępujemy teraz do szczegółowego przeglądu téj książki, przyczém winniśmy uprzedzić, że z jednéj strony obszerność dzieła, a z drugiéj stanowisko, na jakiém sam autor postawił się w przedmowie, gdzie mówi o nielicznych korzyściach, osiągniętych z przeglądania innych podręczników, o własnych obmyślaniach, wspomina kilkakrotnie o swojéj praktyce pedagogicznéj,—tak jedno jak drugie daje nam prawo do większych wymagań i upoważnia do surowszego sądu. Z tego też względu nie uniewinnia p. Baranieckiego ta okoliczność, że *niektóre* z usterek i braków, które wytkniemy, znaleść można i u innych autorów,—ci inni nie przemawiali w ten sposób w swoich przedmowach.

Rozdział I, traktujący o liczeniu, jest jednym z lepszych w téj książce, znajdujemy tu dobre określenie arytmetyki, słusznie bardzo w drobnym druku pomieszczone, i zwrócilibyśmy uwagę, że i takie określenia, jak np. „jedność jest to wynik z wymierzenia pewnego przedmiotu drugim takim samym“, powinny-by także należéć do ustępów drobnym drukiem. W każdym razie, nie mówiąc już o rozwlekłości, rozdział ten w skutek swego zbyt filozoficznego charakteru nie nadaje się nawet jako wskazówka w nauczaniu, a tém bardziéj nie może być przez małych uczniów czytany. Nie bardzo udało się autorowi objaśnianie pisania liczb, pozwolimy sobie nawet przytoczyć ten ustęp, bo choć nie jest szczególnie charakterystycznym, ale jest krótką w sobie całością i daje pojęcie o sposobie pisania autora. Na stronicy 19 czytamy:

„Gdy mamy większą liczbę, np. pięćdziesiąt sześć, czyli 5 dziesiątków i 6 jedności, to aby ją napisać, wypadało-by postawić cyfrę 5, rozumiejąc, że ona ma nam przedstawić dziesiątki zawarte w naszéj liczbie, a prócz tego cyfrę 6, jako przedstawienie pozostałych jedności. Gdy te dwie cyfry napiszemy obok siebie w takim po

rządku, w jakim one były w wyrażeniu:—5 dziesiątków 6 jedności— tj. gdy napiszemy — 56, — i gdy to zestawimy z przedstawieniem liczby pięć (jedności) — 5, — to widzimy, że dla oznaczenia pięciu dziesiątków, możemy używać téj samej cyfry 5, co dla oznaczenia pięciu jedności, byle ją postawić tak, w liczbie — 56, — tj. na miejscu drugim, licząc miejsca od strony prawéj".

Podobne rozumowanie, czy też opowiadanie (bo nie wiemy jak to nazwać), ciągnie się na stronicy 20 i 21, a u dołu téj 21 zaczyna się ustęp:

„Gdy zestawimy ze sobą np. liczby: — 3524 — 18046 — 495 — 524087—to widzimy, że w każdą z nich wchodzi cyfra 4, ale w pierwszéj oznacza 4 jedności, w drugiéj 4 dziesiątki, w trzeciéj 4 setki itd., tj. że *wartość części liczby, przedstawionéj przez cyfrę, zależy od miejsca, na którym ta cyfra jest postawiona*".

Ostatni ustępik jest dla autora bardzo ważny, skoro dopiero z niego wyciąga autor zasadę pisania liczb, zamiast postawić ją o trzy stronice wyżéj przed pisaniem 56,—ale bezwzględnie biorąc razi on trochę w arytmetyce teoretycznéj, prędzéj by uszedł w podręczniku dla samouczków. Dodatkowym sposobem zanotujemy tu pretensyą do autora, że mówiąc o systemacie liczenia, opartym na liczbie 11, tak wyrobionym, że są w nim oddzielne nazwy dla liczb 121, 133., nie wskazuje w odsyłaczu szczegółowo źródeł skąd tę wiadomość zaczerpnął (1), bez wyraźnych dowodów nie chce się mimowolnie w to uwierzyć.

W rozdziale II mówi autor o dodawaniu liczb całkowitych na 15 stronicach, i o odejmowaniu na drugich 15. Zadziwić się tu można, jakim sposobem starczyło mu na to materyału? Mniéj więcej takim: Dowodowi téj prawdy, że suma nie zależy od porządku składników, autor poświęca całych 6 stronic (str. 29—35), z których 5 większego druku, a jedna drobnego: na niéj zaś spotykamy się z takiemi twierdzeniami: suma nie zmienia się gdy zmieniamy porządek dwu jéj pierwszych składników.... dwu ostatnich... dwu którychkolwiek sąsiednich... itp.

Dla czego autor wybrał taki sposób dowodzenia téj prawdy, która przy najściślejszym traktowaniu rzeczy dowodzi się przez rozkład składników na jedności, które późniéj rozmaicie grupujemy,— tego odgadnąć nie podobna.

Objaśnia daléj autor dodawanie liczb i na *pięciu* oddzielnych przykładach wypisuje tego rodzaju sztuki łamane:

---

(1) Jest wprawdzie odsyłacz, ale ogólnikowy i odnoszący się do całego ustępu.

$$365+7497+966=300+60+5+7000+400+90+7+900+60+6=$$
$$=7000+(300+400+900)+(60+90+60)+(5+7+6)=$$
$$=7000+1600+210+18=$$
$$=(7000+1000)+(600+200)+(10+10)+8=$$
$$=8000+800+20+8=8828.$$

Czyż nie umiejący dodawać nauczy się z podobnego objaśnienia, a umiejący, czyż zechce pięć razy nad podobnemi przekształceniami się zastanawiać lub je przerabiać? jeżeli zaś ucznia zmusimy do tego, jaka stąd korzyść? czyż to w ten sposób kształci się ścisłe myślenie?

Ale za to, jak drobiazgowo autor zajmuje się kwestyą, kiedy-by można, a kiedy nie wykonywać dodawanie i odejmowanie, poczynając od ręki lewéj: nawet na elementarz dla samouczków, byłoby tych objaśnień za wiele.

Wspomnieliśmy już powyżéj, że autor lubuje się w ciężko ukutych definicyach, z zasady jakiéjś nadmiernéj ścisłości,—z drugiéj jednak strony pozwala sobie najgrubszych nieścisłości, takich, które staranny nauczyciel w opowiadaniu ucznia poprawia. I tak np. wypowiadając w 13 wierszach (str. 52) ostateczne prawidło odejmowania, zaczyna je autor od słów: „aby dwie liczby odjąć *od siebie*“ (?!). Nawiasowo dodamy, że podobnież (str. 112) zaczyna się ostateczne prawidło dzielenia: „aby podzielić dane liczby *przez siebie*“. Szczególnym także sposobem autor wysławia własności reszty z odejmowania (str. 45): „Jeżeli do odjemnéj dodajemy pewną liczbę, to *wypadnie* do reszty dodać“. Gdyby autor powiedział: to reszta wypadnie o tę liczbę powiększona, byłby jeszcze w porządku, ale w tym sensie co u autora nie zdarzyło nam się jeszcze spotkać słowa „wypadnie“ w prawdach matematycznych. Razi także, gdy autor w ustępie 16 (str. 54). przystępując do odejmowania liczb mianowanych prostych, ucieka się do wzoru:

odjemna = odjemnikowi + reszcie,

i odwołuje się do ustępu 18 (str. 41), a stamtąd znowuż do określenia liczby, ażeby wypowiedzieć tę tylko prostą prawdę: że odjemna i odjemnik powinny być jednogatunkowe, i że reszta będzie tego samego gatunku. Ten metafizyczny fanatyzm ścisłości już-by prędzéj uszedł w drobnym druku.

Rozdział III na 63 stronicach traktuje o mnożeniu i dzieleniu liczb całkowitych. Tu dopiero autor sypie jak z rogu obfitości objaśnienia trudnych i zawiłych kwestyj mnożenia przez liczbę jednocyfrową. Najpierw cała prawie stronica poświęcona braniu 6 złotych 4 razy, przyczém autor powiada: „za pomocą mnożenia krócéj wykonywamy dodawanie jednakowych składników“. Zdawało-by się,

że to już kwestya skończona, tymczasem spotykamy jeszcze napomknienia o tém razy kilka, a w ustępie 18 (str. 68 i 69) autor pokazuje, że mnożeniem 692 przez 4 zastępujemy dodawanie, które notabene wypisane jest w całéj rozciągłości; toż samo zupełnie powtarza przy mnożeniu 740593 przez 5, a wątpiąc, czy czytelnik dokładnie to pojął, na stronicach 70 i 71 przez całe prawie dwie stronice rozbiera znów kwestyą mnożenia 697 (już nie 692) przez 4!

Daléj o mnożeniu przez cyfrę znaczącą z zerami mamy pół trzeciéj stronicy, przyczém zabawia nas autor takiemi wypisywaniami (str. 72):

„$30568 = 3 \times 10000 + 5 \times 100 + 6 \times 10 + 8$
$30568 = 3 \times 10 \times 10 \times 10 \times 10 + 5 \times 10 \times 10 + 6 \times 10 + 8$
albo jeszcze (na mocy ustępu 3):
$30568 = 3 \times 10000 + 5 \times 100 + 6 \times 10 + 8 \times 1$
$30568 = 3 \times 10 \times 10 \times 10 \times 10 + 5 \times 10 \times 10 + 6 \times 10 + 8 \times 1$“.

Przeglądającemu to, mimowoli wyrywa się wykrzyk: dla kogo! po co! to pisane?

Jako nowość pedagogiczną zanotować tu musiemy, że autor w ustępie 27 radzi wyrabiać w uczniach podwójny mechanizm przy mnożeniu; w tém nie znajdzie chyba naśladowców.

Nie możemy także pojąć, co tu znaczy ten pięciostronicowy ustęp o kątach, kwadratach, prostokątach, sześcianach i „sześciościanach, które nie są sześcianami“? Miejscem na to odpowiedniém jest tom V seryi I (1),—w kursie arytmetyki popularnym dla samouczków, służyć-by to mogło jako wstęp do miar kwadratowych i sześciennych, ale skąd to zostało przyczepione do mnożenia? Niesystematyczności w układzie książki dowodzi także pomieszczenie przy mnożeniu przemiany liczb napisanych w innym systemacie na systemat dziesiątkowy, a następnie o 30 stronic daléj, przy dzieleniu rozwiązywanie zadania odwrotnego. Oba te ustępy powinny były być pomieszczone razem drobnym drukiem w rozdziale I, traktującym o liczeniu.

Przystępując do dzielenia autor najpierw na pięciu stronicach objaśnia co to jest dzielenie w wypadku dzielenia zupełnego, tj. bez reszty, wciąż prawie zajmując się jednym przykładem 24 zł. przez 4 i 24 zł. przez 6 zł. i dopiero na str. 94, w odsélaczu, ale nie gwiazdkowym (a więc takim, który autor zamierza opuścić przy powtórném wydaniu), cytuje 12 wierszy, traktujących o téjże kwestyi, a wyjętych z arytmetyki dla szkół narodowych, które doskonale całe te

---

(1) O najprostszych figurach geometrycznych.

pięć stronic mogą zastąpić, i które odczytując, czytelnik, znużony i oszołomiony poprzedzającemi wywodami autora, jakoś swobodniéj oddycha. Wyrozumiawszy ostatecznie, co autor chciał w téj gmatwaninie rozumowań, pomocniczych określeń i prawideł powiedzićć, nie możemy się na jego wywody zgodzić. Autor chce koniecznie uważać dzielenie tylko jako działanie odwrotne mnożeniu, co odpowiednie jest w algiebrze w obec sztucznych koncepcyj: jednomianów, wielomianów,—ale niedopuszczalne w arytmetyce przy rozwiązywaniu zadań, szczególniéj z liczbami mianowanemi, tu bowiem każde działanie odpowiada pewnym konkretnym faktom życiowym. Dzielimy pewną wielkość na kilka części równych, nie myśląc o jakiémś uprzedniém mnożeniu,—innym razem pytamy się, ile razy pewna wielkość mieści się w innéj, i żądamy całkowitego wypadku jako odpowiedzi: tu więc nawet *nie mogło* być uprzedniego mnożenia.

Autor wystąpił tu jako przeciwnik rozróżniania właściwego dzielenia i mieszczenia się, w skutek tego bardzo niesktadnie wypada przerozumowanie (ust. 10) dzielenia 22 zł. przez 4 zł., a gdyby autor w obszernéj swéj książce więcéj był dał wskazówek rozwiązywania zadań, byłby się przekonał, że bez *mieszczenia się* właściwie pojętego, natrafia się co krok na trudności tego właśnie rodzaju.

Autor w ogólności nie jasno postawił kwestyą ilorazu niezupełnego, nie dając mu żadnego konkretnego znaczenia, określanego tu jako: „liczbę posiadającą tę cechę, że iloczyn jéj i dzielnika jest mniejszy od dzielnéj, a jednocześnie iloczyn téj liczby powiększonéj o jedność i dzielnika, byłby już większy od dzielnéj",— ale późniéj na str. 269 bez żadnych dopełnień w tém określeniu uważa liczbę 42,86 za iloraz nie zupełny, co jest jakby wskazówką, że ten iloraz nie koniecznie potrzebuje być całkowity. Nawiasowo dodamy tu, że pomieszczenie w jednym ustępie określenia ilorazu niezupełnego i dowodu, że każda liczba jest podzielną przez samą siebie i przez jedność, jest rażące, szczególniéj przy tak szczodréj numeracyi ustępów.

Pomimo tak obszernego traktowania rzeczy, autor ani na jednym przykładzie nie objaśnił dzielenia w sposób naturalny, tj. ten, w którym nazywa się rząd kolejno dzielonych jednostek, które potém w reszcie zamienia się na jednostki rzędu niższego: woli on sposób wykładany na stronicach od 102 do 112, które radzimy przerzucić temu, kto jeszcze nie powziął z naszych wzmianek pojęcia o rozwlekłości, z jaką autor pisze: szczególniéj początek, w którym autor na 3 stronicach objaśnia dzielenie 25438 przez 6, można nazwać pod tym względem klasycznym.

Nie mówi także autor o zmianach ilorazu przy powiększeniu lub zmniejszeniu tylko dzielnéj lub dzielnika w wypadkach dzielenia zresztą: czego têm bardziéj żałować należy, że uważniejsze zbadanie tych przypadków uchroniło-by go zapewne od ważnego opuszczenia, które już na błąd zakrawa: w ustępie 21, mówiąc o próbie dzielenia przez dzielenie, stosuje to i do dzieleń nie zupełnych bez żadnych zastrzeżeń. Ładnie wypadła autorowi próba, gdy ilorazem było 25, a resztą 14,—ale co by było w wypadku odwrotnym?

Zwrócimy tu jeszcze uwagę, że prawda tak elementarna, jak zastąpienie dzielenia przez 12, dzieleniami przez 3 i 4 powinna-by koniecznie znaleść miejsce w większym druku (str. 100), i że w obec półstronicowego prawidła o dzieleniu liczb, zbyteczna dążność do zwięzłości podyktowała autorowi prawidło: „w ilorazie otrzymujemy tyle cyfr, o ile jest ich więcéj w dzielnéj niż w dzielniku, albo o jednę więcéj“.

Rozpisaliśmy się tak obszernie nad początkowymi rozdziałami téj książki, aby dać pojęcie o sposobie pisania autora, i uzasadnić têm powyżéj wypowiedziany sąd, że książka ta nie może być daną uczącym się do ręki i w ogólności do żadnego dydaktycznego użytku się nie nadaje. Nie dotykając już więcéj téj kwestyi, w przeglądzie następnych rozdziałów będziemy, o ile możności, zwięzłymi.

W rozdziale IV autor mówi o miarach i o działaniach nad liczbami wielorakiemi. § 8 o miarach jest bezwarunkowo cennym ustępem téj książki, szkoda tylko, że autor nie opracował podobnież rzeczy o monetach: nie ma o nich wzmianki ani tu, ani daléj, np. przy regule łańcuhowéj. Następne cztery §§ traktują o działaniach z liczbami wielorakiemi, ale tylko w najprostszych przypadkach: wskazówek do rozwiązywania zadań choć-by typowych, ale bardziéj złożonych, nie znajdujemy. Rażą tu zestawienia np. takie: kilogramy, gramy, milligramy. Obszerniéj rozwodzi się autor nad tak zwanemi zadaniami czasu, ale zamiast podać tu realny sposób obliczania, usiłuje poprawić stary, scholastyczny sposób, w którym czas upłyniony upodobniony jest do liczby wielorakiéj,—co dosyć niezręcznie wypada.

W rozdziale V mówi autor o podzielności liczb: dużo tu materyału, ale układ dziwnie chaotyczny i sposób traktowania rzeczy razi niekonsekwencyą. Autor nie chce uprościć sobie wykładu przez wprowedzenie potęg,—nawet w ustępach drobnym drukiem z początku unika znaków ogólnych, ze szkodą naturalnie dobitności dowodów, a potém nagle na str. 170 daje wzór ogólny z bardzo zawiłém znakowaniem. Z okazyi tego wzoru musimy zwrócić uwagę, że poszukiwanie za pomocą niego (notabene *daremne*) cech

podzielności przez 6 i 12 wygląda trochę śmiesznie,— a używanie symbolu $C_3 C_2 C_1$ dla oznaczenia liczby trzycyfrowéj w środku wywodów algiebraicznych jest licencyą, chyba niedopuszczalną.

Musimy tu także zwrócić uwagę na ustęp 5 (str. 183), w którym autor w większym druku chce wyrozumować sposób znajdowania dzielników liczby. Rozumowanie to jest jednym z takich ustępów, które upoważniają sprawozdawcę do nazwania téj książki „oszołomiająco napisaną,“—a nadto staje się ono istotnym dowodem (dla tego, kto je ostatecznie zrozumie) wtedy dopiero, gdy uwzględni się ustęp 3, pomieszczony małym drukiem. Autor wprawdzie wywinął się, odwołując się do tego ustępu przez odsełacz nie gwiazdkowy ale liczbowy, lecz w ten sposób ocalił tylko pozory.

Rozdział VI rozpoczyna autor od objaśnienia na 3 stronnicach powstawania ułamka $^3/_4$ łokcia. Zarzucić można temu rozdziałowi brak wszelkiego systematu w układzie i powtarzanie prawie identycznych rozumowań (np. str. 232, 3, 4, 5). Przy odejmowaniu ułamków autor ustawia przykłady w ten sposób:

a) $8^5/_6 - 3^5/_9$, *b*) $5^3/_8 - {}^3/_5$, *c*) $8 - 3^4/_7$, *d*) $9 - {}^7/_{16}$,—co dałoby się jeszcze pojąć, gdyby autor, uważając przypadek pierwszy, jako ogólny, ten tylko objaśnił, ale autor objaśnia każdy szczegółowo. Podobnież przy mnożeniu ułamków, najpierw mnoży autor 8 przez $^3/_4$, daléj napomyka o mnożeniu $2^3/_5$ przez $^3/_4$, a późniéj dopiero robi zwrot i rozpoczyna od $^5/_7 \times 4$.

Mnożenie kilku czynników autor objaśnia na dwóch stronnicach, ale ostatecznie nie pokazuje, jak je najlepiéj wykonać zaczynając od skróceń, a na dzielenie całkowitéj przez ułamek i ułamku przez ułamek podaje oddzielne, czysto-mechaniczne prawidła (str. 233 i 234), zupełnie zbyteczne, bo późniéj na str. 236 znajdujemy najprostsze ogólne prawidło, które dzielenie sprowadza do mnożenia.

Nie możemy się także zgodzić z autorem, na takie bezwzględne włączanie całkowitéj z ułamkiem przy mnożeniu i dzieleniu przez całkowitą: czego widocznie autor jest zwolennikiem, nie tylko bowiem nie podaje odnośnych prawideł, ale w swoich przykładach pisze:

$$8^2/_5 \text{ c} \times 3 = \frac{42 \times 3}{5} \text{c (str. 230)}$$

$$76^1/_2 : 60 = \frac{153}{2} : 60 \text{ (str. 240).}$$

Nakoniec postawimy jeszcze pytanie, czy znajdzie się tak cierpliwy czytelnik, któryby odczytał to, co autor na str. 212 i 213 drobnym drukiem pomieścił.

Rozdział VII o liczbach dziesiętnych, jest już w zasadzie zepsuty założeniem autora, który postanowił traktować go tak, aby go czytać można było i przed rozdziałem o ułamkach zwyczajnych. Wskutek tego jest tu dużo powtórzeń z poprzedniego rozdziału a niema naturalnego logicznego ciągu. W nim także dziwnie już rażąco występuje zamiłowanie autora do sążnistych czysto mechanicznych prawideł: jako próbkę pozwolimy tu sobie przytoczyć dwa jeszcze najkrótsze (str. 251):

„Jeżeli dwie liczby [całkowite lub dziesiętne] mają początkowe cyfry na odpowiednich miejscach jednakowe, to ta z tych liczb jest większą, w któréj pierwsza (licząc od strony lewéj) z różnych od siebie cyfr przedstawia więcéj części liczby, oznaczonych na odpowiedniém miejscu.

Z tego (!) wypada że: zgrupowanie ilukolwiek i jakichkolwiek cyfr dziesiętnych na pewnych miejscach przedstawia mniejszą liczbę, niż cyfra 1 napisana na miejscu poprzedzającém to miejsce, na którém się znajduje pierwsza z owych cyfr.“

Dodać winniśmy, że te prawidła drukowane są kursywą w większym druku, przedstawiają więc dla praktyki nauczania to, co uczeń na pamięć umieć powinien.

Zupełnie mechanicznie traktuje autor dzielenie, i również mechanicznemi kończy prawidłami (str. 272).

Znajdujemy tu także w drobnym druku rzecz o mnożeniu i dzieleniu skróconém, ale nie wyczerpująco traktowaną, przyczem autor wyłożony przez siebie sposób dzielenia niesłusznie nazywa sposobem Guy'ego.

Małych dwóch ustępów (6-y str. 263 i 9-y str. 274), zaczepiających o teoryą przybliżeń, rozbierać tu nie będziemy, bo to kwestya zbyt już specyalna, zaznaczyć jednak musimy, że są one z gorszącą niedbałością napisane.

Dodamy jeszcze, że ani w tym ani w następnym rozdziale, traktującym o zamianie ułamków, nie znajdujemy żadnych praktycznych wskazówek, tyczących się rozwiązywania zadań zawierających oba rodzaje ułamków, oraz otrzymywania wypadków przybliżonych w granicach czysto arytmetycznych;—autor i późniéj, przy regule procentu nie zajmuje się tém zupełnie, dobierając takie tylko przykłady, które w okrągłych liczbach wypadają.

W rozdziale IX autor mówi o stosunkach i proporcyach, przyczem słusznie bardzo dał odprawę tak zwanym stosunkom i proporcyom arytmetycznym. Na czele tego rozdziału autor postawił ściśle wprawdzie ale za trudne dla uczniów określenie:

„Stosunkiem nazywamy wyrażenie liczby oderwanéj za pomocą dwu liczb, albo obu oderwanych, albo też obu mianowanych jedno-

rodnych, z których pierwszą należałoby podzielić przez drugą, jeżelibyśmy chcieli ową liczbę wyznaczyć.“ Zarzuty, któreby można postawić temu rozdziałowi, są już bardziéj drobiazgowej natury i dlatego je pomijamy.

W ostatnim rozdziale X-ym znajdujemy najpierw rzecz o wielkościach proporcyonalnych, opracowaną, jak to autor w przypisku zaznacza, według arytmetyki Serret'a. Otóż paragraf ten, zupełnie odpowiedni do tak algiebraicznie traktowanéj arytmetyki, jak ją pisał Serret, jest nie na miejscu w arytmetyce p. Baranieckiego i zupełnie nie harmonizuje ani z tém co go poprzedza,—ani, co gorsza, z tém, co po nim następuje, a do czego on jest wstępem.

Gdy w poprzedzającym §, autor nie chciał oznaczać liczb literami, dla uogólnienia, a nawet ułatwienia wywodów,—tu staje odrazu na daleko wyższym stopniu ogólności, wprowadzając symbol na oznaczenie gatunku. Czytamy bowiem: „jakiekolwiek dwa stany, czyli dwie wartości wielkości A, nazwijmy A_1 i A_2.“

Po tak wyłożonéj teoryi wielkości proporcyonalnych, powinien z konieczności następować taki wykład reguł, jaki znajdujemy u Serret'a, tj. zaczynający rzecz od postawienia wzoru ogólnego,—autor tymczasem nawet po przykładach liczbowych nie stawia zadania ogólnego i wzoru nie podaje w regułach: złożonéj, proporcyonalnego podziału i mieszaniny. Tylko w regule procentu znajdujemy wzory, ale nie korzysta z nich autor przy rozwiązywaniu przykładów, tak że w wykładzie téj reguły niepodobna dopatrzéć się jakiegoś systematu.

Autor dużo mówiąc o regule złożonéj, nie podał głównéj jéj cechy, polegającéj na tém, że ilość szukana zależy *współcześnie* od innych, ale za to obdarował nas takiém określeniem reguły łańcuchowéj, jakie chyba jest i zostanie unikatem. Cytujemy je tutaj, bo ono może lepiéj charakteryzuje książkę, niż długie krytyczne wywody:

„W zadaniach takich mamy znaleść wartość pewnéj wielkości, odpowiadającą danéj wartości drugiéj wielkości, gdy drugie dane wartości tych wielkości nie przedstawiają pary odpowiadających sobie wartości, lecz są dwiema oddzielnemi ich wartościami, odpowiadającemi dwu danym wartościom innéj wielkości, lub też dwu danym wartościom oddzielnym dwu różnych wielkości; w tym ostatnim razie mamy jeszcze dane albo parę odpowiadających sobie wartości tych dwu ostatnich wielkości, albo też dwie ich oddzielne wartości, odpowiadające dwu danym wartościom ściom pewnéj innéj jeszcze wielkości, lub też dwu danym wartościom oddzielnym dwu jeszcze innych wielkości; w tym ostatnim razie itd.; ostatecznie zaś, albo dane dwie wartości pewnych dwu wielkości sobie odpowiadają, albo też odpowiadają dwu danym warto-

ściom pewnéj téj saméj wielkości. Takie zadanie nazywamy zadaniem na regułę łańcuchową" (str. 362).

Dla uzupełnienia niniejszego sprawozdania nadmienimy tu jeszcze, że przy regule proporcyonalnego podziału autor nawet niewiadomych nie oznacza literami, i nie wprowadza zupełnie szeregu stosunków równych, w skutek czego zadanie w ustępie 4-ym (str. 353) jest jakby z natchnienia rozwiązane; przy regule znów mieszaniny niema żadnych wskazówek rozwiązywania zadań tyczących się próby, a nawet opuszczony jest ogólny typ zadań, w których są dane cechy mieszaniny i jednego z mieszanych materyałów, oraz ilość tegoż materyału.

Ostatni § poświęcony jest regule fałszywego założenia, który jest prawie dosłownym przekładem z Serret'a, z opuszczeniem kilku charakterystycznych bardzo wyrazów, w których Serret notuje, że te zadania rozwiązywać można wprost, nie uciekając się do téj metody. To opuszczenie, czyżby było wskazówką, że autor seryo taki sposób rozwiązywania traktuje?

Zamykając rzecz całą, przychodzimy do wniosku, że arytmetyka p. Baranieckiego nie stanowi dodatniego objawu naszéj literatury dydaktyczno-naukowéj. Tém to jest przykrzejsze, że w obec okoliczności towarzyszących wydaniu téj książki, zjawia się ona nie jako nieudatna próba literacka pewnéj pojedynczéj osobistości, lecz jako dzieło wyszłe pod redakcyą przedstawicieli nauki matematycznéj.

Nie tak się na nie zapatrują ci, którzy są mniéj więcéj świadomi istotnego stanu rzeczy, ale tak się ono przedstawi obcym a może i przyszłemu historykowi naszéj literatury naukowéj. Pocieszać się tylko możemy nadzieją, że inne tomy biblioteki zatrą to niemiłe wrażenie, a sam redaktor wykaże swoje zalety jako autor „wstępu do analizy."

Władysław Puchewicz.

Jan Brożek (J. Broscius) akademik krakowski 1585—1652. Jego życie i dzieła, ze szczególném uwzględnieniem prac matematycznych.—Ze źródeł rękopiśmiennych opracował Jan Nep. Franke.—Wydanie Akademii Umiejętności ku uczczeniu trzechsetnéj rocznicy urodzin Brożka.—Z wizerunkiem Jana Brożka.—8-ka str. IX, 303. Kraków 1884.

Dzieło prof. Frankego stanowi bardzo ważny przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wogóle, a rozwoju nauk matematycznych u nas w szczególności, będąc bowiem monografią poświęconą opisowi życia i ocenie działalności naukowéj interesującego autora, opracowaną jest na tle historyi akademii krakowskiéj i daje ciekawy obraz stanu nauk i instytucyj naukowych u nas w XVII stuleciu.

Doniosłość monografii prof. Frankego polega na jéj krytycznem opracowaniu na podstawie mozolnego zbadania źródeł rękopiśmiennych, częścią nieznanych, na bogactwie szczegółów rzucających nowe światło na osobistość Brożka i stosunki jego ze współczesnymi, na wielce starannym i gruntownym rozbiorze i szczegółowéj ocenie wszystkich jego prac naukowych, wreszcie na umiejętnym układzie i przedstawieniu.

O Bożku pisało u nas wielu, ale tylko Sołtykowicz I Jerzy Samuel Bandtke (a w części i Majer w ocenie zawodu lekarskiego Br.), źródłowo opracowali jego życie; prace tych autorów nie są jednak wyczerpującemi i dokładnemi, bo nie znali oni wszystkich źródeł, a o rozprawach matematycznych Br. jako niespecyaliści sądu wydać nie mogli. Pisarze znów obcy, między innymi Chasles i Günther ocenili zasługi naukowe Brożka, ale wszystkich prac jego nie znali, a o życiu dokładnych wiadomości nie posiadali. Wszyscy biografowie Brożka powtarzali za wspomnionymi wyżéj dwoma autorami polskimi wszystkie dane bez krytyki, zmieniając często dowolnie wiele dat i faktów. Stąd w dotychczasowych biografiach Brożka mieści się wiele niedokładności, które dopiero prof. Franke w pracy swéj ostatecznie sprostował.

Obfity miał materyał prof. Franke do swéj monografii; były nim rękopismy znajdujące się w bibliotece jagiellońskiéj i archiwum senatu uniwersyteckiego w Krakowie, między którymi szczególną ważność miał kodeks zawierający efemerydy astronomiczne Dawida Origona, będące niegdyś własnością Brożka. Tu na marginesach lub na kartkach czystego papieru umyślnie wprawianych zapisywał Brożek wypadki życia swego przez długi okres czasu. Kodeks ten, przez nikogo dotąd nie zużytkowany, dostarczył wielu bardzo ważnych i ciekawych szczegółów. Daléj zbadał prof. Franke wszystkie notatki własnoręczne Brożka na dziełach drukowanych i wszystkie prace drukowane bądź samego Brożka, bądź współczesnych pisarzy związek z przedmiotem rozprawy mające.

Monografią o Brożku podzielił autor na trzy rozdziały: pierwszy zawiera opis życia naszego uczonego, drugi podaje treść i ocenę jego prac naukowych, trzeci zawiera dokumenty, wykazy i bibliografią; wreszcie w końcu dodany jest indeks nazwisk przytoczonych w książce.

Opis życia jest obszerny i przeprowadzony z możliwą ścisłością co do dat i faktów. Prof. Franke ustala przedewszystkiém nazwisko polskie naszego uczonego, którego nazywano rozmaicie: Brzoskim, Broskim, Brozkim, Brożkiem. Autor wykazuje, że to ostatnie nazwisko jest jedynie usprawiedliwioném. Daléj ustala prof. Franke datę

urodzenia naszego uczonego. Dotąd wszyscy, z wyjątkiem Majera, przyjmowali, że Brożek urodził się w roku 1581. Autor stwierdza, że data 1585, podana przez Majera, jest rzeczywiście prawdziwą: uczony nasz urodził się niewątpliwie 1 listopada (nowego stylu) 1585 r. Opowiadając dzieje pobytu Brożka w akademii jako słuchacza, podaje Franke spisy wykładów przedmiotów treści matematycznéj w uniwersytecie krakowskiém w latach 1604—1605 i wykazuje, jak nizkiém był stan ówczesny wiedzy w téj najwyższéj w kraju instytucyi naukowéj; geometrya ograniczała się na kilku księgach Euklidesa, arytmetyka wyjątkowo tylko pojawiała się w planie lekcyjnym, o Koperniku słychać wcale nie było. Płytkość w wykładzie i brak samodzielnych studyów cechowały ówczesnych mistrzów krakowskich. Jeżeli w takich warunkach Brożek zdołał nietylko poznać ówczesny stan nauk w Europie, a nawet wykształcić się na samodzielnego pisarza i uczonego, przypisać to należy jego wybitnym zdolnościom i niepohamowanéj żądzy wiedzy. Żądza ta, cześć i uwielbienie dla wielkiego Kopernika powiodły Brożka w r. 1618 do Prus i Warmii, to jest do miejsc, gdzie żył, pracował i umarł Kopernik. Prof. Franke prostuje mylnie dotąd podawaną datę wyjazdu Brożka do Prus, za którą powszechnie przyjmowano rok 1614, a idąc za Sołtykowiczem, wykazuje argumentami, których tamten nie daje, że Brożek dopiero w 1618 Kraków opuścił. Z podróży téj przywiózł Br. obfity plon składający się z korespondencyi Gizego i Kopernika i z listów samego Kopernika; dwa listy Gizego ogłosił drukiem, resztę miał ogłosić późniéj, ale niestety, przyrzeczenia nie dotrzymał, listy zaś Kopernika zaginęły i do téj pory odszukane nie zostały. Za zaniedbanie to dzisiejsi biograf. Kopernika ciężkie Brożkowi czynią zarzuty.

Pobyt Brożka we Włoszech (1620—1624), gdzie studyował medycynę, przedstawia Franke w nowém świetle, dzięki materyałom, jakich dostarczył mu prof. Antoni Favaro w Padwie, i przytacza dosłowny tekst łacińskiego tekstu Brożka do Galileusza, w którym pierwszy zapowiada swój nieurzeczywistniony niestety zamiar ogłoszenia listów Kopernika. List Brożka znajduje się w bibliotece florenckiéj między rękopismami Galileusza, a odpis z niego dostarczył Frankemu Artur Wołyński.

W opisie walki, jaką uniwersytet krakowski staczał z jezuitami, a w któréj to walce Br. głównym był szermierzem, podaje Franke kilka nowych szczegółów, między któremi zasługuje na uwagę dostarczony przez prof. Bobrzyńskiego, dokument, w którym profesorowie krakowscy solidaryzują się zupełnie z opiniami wyrażonemi przez swego kolegę Brożka w jego polemicznych broszurach, „gotowi raczéj dać sobie poucinać głowy, a nie dopuścić do uśmier-

cenia lub zaprzestania walki.“ Dowodzi téż prof. Franke, że dyskurs IV ziemianina z plebanem, przypisywany powszechnie Brożkowi, nie jest wcale jego pióra. Ciekawa jest notatka „pro memoria“ ręką Brożka skreślona, a mająca służyć jako dopełnienie do aktu fundacyjnego, którym 3.000 zł. na cele naukowe Akademii zapisał. Z notatki téj widać, jak oczytanym był Brożek w zagranicznéj literaturze naukowéj. Mniéj pochlebne świadectwo daje o nim broszura polemiczna przeciwko Magniemu, który na dworze Władysława IV pokazywał doświadczenia Toricellego. W broszurze téj zwalcza Brożek pogląd o istnieniu próżni w rurce Toricellego, lekceważąc sobie wszelkie doświadczenie, a argumentując przy pomocy zdań z Arystotelesa wyjętych.

Pomijamy inne szczegóły i charakterystykę Brożka doskonale skreśloną, a przechodzimy do rozdziału 2-go, w którym wyliczone i streszczone są wszystkie prace naukowe Br., nie wyłączając pozostałych w rękopiśmie. Mamy tu pierwszą rzetelną i pracowitą ocenę wszystkich pism naszego uczonego. Nie mogąc w tém miejscu powtarzać wywodów specyalnie matematycznych, powiemy tylko że prof. Franke rozbiera każdą pracę na podstawie ówczesnego stanu wiedzy i kreśli historyą ważniejszych poruszonych w pismach Brożka zagadnień, zapoznaje z jego metodami, twierdzeniami i poglądami. Na szczególną uwagę zasługuje rozbiór ważnej pracy Brożka: „Arithmetica integrorum“, stanowiącej najlepszą pracę matematyczno-pedagogiczną u nas w XVII stuleciu, stojącą na stopniu ówczesnych pojęć naukowych. W pracy tej Brożek zapoznaje czytelnika i z najnowszemi odkryciami naukowemi, a między innemi z Nepera rachunkiem skaźników (indeksów), z którego rozwinęła się nauka logarytmów (1). Gruntownemu rozbiorowi, który zmienia się w zupełną rozprawę naukową podane są badania Brożka nad liczbami doskonałemi i liczbami zaprzyjaźnionemi. W pracach tych Brożek okazał się samodzielnym badaczem i wyprzedził innnych uczonych, Ale najwyżej stanął on jako twórca, w pracy „Apologia pro Aristotele et Euclide contra Petrum

---

(1) Pan. M. A. Baraniecki w „Arytmetyce“ (Biblioteka matematyczno-fizyczna, Serya III, Tom I, 1884 Warszawa str. XXXVIII—XLIII), daje także bardzo staranny rozbiór części arytmetyki Brożka, dopełniony przypiskiem prof. Frankego, (str. 371—375), p. t., Jan Brożek o liczbach doskonałych i o liczbach zaprzyjaźnionych.“ Przytoczone rozbiory są pierwszemi u nas, o ile wiemy, rozbiorami ważnéj pracy Brożka. Krótka wzmianka o niéj podana w artykule moim o Broscynszu w Encyklopedyi wychowawczéj (tom II, str. 324) nie daje pojęcia o wartości tej pracy naszego uczonego, zawiera bowiem tylko tytuły rozdziałów, (z których jeden) „de virgulis“ jak słusznie zauważył prof. Franke przetłomaczony został błędnie o „przecinkach“ zamiast laseczkach“ (rachunku za pomocą laseczek). *S. D.*

Ramum", w której odkrył nowe twierdzenia, w teoryi wielokątów gwiaździstych, wyprzedziwszy na półtora wieku Poinsota.

W krótkiem sprawozdaniu niniejszém pominąć musimy rozbiory pozostałych prac Broscyusa; dodamy tylko, że zdaniem prof. Frankego prace rękopiśmienne Brożka nie zasługują na wydanie drukiem, częścią bowiem posiadają małą wartość naukową, lub są nieukończone, częścią są wyciągami z innych autorów, częścią wreszcie wcielonemi zostały przez samego Br. do prac wydanych drukiem.

W rozdziale 3-im podany jest tekst następujących dokumentów i wykazów: *a*) dokument w sprawie z jezuitami, *b*) zapis 3000 złp. dla akademii krakowskiej *c*) rachunki z fundacyi Brożka od 1722—1780, *d*) zapis 15000 złp. dla akademii, *e*) testament Brożka, *f*) wykaz wykładów Brożka na wydziale filozoficznym od 1610—1636, *g*) wykłady na wydziale lekarskim uniwersytetu w Padwie w r. 1623, *h*) bibliografia.

Wydaniem doskonałej pracy o Brożku Akademia umiejętności godnie uczciła pamięć jednego z najlepszych uczonych naszych w XVII stuleciu, a prof. Franke wzbogacił naszą literaturę naukową dziełem istotnéj i trwałej wartości.

S. Dickstein.

Kryzys ekonomiczna, czyli Ewangelia p. Bismarka.

Tak zatytułowana broszura, napisana przez p. Juliusza Domerguea, pojawiła się ostatniemi czasy w Paryżu. Praca ta zaopatrzona obiecującym tytułem rzeczywiście wywołała sensacyą, zupełnie uzasadnioną ważnością poruszonych w niéj kwestyj, dotyczących pośrednio najżywotniejszych interesów Francyi. Stan przemysłu francuskiego poważne dziś budzi obawy, towar francuski coraz mniéj za granicą znajduje popytu, gdy tymczasem fabryki angielskie i niemieckie zarzucają rynki francuskie swojemi wyrobami.

Według p. Domerguea przyczyna złego leży w fałszywie pojmowanéj polityce ekonomicznej, któréj się Francya trzyma od roku 1860, polityce opartéj na dogmacie wolnego handlu, liczącéj tam i dziś jeszcze wielu zwolenników.

Pan Domergue, w pracy swojéj, streszcza poglądy Fryderyka Lista w kwestyi polityki ekonomicznéj i dowodzi, że ks. Bismark postawił sobie za zadanie całego życia urzeczywistnić program wskazany jeszcze w r. 1841 przez tego znakomitego ekonomistę. Jeżeli więc ks. Bismark jest faktycznym sprawcą jedności i potęgi dzisiejszych Niemiec, to Fr. List jest twórcą w znaczeniu moralném, nie jako Janem Ewangielistą Bismarka. Jakkolwiek List specyalnie miał na widoku Niemcy, jednakże z poglądów jego opartych na pewnych ogólnych prawach można wyciągnąć wiele wskazówek i przestróg, które i dla innych państw, a jak w tym razie dla Francyi użytecznemi być mogą.

O pracy Lista „System narodowy ekonomii politycznéj“, streszczonéj w broszurze p. Domerguea, współczesny Listowi August Trésfort (Denkreden u. Abhandlungen 1841) powiedział: „Dzieło to stanowić będzie epokę w naukowéj ekonomii narodowéj, a przedewszystkiém przyczyni się do usunięcia przesądów i niebezpiecznych błędów szkoły Smitha.“ W pracy téj głównie powstaje List przeciwko kosmopolitycznemu charakterowi szkoły manchesterskiéj, traktującej ludzkość jako jedną wielką rodzinę, niepodzieloną politycznie na współzawodniczące między sobą organizmy państwowe. List pierwszy wykazuje konieczność zwrócenia gospodarstwa społecznego w kierunku narodowym, tj. nie troszczenia się o szczęście owéj utopijnéj, wyimaginowanéj ludzkości, a zajęcie się potrzebami i interesami społeczeństwa własnego w dziś istniejących warunkach politycznych.

Drugim niemniéj ważnym błędem, wytkniętym przez Lista szkole Smitha, jest owo wyłączne zajmowanie się jéj wartościami już wyprodukowanemi, a zupełne lekceważenie sił wytwarzających owe wartości. Jako podstawę siły i niezależnego bytu w przyszłości danego kraju List uważa nie nagromadzenie chwilowe, choćby w największéj ilości bogactw, lecz potężnie rozwinięty przemysł fabryczny, który potrafił opanować zwycięsko zagraniczne rynki handlowe. Głównym czynnikiem, wpływającym na rozwój przemysłu, jest ustanowienie ceł od wyrobów zagranicznych w epoce, w któréj przemysł krajowy dopiero zaczyna się rozwijać. „Handlu zewnętrznego“—powiada List—„pewnego kraju nie należy oceniać, wyłącznie według teoryi o wartościach, tj. biorąc jedynie w rachubę korzyść materyalną chwili, państwo musi jednocześnie wziąć pod uwagę całokształt stosunków, od którego zależy jego byt, jego pomyślność, jego potęga w teraźniejszości i przyszłości Naród powinien poświęcić się i poddać prywacyi bogactw materyalnych, w celu zdobycia sił intelektualnych i społecznych; powinien poświęcić korzyści natychmiastowe, aby sobie zapewnić korzyści w przyszłości........ Jeżeli więc prawa protekcyjne powodują pewne poświęcenie wartości, to poświęcenie to jest skompensowane przez nabytek siły wytworczéj, która nietylko zapewni narodowi w przyszłości ilość nieskończenie większą bogactw materyalnych, lecz oprócz tego niezależność przemysłową w czasie wojny. Naród, który dąży do rozwinięcia u siebie przemysłu, uciekając się do systemu protekcyjnego, postępuje jak kapitalista, wydatkujący na wykształcenie swoich dzieci w pewnym fachu, obiecującym przynosić znakomite korzyści w przyszłości“.

Gdy przemysł pewnego kraju dojdzie już do tego stopnia rozwoju, że może z powodzeniem współzawodniczyć z przemysłem obcym, kraj ten powinien znieść cła i zawrzeć nowe traktaty handlowe o ile możności, na zasadzie wolnej wymiany, gdyż może być pewien, że zasada ta zwróci się tylko przeciwko jego współzawodnikom. Jakkolwiek cynicznemi mogą się wydać następujące słowa Lista, trudno jednak nie uznać praktycznéj ich wartości.

„Narodowi, który przez prawa protekcyjne udoskonalił swój przemysł fabryczny i swoję marynarkę kupiecką, do tego stopnia, że nie boi się niczyjéj konkurencyi, nie pozostaje nic mądrzejszego

do zrobienia, jak odepchnąć daleko od siebie środki, które ułatwiły wzniesienie się, starać się przekonać inne narody o korzyściach, wypływających z wolnego handlu i głośno wyznać swój żal, że tak długo szedł drogą fałszu i że tak późno przyszedł do poznania prawdy".

Że jednak polityka oparta wyłącznie na naiwności współzawodników, może w końcu zawieść, gdy ci zrozumieją własny swój interes, List uważa za konieczne, zabezpieczenie zbytu hyperprodukcyi przemysłowéj przez odpowiednio prowadzoną politykę kolonialną. Że zdanie to nie zostało głosem wołającego na puszczy, stwierdzają najnowsze wypadki polityki państw Europejskich. Uważając przemysł fabryczny za główną dźwignię bogactwa krajowego, rolnictwu naznacza List stanowisko drugorzędnego czynnika, którego rozwój zależy przeważnie od rozwoju pierwszego.

W celu poparcia swoich wywodów faktami historycznemi, cytuje List Anglią, któréj chytrze i konsekwentnie prowadzona polityka handlowa od czasów Elżbiety, zapewniła ową olbrzymią potęgę ekonomiczną, z którą przynajmniéj za życia Lista żadne inne państwo nie mogło współzawodniczyć. Oceniając poglądy Lista, p. Domergue wyraża się o nich z bezwarunkowém uznaniem, nie widząc pewnych słabych stron i niekonsekwencyj tam nawet, gdzie one dość wyraźnie występują. Trudno na przykład zgodzić się na usunięcie na drugi plan rolnictwa, którego ostatecznie od przemysłu w ogóle ściśle odgraniczyć nie podobna, gdyż przemysł fabryczny jest tylko dalszym ciągiem przemysłu rolnego, tj. dalszym ciągiem przetwarzania płodów surowych. Warunki etnograficzne, gleba ziemi, charakter ludności poczęści określają jakiego rodzaju przemysł jest najkorzystniejszy w danéj chwili i miejscu. Co do handlu, zbytni jego rozwój może być, według Lista, nawet szkodliwy, odciąga bowiem od przemysłu i rolnictwa, i absorbuje najlepsze siły narodu, a w razie utraty rynków zbytu, powoduje upadek, z którego narodu w innych kierunkach działalności niedołężnego nic już uratować nie może. Taki los spotkał miasta Hanzeatyckie, w chwili gdy Anglia zamknęła swoje porty dla okrętów Związku. Względnie jednak do Anglii nie przewidział List, że i na tém słońcu pojawią się plamy, które z czasem mogą zaćmić ów blask, który go tak olśniewał. Jakkolwiek przemysł angielski fabryczny i rolny doszedł do najwyższego stopnia rozwoju, to jednakże niesumienna polityka kolonialna, oparta wyłącznie na bezlitośném ssaniu zajętych prowincyj, wyradzała nienawiść, kończącą się oderwaniem od metropolii. Ruch nieprzyjazny, jaki się dziś objawia między krajowcami w Indyach, również zdaje się zapowiadać, że i tam dni panowania Anglii są już policzone.

Oprócz nieocenionéj wartości prac teoretycznych, praktycznéj agitatorskiéj działalności Lista zawdzięczają Niemcy zniesienie ceł wewnętrznych, czyli utworzenie t. z. Zoll - Vereinu, będącego niejako zawiązkiem przyszłej jedności politycznéj.

W. Kuszell.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Marca 1885 r.

---

1. **Psychologia Wychowawcza** przez *Adolfa Dygasińskiego.* Warszawa, nakład A. W. Gruszeckiego. 1885. (8-o str. 487). C. rs. 3.
2. **Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz Małachowskiego**, posła do Stambułu w czasie sejmu czteroletniego, jenerała wojsk polskich i t. d. objaśnił i z manuskryptu wydał *Wincenty hr. Łoś.* Poznań u J. K. Żupańskiego. 1885, (8-o str. 190).
3. **Łukasz Górnicki**. Przyczynek do dziejów humanizmu w Polsce przez *Rafała Löwenfelda.* Warszawa nakład red. Wędrowca. 1884. (8-o str. VII i 262).
4. **Nowy stos galwaniczny** podał *Roman br. Gostkowski.* Lwów. 1884. (8-o str. 28).
5. **Dzieła poetyczne i dramatyczne Fryderyka Szyllera** illustrowane przez znakomitych artystów. Lwów, nakład H. Altenberga. Zeszyty 25 i 26.
6. **Kucmerka** (Sium Sisarum) pod względem geograficzno - botanicznym i historyi kultury przez *d-ra Józefa Rostafińskiego.* Kraków. 1884. (8-o str. 52).
7. *J. I. Kraszewski.* **Powieści historyczne**:
   XIX. **Jaszka Orfanem zwanego** żywota i spraw pamiętnik. Kraków. 1884. Tomów 4.
   XX. **Dwie królowe** (Bona i Elżbieta) powieść historyczna. Kraków. 1884. Tomów 3.
   XXI. **Infantka** (Anna Jagielonka) powieść historyczna. Kraków. 1884. Tomów 3.
8. *Eliza Orzeszkowa.* **Wesoła teorya i smutna praktyka**. Opowiadanie. Warszawa u S. Lewentala. 1885. (8 o str. 393).

Дозволено Цензурою, Варшава. 18 Марта 1885 г.